

<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p style="text-align: center;">Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Zaranie Śląskie”. Rok VII. Zeszyt 1</p>		
<p>Ilość stron oryginału 74</p>	<p>Ilość skanów 75</p>	<p>Liczba plików publikacji 75</p>
<p>Autor Wacław Bandura i inni</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Towarzystwo Ludoznawcze w</p>	<p>Skan okładki</p>
<p>Miejsce wydania Cieszyn</p>	<p>Rok wydania / Data powstania 31 marca 1931 r.</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) czasopismo</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 24,8 x 20 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu cykliczne polskie czasopismo regionalne dotyczące historii, kultury, literatury oraz etnografii i folkloru Śląska Cieszyńskiego i Górnego Śląska; 7 artykułów, recenzje, dział dla młodych, materiały ludoznawcze oraz pieśni śląskie (tekst i nuty); druk: Drukarnia „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra” w Cieszynie</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) od XVII w. do początku XX w., Franciszek Ileś, Henryk Zschokke, ks. Józef Londzin, Józef Paduch, Ludwik Łakomy, Janusz Staszewski, ks. Andrzej Buzek, Gustaw Morcinek, Wanda Dobrowolska, Zofia Kossak-Szczucka, Jan Galicz, Karol Buzek, Jan Kowalczyk, Wiesław Wojnar, Andrzej Świder, Śląsk Cieszyński, Galicja, Morawy, Bielsko, Biała, Kęty, Żywiec, Witkowice, Bestwina</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.) literatura ludowa, folklor, czasopisma literackie polskie, ludoznawstwo, kultura, historia, literatura polska, turystyka, krajoznawstwo, pieśni i tańce śląskie, recenzje, polska książka na Śląsku Cieszyńskim, powieść polska, zagadnienia regionalne, zagadnienia pogranicza, etnografia</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

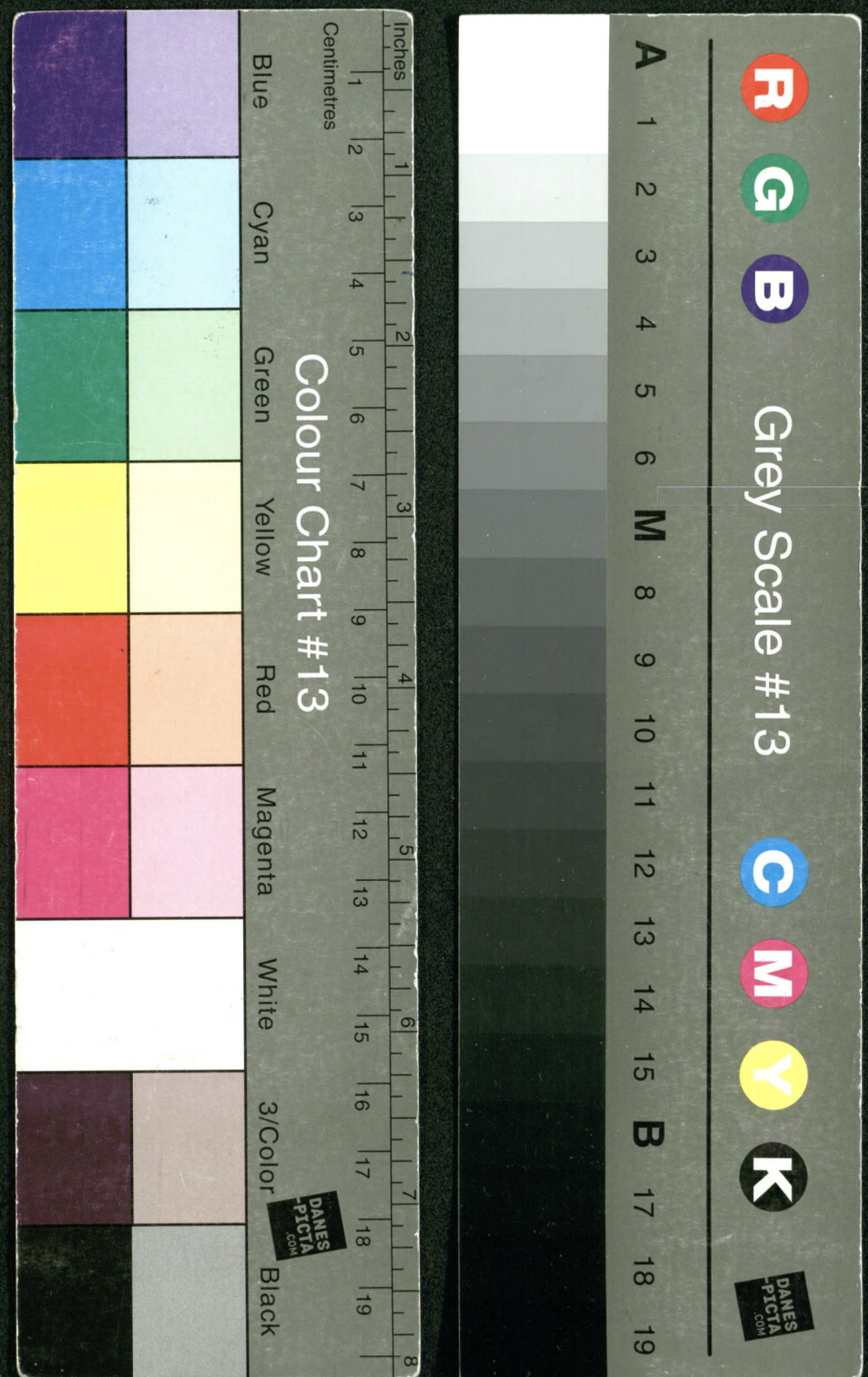
ZARANIE ŚLĄSKIE

KWARTALNIK



ROK VII

ZESZYT 1



Miedzioryt, umieszczony na pierwszej stronie okładki, przedstawiający górnika na tle kominów górnośląskich, rysował artysta śląski, Stanisław Kuglin. — Kliszę ofiarował dla „Zarania Śląskiego“ p. Jan Kuglin, dyrektor Drukarni Rolniczej w Poznaniu.

SPIS TREŚCI:

	Str.
1. Dr. Fr. Ileś: Cieszyńsko-polska książka „Zaraza gorzałki“ (1844)	1
2. Ludwik Łakomy: Zagadnień regionalnych Śląska część druga	14
3. Janusz Staszewski: Na śląkiem pograniczu 1806-7 r.	22
4. Ks. Andrzej Buzek: Z archiwum szkolnego Zboru Ewang. w Cieszynie	25
5. Gustaw Morcinek: Chleb na kamieniu	28
6. Do Jana Kuglina w dniu pogrzebu Jego Ojca	38
7. Dr. Wanda Dobrowolska: Śląsk i Ślązacy w powieści polskiej	39
8. Recenzje	54
9. Dział dla młodych	66
10. Materiały ludoznawcze	68
11. Pieśni śląskie	71

Redakcją kieruje Komitet:

Wacław Bandura, Paweł Bocek, Ludwik Brożek, Franciszek Czapla, Jerzy Hadyna, Rudolf Kubalok, Gustaw Morcinek, Paweł Musioł, Franciszek Popiołek, Julian Przyboś, Stanisław Sowa, Jerzy Szczurek.

=====
Prenumerata wynosi rocznie 10 zł wraz z przesyłką pocztową, w Czechosłowacji 40 Kcz.

=====
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: CIESZYN, UL. STALMACHA 14.
P. K. O. Warszawa 180.524. — P. U. C. Praga 30.693.
(Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Cz. Cieszynie.)

=====
Pojedyncze egzemplarze zamawiać można: w księgarni L. Fiszera i w Księgarni Katolickiej w Katowicach, w księgarniach „Dziedzictwa“ i „Kresy“ w Cieszynie, oraz w księgarni Macierzy Szkolnej w Czeskim Cieszynie.

=====
Manuskryptów nie zwraca się.

=====
Wydawca: Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie.

=====
Redaktor odpowiedzialny: Jerzy Szczurek w Cieszynie, ul. Bielska 36.

=====
Druk wykonany czcionkami Drukarni »Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra« w Cieszynie.

ZARANIE ŚLĄSKIE

ROCZNIK VII.

W CIESZYNIE, 31 MARCA 1931.

ZESZYT 1.

Dr. Fr. Ilesić, prof. uniw. w Zagrzebiu.

Cieszyńsko-polska książka „Zaraza gorzałki“ (1844).

W r. 1844 wyszła w Cieszynie książka: „Zaraza gorzałki“. Smętna przygoda, dla przestrogi Ślązaka i pobratymczych Słowian s pod Tater a od nich szerszących się błoni, podług Zschokkiego w Cieszynie w księgarni i nakładem Antonina Wäschera & Comp. 1844 (str. 56 w 8^o, druk. szwabach).

Jest to przeróbka książki Zschokkiego: Die Brantweinpest. Eine Trauergeschichte zur Warnung und Lehre für Reich und Arm, Alt und Jung (Aarau, 1837, str. 84 w 8^o). Jeszcze tego samego roku wyszło 2, „poprawione“ wydanie, w r. 1838 trzecie, w r. 1842 czwarte („tanie“).

Książka ta Henryka Zschokkiego (1771—1848), bardzo popularnego w pierwszej połowie 19 w. pisarza niemieckiego, działacza społecznego w Szwajcarii, została parę razy po polsku przetłumaczona. Estreicher, Bibl. polska, V., przytacza wydanie cieszyńskie 1844, wydanie lwowskie 1845, wydanie toruńskie 1846 (znowu w r. 1862, 1863, 1868, 1875 — a i w r. 1850 i 1861¹⁾).

Najstarszym tłumaczeniem polskim jest dopiero co przytoczona książka cie-

szyńska. Jej autorem-tłumaczem jest Jan Winkler, około 1844, pastor w Nawsiu²⁾. Winkler był z pochodzenia Czechem; w swojej przeróbce dzieła niemieckiego on „w niemożliwy sposób język polski kaleczył, tak, że się często staje niezrozumiałym“³⁾.

Cieszyńską „Zarazę gorzałki“ uważał jeszcze Estreicher za „pierwsze dziełko, wydane w narzeczu polsko-szląskiem“. To dzisiaj już nie jest prawdą⁴⁾, ale w każdym razie jest to książka ciekawa.

W tej rozprawie chcę przede wszystkim scharakteryzować stosunek książki Winklera do niemieckiego oryginału⁵⁾; z porównania wyniknie obraz stosunków społecznych na Śląsku Cieszyńskim i w ościennych krainach przed 90 laty. Okaze się przy tem, że cieszyńska „Zaraza gorzałki“ nie była przejawem jakimś odosobnionym, lecz że należała do całego ówczesnego ruchu społecznego.

„Smutną przygodę“ opowiada w książce cieszyńskiej osoba, o której nazwisku dowiadujemy się dopiero na końcu książki, mianowicie Bodrak. W streszczeniu opowieść Bodraka opiewa:

²⁾ Ks. Józef Londzin, *Polskość Śląska Cieszyńskiego* (Cieszyn, 1924, p. 46, według „Gwiazdki Cieszyńskiej“ 1874, p. 27).

³⁾ Słowa ks. Londzina w jego prywatnym liście, napisanym do mnie (1928). Ks. Londzin mi książkę pożyczył ze swojej biblioteki.

⁴⁾ Londzin, op. cit., p. 30 nast.

⁵⁾ Używam 2. wydania książki niemieckiej z r. 1837.

¹⁾ Wydań toruńskich z r. 1850 i 1861 Estreicher nie przytacza, ale one są, bo widziałem je w Bibliotece Publicznej na ul. Koszykowej w Warszawie. Goedeke, *Grundriß etc.*, X. (Dresden, 1913) przytacza te same wydania polskie, jak Estreicher, tylko o 1 wydaniu toruńskim wątpi, czy ono jest z r. 1847 czy 1846.

„Wracając z Petersburga, zapoznałem się z młodym lekarzem, wracającym też do kraju, z Świętosławem Bolkiem. Bolek, który w Rosji jakiegoś bogatego księcia i jego córkę zbawił z niebezpiecznej choroby, a potem towarzyszył księciu po Europie, był taki smutny, bo spotkało go było podwójne nieszczęście: stracił ojca i narzeczoną; ojciec mu umarł od pijaństwa, narzeczoną Ludmiłą Czermakówną, której ojciec się skutkiem pijaństwa powiesił, uważała się dlatego za niegodną miłości Bolka i odeszła do służby nie wiadomo dokąd. W pierwszym mieście naszej ojczyzny spotkaliśmy wieczorem w karczmie towarzystwo oficerów, urzędników i mieszczan, debatujących na temat ciężkiego nałogu pijaństwa, zabijającego życie na Śląsku. Drugiego dnia wyruszyliśmy z tego miasta, ja „na lewo“ do swojego domu, Bolek na prawo do swojego domu. Po 2 latach spotkałem jego narzeczoną Ludmiłę w Słowacji i namówiłem ją, że wróciła z nami (ze mną i moją żoną) do Śląska. Umyślnie odwiedziłem Świętosława Bolka w mieście F., gdzie mieszkał; Świętosław, już skutkiem osobistych nieszczęść przeciwnik gorzałce, opowiadał mi o założeniu Bractwa trzeźwości i wogóle o ruchu trzeźwościowym w różnych innych krajach; ja mu powiedziałem, że znalazłem jego narzeczoną Ludmiłę. Świętosław przekonał Ludmiłę, że niema czego wstydzić się i że nie jest niegodną jego miłości.“ Odbył się ich ślub. Nałóg pijaństwa w kraju ustaje.

Książka cieszyńska właściwie nie jest tłumaczeniem w ścisłym tego słowa znaczeniu, lepiej nazwiemy ją przeróbką książki Zschokkiego; tak ją charakteryzuje Winkler, sam w tytule, pisząc: „podług Zschokiego“, więc tylko: „p o d ł u g“.

Już objętością różnią się obie książki: niemiecka książka ma 88 stronic⁶⁾, a pol-

⁶⁾ Pierwsze wydanie książki Zschokkiego z r. 1837 miało tylko 84 stronic.

ska tylko 56, choć jest format ten sam, a druk polskiej książki luźniejszy. Niemiecka książka ma 19 rozdziałów i „Schluß dieser Geschichte“, obejmujący 4½ stronicy, a polska tylko 10 rozdziałów i krótkie „Zamknienie“, obejmujące połowę stronicy⁷⁾.

„Przygody“ opowiada osoba, która się w książce polskiej (p. 49) nazywa Boddok. Tak to jest w książce niemieckiej do końca, ale w polskiej książce „Zamknienia“ już nie opowiada ta osoba, lecz autor; ma się wrażenie, jakby się tłumaczowi polskiemu śpieszyło i dlatego skrócił opowieść na końcu⁸⁾.

Przez opuszczanie długiej rozprawy lekarza na temat zakładania Towarzystwa trzeźwości (gl. 10—16) i przez opuszczanie długich wywodów proboszcza na końcu stają się epiczne ramki opowieści wyraźniejszymi, „przygoda“ bardziej występuje i epiczny wątek nie traci się w teoretyzowaniu o pijaństwie i trzeźwości⁹⁾.

Wogóle biorąc (i bez względu na liche język Winklera), książka polska jest pisana popularniej niż jej oryginał niemiecki.

Ale między oryginałem niemieckim i przeróbką polską istnieją jeszcze inne różnice, różnice bardziej wewnętrzne.

⁷⁾ Zgadza się pierwszych 9 rozdziałów oryginału niemieckiego i przeróbki polskiej; niemieckich rozdziałów 10—16 w książce polskiej wcale niema. (W tych rozdziałach opowiada lekarz, w jaki sposób w jego mieście zakładano Towarzystwo trzeźwości i z jakimi trudnościami zakładanie tego towarzystwa było połączone). Rozdziałom niemieckim: 17 i 18 odpowiada w książce polskiej rozdział 10.

⁸⁾ W „Schluß“ie“ książki niemieckiej jest długie przemówienie proboszcza na weselu.

⁹⁾ W ten sposób przybierałaby przeróbka polska książki Zschokkiego bardziej charakter opowieści i byłaby mniej bezpośrednim traktatem na temat działalności społecznej. Może taką beletrystyczną skłonnością autora polskiego wolno wyjaśniać pewne zwroty jego, różniące się od odpowiednich miejsc Zschokkiego. Zschokke pyta (p. 10): „War sie verführt? war sie entehrt?“, a Winter (14): „Czy zgubiła czerstwość i niewin-

Przedewszystkiem Winkler zlokalizował opowieść. „Przygoda“ Zschokkiego odbywa się głównie w Szwajcarii, epizod (o narzeczonej) w Niemczech, a „przygoda“ Winklera na Śląsku, odnośny epizod w Słowacji. Opowiadający przygodę wraca u Zschokkiego z Anglii, tak samo lekarz, który jako pracownik społeczny w opowieści gra największą rolę („Er hatte einen reichen Lord und dessen Familie 4 Jahre lang auf Reisen durch Europa begleitet“), a u Winklera z Rosji („Po wybawieniu pewnego bogatego Xięcia w Rosyji i jego córki z niebezpiecznej choroby, odprowadzał... księcia tego po Europie“)¹⁰).

ność wiönka panińskiego?“ Na str. 33 książki polskiej pyta Bodrok swoją żonę, czy się nie boi, żeby się on zakochał w przystojnej szwaczce, ale żona, niby odpowiadając na to, „objęła (go) serdecznie a na wargi (jego) słodki i ognisty całus przycisła“; takiej sceny u Zschokkiego wcale nie ma. To też (str. 15) „obowiązek (wierności), który był pierwszym całusem, na niej wyproszonej a rumieńcem niewinności określonym, zapieczetowany i stwierdzony.“

¹⁰) Bodrok i lekarz wracają do swojego rodzinnego Śląska; widać, że pochodzą z powiatu cieszyńskiego; lekarz zamieszkał w mieście „F.“.

Przyjazd do Śląska opisuje książka (p. 17) tak: „Godzinę drogi ujechaliśmy z gościńca, w którymśmy obiadwali, i gdzieśmy czerstwe konie byli najęli, przybliżywszy się ku granicy ojczyzny naszej Szląska. — Prawieśmy s przykrego pagorku ku ostatniemu miastu zagranicznemu pokrzepili...“ a (p. 18) „postanowiliśmy, żeby granicę pieszo przestąpić, ojczyznę naszą pieszo pozdrowić, i w bliskim mieście... się zostać.“

Któręby więc podróżni Winklera jechali? W r. 1845 jechało się powozem prywatno-kurjerskim (z Krakowa) przez Podgórze, Wadowice, Bielsko, Cieszyn, i to z Podgórze o godz. 8 wieczorem, tak że śniadanie było w Bielsku, a obiad w Cieszynie. (Można było jechać też przez Oświęcę-Kęty.) Nasi podróżni jechali od ostatniego swojego „gościńca“ (gospody) do granicy śląskiej jedną godzinę; gdzie więc należy umieścić ów „gościńiec“? Może w Kętach, które są od Bielska odalone o 19 km? A „ostatnie miasto zagraniczne“ (więc nieśląskie, galicyjskie), do którego oni przyjechali „s przykrego pagorku“? Byłaby to chyba Biała (ów „pagórek przykry“ niczego nam nie wyjaśnia, bo jest też w niemieckim oryginale). Z Białej szli oni piechotą do „bliskie-

Niemieckie imiona i nazwiska zmienił Winkler w słowiańskie. Lekarz Fridolin Walter stał się u niego Świętosławem Bolkiem, z jego narzeczonej Justyny Thaly stała się Ludmiła Czermak. W „Ludmile Czermak“ mamy znak czeskości autora, tak samo jak w imieniu matki lekarza, Libuszy. Jeden ze sąsiadów Czermaka jest Mieczysławem, więc Polakiem. Słowacka szwaczka nazywa się Jętkową, a praczka Niedobową¹¹).

Autor polski nieraz zbacza od swojego oryginału niemieckiego, aby opisywać stosunki s w o j e g o kraju. Tak nam np. opisuje (p. 19) uprzemysłowienie Śląska, handel i t. d.: „Pochwalowano z wielkim zadziwieniem koleje żelazne, ułatwiające podróże, handle, nauki i rzemiosła a pomnażające i wygodę i żywność. Mówiono trafnie i chybnie o prze-

go“ pierwszego miasta śląskiego; tem byłoby Bielsko. Miasto śląskie, w którym podróżni pozostali i w którym oni słyszeli debatę o nałogów pijaństwa, miało według naszej książki (str. 20-21) około 5000 mieszkańców, a właśnie Bielsko liczyło około 1845 r. mieszkańców 5000 (Tę danę mam z jednej korespondencji z Wadowickiego w „Gazecie Lwowskiej“, ale numeru nie mogę przytoczyć.)

Miastem „F.“, do którego zboczył lekarz „na prawo“, byłby chyba Frysztat.

¹¹) W r. 1838 wyszła w Pradze („Tiskem a nákladem Jana Spurného“) książka: „Poučenj o pitj kořalky. Podle Německého sepsáno o pitj prospěchu národu českoslowanského w Čechách, w Morawě a Uhřjch na světlo wydáno.“ To jest czeskie tłumaczenie całej książki Zschokkiego (stronic 92; 20 rozdziałów). Czeski tłumacz nie lokalizował opowieści: główna „przygoda“ odbywa się w Szwajcarii, epizod w Bawarii (więc w Niemczech), ale lekarz i osoba, opowiadająca opowieść, mają różne ojczyzny: lekarz jest Szwajcarem, opowiadający przygodę Czechem. Choć widownią ani głównych zdarzeń ani epizodu nie są Czechy, przecież tłumacz umiał uwydatnić miłość do swojej czeskiej ojczyzny: Czech, opowiadający historję, przybywszy z lekarzem do Szwajcarii, zaraz opowiada o swojej ładne Pradze i o doskonałych urządzeniach Czech. Imiona i nazwiska czeski tłumacz pozostawił niemieckie. Z osoby, opowiadającej przygodę, zrobił prawnika.

myślach, działaniach, strojach, o wodnych, wiatrowych i parowych siłach, użytych nętach i pędach, które tu i ówdzie w naszym miłym Szląsku nowo upotrzebowane są.“

I wady, wynikające z picia wódki, opisuje autor polski (str. 20—21) inaczej niż Zschokke¹²⁾, odnosząc się pewnie do stosunków krajowych. Píše mianowicie:

„W mieście naszym około 5000 dusz licząc, jest przeszło 30 szynkownych budynków, które pewnymi nierzadkimi czasy, biesiadnikami i hałasem napelnione bywają. W pobliskich wsiach znajdujemy 3—6 szynkowni. — Przy cesarskiej drodze chata za chatą, karczma za karczmą, aręda za arędą ślęczą na podróżnych, żeby się na pół — na tyk — na poczęstną zastawili. — Jakie to obczerstwienie, wykazują nom w grob'łach i przykopach, lub i wśród drogi leżący a rozumu w cale ogołoceni pijacy, to świadczą w zimie tu i ówdzie zmarzli nieszczęśliwcy — to oznajmują te pletliwe kroki, te szuro i ukosem mierzące postępy — te ryki i klątwy uszy obrażające — te dzikie lub bojaźliwe twarze — ...“ „A gdy nawet wejrzę na kłótnie, swary, kłopoty, nędze, otręty i na tysiączne biedy w budynkach wieśniaków naszych, z gorzałki napłodzone i umieszczone, zapiewnam Mościów Planów, że biedy téj nieład i ponurość oznakiem są bicza Bożego, przez który ten bydlęcy świat smagany i chłostany będzie ...“

To, co Zschokke obszernie kreśli na str. 14 ze stosunków szwajcarskich, podaje polski autor (str. 22) krótko tak: „Jeszcze pamiętają starcy nasi, gdzie po wsiach od gościńców oddalonych ani jednę karczmę niebyło. W miastach tylko wino i piwo przedawano. A teraz wszystko ślęczą, by złapać chłopca do szalatej szklanki, a każda piądz ziemi kinie na słabucha, aby go w gorzałce utopić.“

¹²⁾ Por. niemiecką książkę na str. 13—15.

Inaczej niż Zschokke ułożył autor polski mowę syndyka. Zastosował ją do 2 przysłów polskich (p. 28)¹³⁾: „Prawdziwa jest ta przypowieść ojczysta: „Więcej ich tónie w kufłu, niż w morzu“ — prawdziwa i ona: „Gdzie Pan Bóg kościół buduje, tam diabeł kaplicę stawia“. — Ale gdy zamorskie narody nurtom morskim i zdradnej niebezpiecznej fali się oddawające, niektórych swoich żeglarzy tu i ówdzie tonących upatrują, dla tego jeszcze same nieniszczą; bo nader większy część powraca się s pozamorskich światów s korzyścią i zdobycią, a naród i krajina, jako Anglija, Francuja i Hollanduja sławę i bogactwo stąd odbierają. — Ale z utonienia pospolstwa naszego szląskiego w gorzałkę, w pijatykę sama tylko hańba, wstyd, szkoda a obwałenie i zniszczenie... wypadują...“ Nato przechodzi mówca polski ku wyjaśnianiu drugiego przysłowia i mówi (29): „Ta kaplica jest to karczma, która lud od nabożeństwa s kościoła idący do diabelstwa przyłudza i przyciąga. — Ryki i hałasy buntują tu pokój serca i sumienia, który nas w domie Bożym ukołysał i uciszył. — Tu śpiewy świeckie niecudne i jurne zagłuszają one śpiewy nabożne, które w kościele serca nasze do niebios wzbijały... Tu, gdzie organista sam na szczebel umiejętności się powzniósł, bywa ón ogłos harmoniczny organ, które przed chwilą jeszcze śpiewy nabożne majestatnie odprzewadzały, — przeniażony i zacierany... W harcu karczmowym slychamy tą niepiękną pobudkę: „Albo pij, albo się bij“ — slychamy i recept przeciw całotygodniowym otrętom: „Na frasunek dobry trunek“...“

Nieraz podkreśla autor Słowiańskość swojego kraju. Píše jako Ślązak (Czecha

¹³⁾ Jeszcze jedno przysłowie polskie przytacza się w opowieści; aby dowieść, że nie zawsze dobrze jest oszczędzać, mówi ojciec Ludmiły: „Igly szukając, świecę spalił“ (rozdział 8).

nazywa „pobratymca“¹⁴); Śląsk mu jest „ojczyzną“ (rozdział 4). Chodzi mu o postęp i zdrowy rozwój „narodu słowiańsko-śląskiego“ (p. 19): „Pochwalana była od niektórych i ta staranność szczególnych, błogodziejnych i narodomyłych mężów, rozszerzających oświatę i między naszym zaniedbanym sławiańsko-śląskim narodem, piastowaniem języka ojczystego, — żeby i ten naród z równą dowagą i miarą najwyższej władzy naszej austriackiej powinności swoje a świeczne i potrzebne ofiary składać umiał, i wtém Niemcom w tyle niezostał.“ Choć targi i jarmarki dużo złego sprawiają (bo ludzie wtedy dużo piją), jednak mają one też swoją dobrą stronę, bo „mowa ojczysta czystym i bystrym, ładnym i świecznym płynem z ust jarmarcznychków zabrzmiewa“ (24—25). Żałuje, że ten lud słowiański w oświecie nie docho-wuje kroku innym narodom (28): „Któż nas sławianów będzie między narodami światłymi, którymiśmy otoczeni, lub sktórymi żyjemy chwalić, gdyż oświata nasza blaskiem tak widocznym jak u nich, się nielśni...“ Chwali zaś taką Słowiankę, jaką była gospodyni gospody w Słowacji; opisuje ją tak (33): „Gościna tu była jedna s tych Sławianek, jakie-byśmy sobie w narodzie naszym sławiańskim wszędzie życzyli, — żeby osobliwie gość cudzy w gospodzie jasną i przyjemną twarz na gościnną — czystość w pokojach i w jadle, czystość i na obsługującej osobie, urychlaną i ochotną obsługą a na wargach domowników jędrną, rzetelną

¹⁴ W I rozdziale opowieści mówi: „... spryt — Niemcowi gaistem a pobratymczemu Czechowi likem zwany“, ale też Polak mu jest „pobratymczym Sławianinem“, jak to widzimy z tytułu książki: „...dla przestrogi Szlązaka i pobratymczych Sławian s pod Tater i t. d.“ Właśnie to jest charakterystyczne, że, czując się tylko Ślązakiem słowiańskim, pisze jednak po polsku, nie po czesku. (O ewentualnym wpływie arcyksięcia Karola na polskość książki por. Londzina, sp. cit., 46.)

i we wyrazach i w osnowie rzecznickej potrafną i przyzwoitą mowę upatrował, słyszał a tém dogodzonym i zaspokojonym się widział¹⁵).

Polskiego „Pan, Pani, Państwo“, autor, zdaje się, nie lubi. Ślązak Bodrok, który całą opowieść opowiada, i jego żona spotkali się w Słowacji z narzeczoną Bolka, Ludmiłą. Dziewczyna przemawiała do nich przez „Państwo“, ale Bodroková powiedziała (p. 38): „Niechajcież kochana, — wszystkich pańskich tytułów, których, niby zbytich, — po Was nieżądamy, ani jich przyjmujemy. Od téj chwili niech będzie nasze szląskie i doręczne, języku naszemu sławiańskiemu przystojne i przyzwojite „Wy“ w mówieniu, wołaniu i rozmowach potrzebowane...“

Zupełnie inaczej niż Zschokke szwajcarski odnosi się polski autor austriackiego Śląska do władz. Zschokke potępia je nie na jednym miejscu bardzo stanowczo, zarzucając im, że nietylko nic nie robią przeciw pijaństwu, lecz że przedstawiciele władz sami oddają się temu nałogowi. Natomiast autor polski nawet chwali władze z powodu ich postępowania przeciw pijatykom. Zschokke (p. 15) pisze ze względu na szkodliwe zabawy muzyczne i taneczne: „die Regierungen wissen das, sehen das, höhren das, und thun nichts dagegen“, a autor polski (p. 24): „Roskaz od władzy najwyższej dany jest, żeby zabawy muzyczne i tanieczne i po wsiach przełożęństwem wiejskim były postrzegane“, a wójt i przysiężny „gorzałką otawiają się.“

Zschokke potępia ustawę, widzącą w pijaństwie zbrodniarza okoliczność łagodzącą i dodaje, że w północnej Ameryce ustawy pijaństwa nie uznają za okoliczność łagodzącą. Autor polski stoi tak samo na stanowisku, że pijaństwo nie uspra-

¹⁵ Na str. 11 czytamy: „...podał mi (listy) s tą pobudką polskorzeczną: Proszę! niech Pan weźmie, nieszczęście moje czyta...“ Co znaczy słowo „polskorzeczny“?

wiedliwia, a twierdzi, że w Śląsku wazy ta zasada (według Zschokkiego amerykańska): „Dla tego dzięki powinniśmy co najrzewniejsze urzędowi naszemu, że teraz przy sędach sam występki omamienia przez gorzałkę, nietylko niewymawia pijaka zbrodnię wykonanego, owszem jeszcze przywagi i przyteżenia zło czynu i (k)arzę zasłużonej przydaje. — Uwazaj na to, pijaku! (31)“

Zschokke (p. 17—18) robi ostre wyrzuty rodzinom wykształconym, że pod względem pijaństwa nie są lepszymi od ludności prostej, a książka polska o tem wcale nic nie pisze. Tak samo opuścił autor polski wszelkie nawymyślenia Zschokkiego księżom i lekarzom (i znowu „Regenten und Gesetzgebern“) i umieścił zamiast takiej krytyki przytoczone powyżej wywody o dwu „przypowieściach ojczy- stych.“

Charakterystycznym dla przedmarcowej Austrii, zwłaszcza dla stosunków polsko-galicyjskich jest zastrzeżenie się przeciw przypuszczeniu zakładania jakichś towarzystw buntowniczych. Lekarz Bolek założył w swoim miasteczku „braterstwo trzeźwości“. Jego znajomy Bodrok, jakoś uląkł się tego wyrazu; dlatego mu go lekarz wyjaśnia (49): „Słyszac o braterstwie trzeźwości, nielekajcie się wyrazu tego. Nierozumiem ja tu żadnej społeczności, żadnego soboru, żadnej zgromadności, raty i zgraji porządkom stanowionym przyczynnej i odporniej a zakonem krajowym zbrónionej... Niema ono przyłączenie (się ku trzeźwości) żadnych buntujących i burzących zamiarów i kresów...“

Książka Zschokkiego kończy uwielbieniem działalności młodego lekarza w zwalczaniu pijaństwa. Na jego weselu podkreśla proboszcz wielkie jego zasługi w dziedzinie szerzenia trzeźwości. Autor polski mowę proboszcza opuścił i „przygodę“ sam skończył w ten sposób: „Braterstwo trzeźwości owieńczyło dom weselny, a stateczność w obowiązkach na

nowo potwierdziło. — Duchowieństwo wszędzie po Szląsku w rozszerzeniu trzeźwości tej z dobrym wypadkiem pracowało i pracuje. Lud pospolity pomnaża się w uczciwości, w przemadze czyli w zapasach, w dobrach, jak sprawnych, tak cielesnych i żywnych.“

Jedno zaś ma Winkler (p. 49—50), czego u Zschokkiego niema, mianowicie rozprawę o ks. Mathewie (1790—1856). Ks. Teobald Mathew począł w Anglii 1833 zakładać Towarzystwa powstrzymiwości, te towarzystwa w r. 1842 liczyły już 5 milionów członków¹⁶⁾. U Winklera mówi Bolek o nim (p. 50): „Na duchownika Mathew'sa od niektorego czasu oczy i naszego duchowieństwa są obrócone, a nasi ludomilowie zdumieni i zadziwieni nad tym zacnym wzorem, oglądają się, jeżeli i nasi wielebni ojcowie w zawód z nim na drodze tak zacnej i ku podzwignieniu narodu wodzącej, się niepuszczą¹⁷⁾. Na tem miejscu Winkler cytuje „Augsburskie te-

¹⁶⁾ Skutkiem swoich podróży wpał w długi i został nawet uwięziony. W r. 1843 wyjechał do Północnej Ameryki.

¹⁷⁾ O Mathewie i jego działalności pisały około r. 1844 gazety polskie. „Gazeta Lwowska“ pisała w nr. 124 (19. X.), 1844: „...jak naprzód Priesnitz dla klas zamożniejszych był trzeźwości apostołem, tak teraz Ojciec Mathew między uboższem tchnieniem swoim wytepia haniebny ten nałóg“ (cfr. nr. 139, 23. X.). Lwowskie „Rozmaitości“, 1844, nr. 49, 7. XII., str. 388—391, mają artykuł, napisany już w r. 1843: „Książdz Mathew, apostoł wstrzemięźliwości“, długi opis jego pracy w Irlandji i Anglii. W początku r. 1845, nr. 10, 14. I., pisała „Gazeta Krakowska“ o Towarzystwach wstrzemięźliwości w Północnej Ameryce; jej artykuł kończy: „Wiadomo jest, jakie cuda sprawił X. Mathews w niektórych bardzo osławionych hrabstwach Irlandzkich, gdzie teraz, jak słyhać, ani jednego pijaka już nie obaczysz.“ — Ks. Winkler mógł czytać też pismo „Jurende's Vaterländischer Pilger“ (Brno), które 1844, str. 283, pisało: „Der Name des Pater Mathews erhebt sich aus dieser grünen Insel (sc. Irland) mit herzlichem Ruhmesglanze. Bereits an 5 Millionen Irländer haben das Gelübde der Mäßigkeit in seine Hände abgelegt.“

Jak to, że u Zschokkiego niema wzmianki o Mathewie? Zschokkiego dzieło wyszło 1837; po-

goroczne powszechne nowiny pod numerem 159“ i z ich sprawozdania o Północnej Ameryce przytacza, że tam „4 miliony ludzi, więc czwarcina obywatelstwa wódki się zrzekło¹⁸⁾).

nieważ akcja jego opowieści trwa 3 lata, t. j. od jej początku (od przyjazdu lekarza do kraju) do końca (do jego ślubu) mijają 3 lata, trzeba początek opowieści kłaść w r. 1833-34, więc nie w czas, kiedy Mathew dopiero począł swoją działalność, więc nie sływał jeszcze. Inaczej było z nim już wtedy, kiedy Winkler pisał; on mógł Mathewa, już słynnego, wziąć do swojej książki (późniejszych wydań „Brantwein“ nie widziałem, ale zdaje mi się, że też w nich nie było wzmianki o Mathewie, bo niema jej też w słownikiem tłumaczeniu książki Zschokkiego z r. 1847, zob. niżej!).

¹⁸⁾ Rocznik augsburskiej „Allgemeiner Zeitung“, zawierający to sprawozdanie o Północnej Ameryce, jest rocznik 1844, a cytowany numer nr. 159, jest numer z dnia 7 czerwca. Jest tam umieszczony dopis z Londynu (z dnia 1 czerwca); w nim się w początku mówi o oczekiwaniu w Londynie cesarza rosyjskiego, dalej o odwiezieniu O'Connella do więzienia w Dublinie itd., a w drugiej części artykułu o Stowarzyszeniu trzeźwości, i to tak: „Die nationale Mäßigkeitsgesellschaft hielt dieser Tage ihre zweite Jahresversammlung. Der vom Secretär über die Fortschritte der Mäßigkeitssache erstattete Bericht enthält im Wisentlichen nachstehende Angaben. Besonders raschen und beharrlichen Fortgang hat das Mäßigkeitsswerk in den Vereinigten Staaten gewonnen, wo 4 Millionen (ungefähr der vierte Theil der Bevölkerung) aller berauschenden Getränke entsagt und ebenso viele ihren Entschluß erklärt haben künftig höchstens eine geringe Quantität Wein zu trinken. Die angesprochenen Kaufleute zu Montreal in Canada sind über eingekommen vorzugsweise jenen Schiffen Ladungen zu geben die geistigen Getränke führen. Zu St. John in Neufundland, wo unter den geringeren Classen noch vor wenig Jahren die Trunkenheit sprüchwörtlich war, ist sie jetzt fast ganz verschwunden. Auch in Westindien haben die Bemühungen der Gesellschaft den besten Erfolg gehabt; Weiße und Schwarze leisten das Gelübde und bleiben ihm in der Regel treu (dieß wird als Beweis geltend gemacht, daß der Teetotalismus auch für die tropischen Klimate passe). Nicht minder Fortschritte macht die Mäßigkeitssache auf den Südseeinseln, wo sich die Landwirthschaften besonders auszeichnen. In den bedeutendsten Städten Ostindiens bestehen Mäßigkeitssvereine. Was Europa angeht, so sind namentlich in Schweden, Norwegen, Dänemark und Bayern

Jeśli się książka Winklera od swojego oryginału niemieckiego znacznie różni dodatnością sądu o zachowywaniu się władz w sprawie trzeźwościowej, nie powinniśmy w tem widzieć tylko uległości poddanego austriackiego wobec rządów absolutystycznych Metternicha, lecz należy uwzględnić, że rzeczywiście władze państwowe¹⁹⁾, a zwłaszcza koła kościelne wspierały ruch trzeźwościowy, przedewszystkiem na Śląsku, w Galicji i na Morawach. O tem daję obszerniejsze sprawozdanie w „Dodatku“ tej rozprawy.

Skutki tej działalności, której jednym przejawem jest też książka Winklera,

(von den übrigen Deutschland wird bloß gesagt, daß zu Osnabrück ein Mäßigkeitssverein bestehe der 7000 Mitglieder zähler). Mäßigkeitssvereine gegründet worden und haben glückliche Ergebnisse geliefert. In Frankreich ist nur wenig zu machen, und in Holland sowie in den übrigen Theilen des Festlandes hat eher die Unmäßigkeit zugenommen. Als Musterland des Mäßigkeit muß Irland gelten, wo nach Vater Mathew's Mittheilungen die Rückfälle äußerst selten sind. In England zählt die Gesellschaft 96.034 Mitglieder, bei welcher allerdings geringen Zahl in Anschlag kömmt, daß viele Personen der geistigen Getränke sich enthalten ohne einer Mäßigkeitssgesellschaft beizutreten, und daß andere wenigstens von dem starken Trinken zurückgekommen sind. Die Gesamtzahl der Nichtals Theetrinker in Großbritannien kann daher zu 1.200.000 und jene der gebesserten „Trunkenbolde zu 120.000 angenommen werden.“

Ponieważ książka polska cytuje „Allgemeine Zeitung“ z dnia 7 czerwca 1844, widzimy, że ją drukowano w drugiej połowie tego roku.

Co do Irlandczyków, to widocznie ich poprawa była tej nowszej daty, bo o ich wychodźcach przynajmniej w Północnej Ameryce pisze korespondent z Bostonu (z dnia 13 maja) do tej samej „Allgemeiner Zeitung“ (1844, nr. 157, 5 czerwca): „In dem Maße nun, in welchem der Deutsche hier geachtet und geschätzt wird, ist es des Irländers Loos seiner unverbesserlichen Trägheit und Neigung zum Trunk wegen verachtet, ferner politischen Vorbildung und Schlaueit wegen gefürchtet zu werden.“

¹⁹⁾ Jak Austria urzędowa w józefińskich czasach zwracała się przeciw szynkarzom i arendarzom wiejskim, zob. dzieło dr. Wacława Tokarza: „Galicya w początkach ery józefińskiej itd.“ (Kra-ków, 1909), p. 360.

wkrótce pojawiały się. Około 1845 stonki co do nałogu pijaństwa na Śląsku i w Galicji poprawiały się.

Więści o takim poprawianiu przychodziły nawet do południowych Słowian — przeważnie pewnie przez pośrednictwo niemieckie. Pismo, wychodzące w Gradcu styryjskim „Stiria“, przyniosło 1845, 16 stycznia krótką notatkę: „Die Wirtshäuser zu Tarnow in Galizien stehen fast alle leer, weil der Andrang zu den Mässigkeitsvereinen ungläublich ist“, a zagrzebska ilirska „Danica“ (5 kwietnia tego samego roku) wyjęła z „Českiej Věeli dopis ze Lwowa pod tytułem: „Moralny postęp w Galicji“, gdzie się opisuje, jak tam poczęto skuteczną walbę przeciw lichwiarstwu i gorzałce, jak się szerzą towarzystwa trzeźwości, jak księża, a i ziemianie zasłużyli się na to. Znany „wychowawca“ ludu słoweńskiego, Antoni Marcin Slomszek (od 1846 biskup) wziął do r. 1846 „zborniku“ kościelnie-wychowawczego: „Drobtinice“ 1846 „Radosną opowieść o Bractwie św. Jana“, opowieść przetłumaczoną (pewnie z niemieckiego), w której się opowiada, jak — już w r. 1844 — na Śląsku Cieszyńskim przestano pić wódkę wskutek działalności Bractwa św. Jana. Na końcu tej „radosnej opowieści“ mówi się prócz Moraw i o Galicji: „Kiedy to Bractwo rozgłoszono w Polsce, zaraz też Polacy dali się wpisać. Biskup tarnowski tę dobrą sprawę polecił swoim księżom; i za kilka miesięcy było w każdej parafji przeszło połowę parafjan i parafjanek w Bractwie. Całym sercem oddają się biedni ludzie temu Bractwu — w zaufaniu do ochrony Matki Boskiej, że się wyzwolą z nieszczęśliwego picia gorzałki, swojego największego nieszczęścia. Uważają za szczególny zaszczyt, żyć między braćmi i siostrami św. Jana. W Mogilanach²⁰⁾, jednym miasteczku blisko Krakowa, zaślubiło 6000 mieszkań-

²⁰⁾ Pewnie zamiast: w Mogilanach.

ców (wszystko oprócz jednego), że już nie będą pili gorzałki. Nareszcie zawstydzili się też ten i dał się zapisać między swoich sąsiadów do Bractwa.“

Właśnie w związku z tą „radosną opowieścią“, przetłumaczoną po słoweńsku, począłem zajmować się „smętną przygodą“ polskiego autora z r. 1844. „Radosna opowieść“ przedstawia niby dobre skutki społecznej działalności, której początki kreślą się w „smutnej opowieści“ książki cieszyńskiej, tej przeróbki „Brantweinpest“ Zschokkiego.

Słowiec Slomszek o ruchu trzeźwościowym na Śląsku, w Galicji i Morawach mógł być poinformowany takimi pismami niemieckimi, jakim był berneński „Juren des Vaterländischer Pilger“, który w swych latach dużo poświęcił uwagi walce z „Brantweinpest“, szczególnie w kraju samym, np. w artykule w roczniku 1846, pisanym więc najpóźniej 1845: „Die Enthaltensamkeits-Gelübde vom Brantwein trinken in Galizien, Mähren, Schlesien und Ungarn²¹⁾“.

Z pozostałych tłumaczeń polskich książki Zschokkiego znam wydanie toruńskie z r. 1850 i 1861. Toruńskie wydania są tłumaczeniem, nie przeróbką; to widać już z ich objętości; wydanie z r. 1846 ma — według Estreichera — 83 str. w 8^o ²²⁾.

Słoweńskie tłumaczenie „Brantweinpest“ wyszło w r. 1847. Wydali je wspom-

²¹⁾ Zob. „Dodatek“! „Pilger“ już w r. 1837 pisał o Towarzystwach wstrzemięźliwości i w latach 1840, 1843 wskazywał na ciężkie skutki nałogu pijaństwa.

²²⁾ Lwowskie wydanie z r. 1845 ma — według Estreichera — tylko 49 str. w 8^o. To by mogło mieć taki charakter, jaki ma książka cieszyńska. Wiąże te wydania też podobieństwo tytułu, bo tytuł wydania lwowskiego jest (Estreicher, Bibl. V., 310): „Zaraza gorzałkowa, smutne zdarzenie jako przestroga dla Galicyjanina i sąsiednich Słowian podtatrzańskich podług..“ (w 8-ce, str. 49). — Według Londzina, op. cit., 46, wydał pastor Winkler też czeską „Záhubę gorzałky“.

niany powyżej Slomszek oraz Felicjan Globocznik.

Ja używałem, jak już powiedziałem, przy tej rozprawie 2 wydania książki Zschokkiego z r. 1837. Uważam, że Winkler i Slomszek-Globocznik nie używali przy tłumaczeniu tego 2. niemieckiego wydania, tak samo nie 1. wydania z r. 1837, lecz późniejszego któregoś wydania (z r. 1838, 1842). Wnioskuje to z tego: w niemieckim 1. i 2. wydaniu z r. 1837 opowiada się na początku rozdziału 7, że towarzysze podróży pożegnali się „weil unsre Wege nach der Heimath eines Jeden verschieden waren²³⁾“, tymczasem tłumacz polski o r a z słoweński piszą, że oni szli dalej jeden na p r a w o, drugi na l e w o. Zgodę tłumacza polskiego i słoweńskiego w tym pozornym drobiazgu wyjaśniam sobie wspólnym źródłem niemieckim, które miało też „rechts“ und „links“.

DODATEK.

Ruch trzeźwościowy na Śląsku, w Galicji, w ówczesnej Rzeczypospolitej krakowskiej i na Morawach około 1844.

Przedstawiam ten ruch głównie według „Gazety Lwowskiej“ i „Jurende's Vaterländischer Pilger (Brno)²⁴⁾“.

Ruch miał tło światowe („so ist denn dieses wolthatige Institut (sc. zakładanie towarzystw trzeźwościowych), auf dem kräftigen jungen Boden Amerikas neubegründet, über die Wogen des atlantischen Oceans in die alte Welt gekommen, welche es zur Auffrischung gar mancher tief gestörten Lebens-Elemente in sich aufnahm und pflegte...“; Jurende's Vaterl. Pilg. 1846), ale powód dały stosunki krajowe. Zdaje się, że w 40-tych latach 19-go stulecia na Śląsku i w Galicji wzmógł się

nałóg picia; wódki było dużo i tania była, bo dużo było kartofli, z których się pędziła²⁵⁾.

Reakcja nastąpiła i to najpierw na Śląsku Cieszyńskim.

Kiedy w 1840 r. J ó z e f P a d u c h został dziekanem w Cieszynie, zauważył tam taką demoralizację, spowodowaną pijaństwem, że postanowił użyć wszystkich pozwolonych środków na wytepienie nałogu; pobudzały go też do tego odezwę rządu krajowego i przykłady działalności duchowieństwa sąsiednich powiatów pruskich²⁶⁾. Pouczano ludność o niebezpieczeństwie, tkwiącem w picciu²⁷⁾, zakładano „książki wstrzemięźliwościowe“ („Mäßigkeitsbuch“, Nüchternheitskatalog“, wpiisywano do nich tych, którzy złożyli ślubowanie trzeźwościowe, i wkrótce pokazały się dobre skutki. Wieś I s t e b n a miała być pierwszą, której mieszkańcy zwrócili się przeciw picciu wódki i to ze swojej woli. „Jurende's Vaterländischer Pilger“ (Brno) 1843, str. 274—276, kalendarz, kreślący więc stosunki z roku 1842, opowiada: „In Schlesien hat man, um das übermassige Branntweintrinken zu verhindern, an manchen Orten ein Namens-Verzeichniß aller entschiedenen Trunkenbolde aufgenommen, und in Abschriften in allen Branntweinschenken aufgehängt. Die Wirthe sind mit namhaften Strafen bedroht, wenn sie einem der Bezeichneten mehr als ein Glas einschenken, das er übrigens bald austrinken muß und sich

²⁵⁾ „Gaz. Lw.“ 1844, nr. 139 (23. XI.); „kartofle nie przeczują, że w jednym ich korcu siedzi 4 garncy spirytusu“ („Gaz. Lw.“ 1845, nr. 37 (29. III.).

²⁶⁾ O tem pisał Paduch sam w „Moravii“ 1845, nr. 46, jak czytam w „Jurende's Vaterländischer Pilger“ (1846, Brünn, p. 196—201), według którego ja referuję.

²⁷⁾ W szkole mówiono dzieciom o nałogu pijaństwa, tak samo przy publicznych egzaminach, przy których byli obecni też dorośli (np. wójtowie); dawano takie rachunki: Jeśli chłop codziennie przepije 8 kr, ile to jest na rok, ile w 20 latach?

²³⁾ 1 wydanie znalazłem w bibliotece uniwersytetu wiedeńskiego. Wydań z r. 1838 i 1842 nie znam.

²⁴⁾ Niestety rocznika 1845 tego kalendarza nie mogłem używać.

nicht aufhalten darf. Damit aber keiner etwa die Runde in den Wirthshäusern machen könne, so ist für jeden nur eins in seinen Bezirke zugänglich.“ To samo pismo (kalendarz) pisze w roczniku 1844, p. 287, o wsi Istebnie: „Die Leute halten Wort; seit einem Jahre bereits ist die Branntweinschenke leer, und der Fleiß und Wohlstand sind merklich vorgeschritten, so zwar daß diesem Dorfe mehrere andere nachfolgen wollen.“

Odrazu powstał cały mocny ruch. „Krucjata przeciw gorzałce stała się teraz niby duchem czasu: przechodzi on kolejno różne parafje, diecezje, kraje i państwa całe, niby potok gwałtowny, który wszelkie w swym biegu napotykanne przeszkody zwycięża...“, tak pisał w „Gazecie Lwowskiej“ 1844 (19. X., nr. 124) korespondent z Wadowickiego. Zdaje się, że w parafjach ewangelickich na Śląsku wolano zakładać **Towarzystwa wstrzemięźliwości**, a katolicy przekładali **ślubowanie** uroczyste. „Nasza Biała, idąc od kilku tygodni za przykładem ściennego **Bielska**, ciągle jest zajęta składaniem uroczystych przyrzeczeń ku temu celowi. Jakoż w krótkim przeciągu czasu już przeszło tysiąc osób, czyli prawie szóstą część całej ludności tego miasteczka zarzekła się wódki“, pisze ten sam korespondent z Wadowickiego.

Rozróżniano 2 rodzaje ślubowań: ślubowanie zupełnej abstynencji i wstrzemięźliwość. Było dużo takich, którzy zasadniczo byli przeciwni za daleko idącym wymaganiom; do tych należał wspomniany korespondent z Wadowickiego. „Dzisiejszem zdaniem naganiaczy opilstwa (gorzałka) czarta jest wynalazkiem i sączą się przez rozliczne węże, trucizną być koniecznie musi“, ale to jest błędem, ponieważ wódka jest darem bożym, należy więc „żądać tylko obietnicy **u m i a r k o w a n i a** w trunkach“, jak to robi duchowieństwo protestanckie.

Przeciw temu korespondentowi wystąpili w tej sprawie korespondent Pilzna (nr. 128, 29. X.) i korespondent „X“ z Białej (5. XI., nr. 131), przemawiając za zupełną abstynencją. „Dla czego wmawiać w lud, żeby się jeszcze potrochu opijał, kiedy lud sam, poznawszy źródła swego nieszczęścia, chce się zupełnie wyrzec gorzałki“, pisze korespondent z Białej. „Mamy i na to dowody, bo w **Bilsku, w Białej, w Kętach, w Żywcu, w Witkowicach, w Bełwinie(?)**, gdzie już blisko 16.000 ślubów odebrano, każdy... zazwyczaj się za **zupełnem wstrzymaniem** od wódki oświadczył²⁸⁾“. Korespondent zaprzecza twierdzeniu, żeby w Białej tylko duchowieństwo protestanckie polecało wstrzemięźliwość; Księża katolicy i ewangelicy prowadzą jednakowo „księgę do zapisywania ślubów według rozporządzenia c. k. Rządu“.

Korespondent z „Wadowickiego“ zwrócił uwagę, ażeby duchowni nie mieszała ślubowania z przysięgą, jak się to już stało; bo między tysiącami ślubujących znajdzie się zawsze kilku takich, którzy nie dotrzymają, coby więc **z i a m a l i p r z y s i ę g ę**. Korespondent z Białej zaprzeczał temu, żeby duchowieństwo tych pojęć nie rozpróżniało, tylko jakiś ksiądz na Śląsku popełnił ten błąd skutkiem niezajomości języka.

Do drugiej połowy lutego 1845 znacznym było powodzenie ruchu w obwodzie wadowickim: „w państwie **jaszczurowskim**, za przykładem właściciela tegoż państwa i oficjalistów, złożyło śluby na wstrzemięźliwość w **Jaszczurowej** przeszło 700 osób“, ślubowa-

²⁸⁾ Z prywatnej korespondencji z Białej donosi „Gazeta Lwowska“ w nr. 144 (5. XII. 1844), że wódka teraz stamtąd idzie do Wiednia i Trjestu, miejscowa konsumpcja wódki zeszała na nic, ale zato piją dużo wina ordynacyjnego i t. d. „Pokazuje się, że prosty człowiek u nas nie obędzie się bez trunku, a co gorsza, słychać, iż w Śląsku Pruskim zaczynają już do wódki powracać.“

no też w parafji Mucharzu w dziekanacie makowskim²⁹⁾ i w obwodzie bochenkim. „W obwodzie wadowickim za staraniem proboszcza w parafji wadowickiej, liczącej przeszło 5000 osób do spowiedzi zdatnych, ślubowało do 1 lutego (r. 1845) na zupełną wstrzemięźliwość 3980, a na mierność 102 osoby; w samym zaś mieście Wadowicach z 2321 osób, do spowiedzi zdatnych, złożyło śluby 1309 osób³⁰⁾. W dziekanacie myślenickim wpisało się od 23. X. do 10-go XII. 1844 do zupełnego nieużywania wódki 12.186 osób, a do wstrzemięźliwości 834³¹⁾. W samej Wieliczce do końca 1844 złożyło śluby przeszło 6000 osób.

Nadchodzą wieści o ruchu trzeźwościowym „z obwodu tarnowskiego“: o właścicielu majątku P..., który w sposób bardzo altruistyczny zachęcał chłopów do wstępowania do Towarzystwa wstrzemięźliwości; o biskupie, który 3. XI. 1844 w kościele tarnowskim odbierał pierwsze śluby od duchownych, a potem od „innych znakomitszych osób“; o kanoniku Królu, który na ten temat wygłosił skuteczne kazanie; do 12. XI. 1844 przystąpiło w Tarnowie 1188 osób do Towarzystwa wstrzemięźliwości³²⁾ i „natłok do składania ślubów“ był coraz większy; pod koniec listopada się donosi, że w Tarnowie szynki, „dotąd, osobiwie w dni targowe zawsze przepelnione, teraz pustką stoją: nie ujrzyz pijanego, chyba takiego, który się po raz ostatni dlatego dziko upije, aby na zawsze poprzestał być pijakiem, a jutro w obliczu Boga, kościoła i publiczności zrzec się na zawsze pijactwa³³⁾.

²⁹⁾ „Gaz. Lw.“ nr. 25 (27. II. 1845).

³⁰⁾ „Gaz. Lw.“ nr. 35 (22. III. 1845).

³¹⁾ „Gaz. Lw.“ nr. 6 (14. I. 1845).

³²⁾ „Gazeta Lwowska“, 12. XI. (nr. 131), 19. XI. (nr. 137).

³³⁾ „Gaz. Lwowska“ 30. XI. 1844 (nr. 142). „Gaz. Lw.“ 1845, nr. 25 (27. II.) pisze: „W samym Tarnowie mało kto już o wódkę się pyta:

Co do obwodu rzeszowskiego, donosi się w kwietniu 1845³⁴⁾, że księża Pniwski, Kluczycki i Pantalowic „ogłosili ludowi z kazalni, że wszystkim członkom swych parafji, którzy do Towarzystwa wstrzemięźliwości przystąpili, obrzędy religijne, opłacie podlegające, bezpłatnie pełnić przyrzekają.“

Ruch szerzył się dalej na wschód. W Bochni miało Towarzystwo wstrzemięźliwości do 27. XI. 1844: 1630 członków. W tym samym czasie zawiązało duchowieństwo także Towarzystwo w grecko-katolickiej parafji wsi Staruniec w Stanisławowskim. I w Brzeżanach ruszało się³⁵⁾. W Pilźnie założono Towarzystwo wstrzemięźliwości 27. XI. 1844 i to towarzystwo miało zaraz 1000 członków. W obwodzie jasielskim rozwijało się Towarzystwo wstrzemięźliwości też bardzo pomyślnie.

W początku grudnia 1844 donosi się o tym ruchu z Jarosławia i z Czortkowskiego, z obwodu kołomyjskiego, cokolwiek później z Sanoka. Korespondent „Gazety Lwowskiej“ (nr. 152, 24. XII.) z Dukli pisze: „...zaledwie pół roku minęło, ciągnie od zachodu nieprzepartą ducha czasu się myśl zbawcza dla ludu naszego...“

W początku r. 1845 donosi się z obwodu przemyskiego o pracy włościanina Szykuli dla Towarzystwa wstrzemięźliwości we wsi Piskorowice, o zawiązaniu Towarzystwa w Przeworsku, gdzie odrazu 2228 osób ślubowanie złożyło³⁶⁾. Na dobrach hrabiny Morskiej, w Zarzeczcu i Pruchniku (obwodu przemyskiego) „to na sprawę wstrzemięźliwości najmocniejszy wpływ wywarło, że ta

piwo w powszechnem jest teraz używaniu, ale cóż, kiedy bardzo niesmaczne.“

³⁴⁾ „Gaz. Lw.“ nr. 49 (26. IV.).

³⁵⁾ „Gaz. Lw.“ nr. 142 (30. XI.), nr. 138 (21. XI.), nr. 143 (3. XII.).

³⁶⁾ Ile, nr. 2 (4. I.) 1845, nr. 3 (7. I.).

Pani w swojej tegorocznej podróży do Anglii, Belgii, Francji i t. d., przekonawszy się naocznie o zbawienności zasad Ojca Mathewa, za pierwszą pogłoską o tworzących się u nas Towarzystwach wstrzeźliwości, żydków z karczem dóbr swoich wydalić, a łaskawe statecznemi chrześcijanami, po większej części rzeźmiśnikami osadzić kazała.“

Powodzenia miał ruch też w Krośnie, w Krościenku, w Złoczowskim, w Buczaczu, nawet w Husiatynie, mniej w obwodzie żółkiewskim³⁷).

Nie wszyscy jednak zachwycali się tym ruchem, jego powodzeniami i jego metodami. Ne quid nimis! mówili jedni, a drudzy obawiali się ujemnych skutków ekonomicznych³⁸). „Gazeta Lwowska“ otrzymywała dopisy prawdopodobnie też od przeciwników ruchu, ale nie śmiała takich dopisów publikować; w nr. 142 (30. XI.) r. 1844 pisze: „Nadesłanych ostatnimi czasy z różnych stron uwag o Towarzystwach wstrzeźliwości Redakcja dla przyczyn od niej niezawistych, w piśmie swoim umieścić nie może.“

Ruch trzeźwościowy zajął też teren ówczesnej Rzeczypospolitej Krakowskiej. „Gazeta Krakowska“ doniosła w dopisie z Kielc w lipcu 1844, że sufragan, administrator diecezji kielecko-krakowskiej, osobiście w kościele kolegiaty kieleckiej z ambony do ludu przemówił o pijaństwie i swoje przemówienie skończył tak: „Iż gdy dusz ludzkich pasterze winni są łączyć przykład do nauki, dlatego nowo święcić się mający kapłani wykonają votum simplex wstrzeźliwości, czyli wstrzymania się od

trunków gorących jako to wódka“ itd., i jakoż po mszy złożyli oni to votum, odczytane im przez administratora od ołtarza³⁹). Dalej wydał administrator diecezji krakowskiej r. VIII. 1844 list pasterski do duchowieństwa, wzywający ich, aby całego wpływu użyli na powściągnięcie ludu od używania palących napojów, odbierając ślubowania w kościele (na ołtarzu przy zapalonych świecach). Pewnie dotyczy przedewszystkiem ziemi krakowskiej to sprawozdanie „Gazety Krakowskiej“ z dnia 20. VIII. 1844: „Ze wszystkich stron pocieszające odbieramy wiadomości, że zgubny nałóg pijaństwa, szczególnie pomiędzy wiejskim ludem coraz bardziej się wykorzenia. Skłopotani karczmarze, co dawniej siedzieli sobie w domu, nie troszcząc się, żeby im wódki zabrakło, — teraz muszą o kilka mil jeździć po piwo — bo już chłopkowie nasi nie tylko nie dopytują się o wódkę, lecz sobie nawet wspomnieć o niej nie dadzą.“ Z tego samego miesiąca mamy jeszcze inne sprawozdanie o postępie ruchu trzeźwościowego w Rzeczypospolitej Krakowskiej⁴⁰). Sprawa ta uczyniła tak w samym Krakowie, jako też w jego okolicy, nadzwyczajne postępy. Tłumami śpieszy lud do kościołów dla ślubowania na wstrzeźliwość... W dziekanatach Chrzanów i Liszki dają się postrzegać największe postępy wstrzeźliwości, którą hrabia Franciszek Wężyk, najpierwszy w powszechności obudził, a teraz się nią zajmuje szczególnie duchowieństwo, lecz i wysoka szlachta także ją dzielnie popiera.“ Przyczyniła się do wzmocnienia ruchu hrabina Arturowa Potocka w Tęczynie oraz jej syn Adam Potocki.

Wyraźnie się stwierdza, że na Kraków działał Śląsk.

³⁷) „Gaz. Lw.“ nr. 10 (23. I. 1845), nr. 15 (4. II.).

³⁸) Z dopisu z Dukli („Gaz. Lw.“ 1844, nr. 152, 24. XII.) widzimy, że tam powstała opozycja przeciw „ruchowi trzeźwościowemu“ z przyczyn ekonomicznych.

³⁹) „Gazety Krakowskiej“ nie rozpatrywałem bezpośrednio pod tym względem; cytuję ją według „Gazety Lwowskiej“ (nr. 88), 27. VII. 1844).

⁴⁰) Cytuję według „Gazety Lw.“ 1844, nr. 107 (10. IX.).

Ten sam Śląsk Cieszyński działał też na południowy zachód, na Morawy. To sprawdza berneński „Jurende's Vaterländischer Pilger“ 1846⁴¹⁾: że przez żołnierzy pułku piechoty baron Fürstenwartha Towarzystwo wstrzeźliwości 1845 zostało przeniesione do Ołomuńca, „nachdem schon früher die Mäßigkeitspredigten der Landgeistlichen im Breslauer und Olmützer Kreise... vorgearbeitet hatten“. Tego samego roku wystąpili w sprawie ruchu trzeźwościowego też arcybiskup olomuniecki i biskup berneński. „Bei der immer sichtbareren Verbreitung und erfreulichen(?) Ausdehnung der Mäßigkeitgelübde, beim läblichen Eifer, welcher sich in dieser edlen Sache allenthalben unter dem Curatklerus kundgab, fanden sich auch die Oberhirten der Diözesen, nämlich der Fürst-Erzbischof von Olmütz und der Bischof von Brünn bewegen, ersterer unter dem 26. III., letzteren unter dem 3. IV. 1845 an die respektive Pfarr-Geistlichkeit eine ausreichende Norm für die Behandlung dieses Pastoral-Gegenstandes zu erlassen.“ Arcybiskup wydał rozporządzenie, aby się odbywała osobna uroczystość kościelna na ślubowanie (i nadworna kancelarja zaprobowała to rozporządzenie 4. II. 1845), przy tem mają duchowni powstrzymać się od każdego przymusu; ślubuje się przed ołtarzem, ale trzeba przy tym czynnie starannie unikać zakładania Towarzystw wstrzeźliwości⁴²⁾.

Według sprawozdań w czasopiśmie „Moravia“ rozszerzyły się Towarzystwa wstrzeźliwości przez całe Morawy. „Unter den einzelnen Kreisen des m. s. steht gegenwärtig der Teschener Kreis

⁴¹⁾ W artykule, którego część poniżej przytaczam.

⁴²⁾ Słoweniec Słomszek (zob. powyżej!) mówi też o Bractwach św. Jana na Śląsku, ale w gazetach polskich i w „Pilgerze“ o nich nie znalazłem śladu.

in Rücksicht der Menge der Gelobenden oben...“

Z wielkiem uznaniem mówi „Jurende's Vaterländischer Pilger“ 1846 (str. 198—201) o ruchu trzeźwościowym w Galicji: „Galizien ist es, die entfernteste Provinz der österreichischen Gesamt-Monarchie, welche hier den übrigen Schweserländern mit dem rühmlichsten Beispiele voranleuchtet. Wie auf einen Aufruf, wie infolge einer allgemeinen Ringebug erhob sich die ehrwürdige Priesterschaft gegen die Branntweinpest, durch Belehrungen, Predigten, Ermachungen ja mit Hintansetzung ihres eigenen Vorteils⁴³⁾ und hatte die Freude, ihre Bemühungen mit dem schönsten Erfolge gekrönt zusehen. Kreis und Kreis schloß sich der ersten Anregung, dann dem zahlreichen schönen Beispiele an, welcher die Seelsorger selbst durch Ablegung des Gelübdes gaben; sodaß oft 5 und mehr Priester auf Einmal mit Abnahme der Gelobungen beschäftigt waren, wie im Lemberger, Jasloer und Czortkower Kreise. Im Wadowicer Kreise schlossen sich Edelleute und Gutsbesitzer dem Wirken der Geistlichkeit an; es gab Wirthshäuser, welche den Branntwein gänzlich abschafften; in Przemyśl nahm der hochwürdigste Bischof nach Erlassung eines eigenen Hirtenbriefes selbst die Gelübde ab und ein 71 Jahre alter, durch seine Mäßigkeitsliebe bekannte und hochgeachtete Greis Szykula durch sein herzliches Zureden sehr Viele zum Beitritte: im Brzeżaner Kreise findet sich kein Ort, wo nicht Mäßigkeitgelübde abgelegt worden wären, und ein Edelmann, Herr E. Glowacky, erlegte 100 fl. C. Muze in die Hände der Ortspfarrers zur Bezahlung der Haussteuer für diejenigen, welche die Gelübde mit ihrem ganzen

⁴³⁾ Tutaj Jurende według „Gaz. Lw.“ przytacza proboszczów z obwodu rzeszowskiego Pruzewskiego i Kluczyckiego (p. powyżej!).

Hause ablegten; so eiferten auch die Kreise Stryj, Sanok, Rzeszów (binnen 14 Tagen mehr als 5000 Personen) und andere dem rühmlichen Streben nach. Früher aber faßten die Mäßigkeits-Vereine (wenn man sie es nennen darf) im Teschener Kreise Schlesiens festen Fuß...“ „...Vorzüglich waren es die Weiber, welche früher von ihren trunkenen Männern aufs härteste mißhandelt wurden, und nun die Segnungen der Mäßigkeit in einem glücklichen Ehebande priesen; Eintracht und Friede kehrten in die Familien ein...“

Zanosilo się, jak widać, 1845 na poprawę całego życia. W artykule o szkołach wiejskich pisała „Gazeta Lwowska“ (nr. 46, 19. IV. 1845): „Nie zapominajmy nigdy o tem, że coś koniecznie dla ludu naszego zrobić potrzeba; ponieważ on wstrząśniony **Towarzystwami wstrzemię-**

żliwości, znajduje się teraz w pewnym przesileniu i do dobrego więcej skłonny niż był kiedykolwiek.“

Dziesięć miesięcy później „Gazeta Polska“ tak już nie mogła pisać. W lutym 1846 Austria okupowała Kraków i Jakób Szela przedstawiał jej „honor“ w Tarnowskim. „Z Tarnowskie przeniosły się „rabacje“ czerni chłopskiej w Rzeszowskie i Bocheńskie, chwytano i odstawiano powstańców także w Jasielskim, Sanockim, Sądeckim i Wadowickim⁴⁴⁾.“

Pracy trzeźwościowej przeszkodziła rzeź. Błogosławieństwo i klątwa w tych samych powiatach.

Zagrzeb.

Dr. Fr. Ilesić.

⁴⁴⁾ Lewicki-Mościcki, „Zarys historii polskiej i t. d.“, VII. wyd., p. 449.

LUDWIK ŁAKOMY.

Zagadnień regionalnych Śląska część druga.

1. Praca naukowa w dziedzinie nauk przyrodniczych.

Nasampierw muszę stwierdzić, że w tej dziedzinie nie wystarczy nieokreślony pociąg do nauki, dorywcza lektura, mgliste pomysły; — wspomniane nie zastąpią gruntownego i systematycznego przygotowania; nie obejdzie się tu także bez styczności z ruchem naukowym przez należenie do odpowiednich towarzystw naukowych, zwłaszcza u nas — do Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, przez udział w ich zgromadzeniach, przez korespondencję i stosunki osobiste z przedstawicielami nauki w uniwersytetach, lub innych szkołach wyższych i przez odwiedzanie ich pracowni. Jak pisze prof. Bujak: „kto nie pożałuje trudu i pieniędzy na początek, kto się wykaże porząd-

nemi wstępniemi pracami, ten znajdzie w dzisiejszych warunkach z wszelką pewnością pomoc fachową i kierunek, jeżeli mu ich będzie potrzeba oraz poparcie materialne i możliwość ogłoszenia drukiem wyników swej pracy w wydawnictwach towarzystw naukowych lub w czasopiśmie fachowych.“ Dziś nie jesteśmy zdani tylko na własne siły tak jak dawniej. Coraz więcej mamy sposobności uczenia się i jakież szerokie pole do tego! Oto Śląsk nasz, za mało jeszcze zbadany, czeka wprost na ludzi, którzyby odkryli jego tajemnice. Są tu u nas pod względem przyrodniczo-technicznym zjawiska ciekawe, na które nikt nie zwrócił jeszcze dostatecznej uwagi. Czy może być zaś rzecz przyjemniejsza i bardziej na szacunek zasługująca, aniżeli badanie własnej

ziemi? Poznanie naszego Śląska powinno być jednym z pierwszych obowiązków naszej szkoły, a zaszczytnym warunkiem i celem każdego inteligenta. Ach, jakże często, przypominając sobie pobyt w Szwajcarii, żałuję, że u nas niema w porze wiosenno-letniej szkół, wędrujących od Cieszyna do Wilna, od Karpat do Bałtyku! Szkoła wędrowna — miast przymusowej katorgi sześciogodzinnej każdego dnia, dałaby nam, jakże lepszych obywateli od nas!

Śląsk ogromnie odczuwa brak inteligencji zawodowej z działu przyrodniczo-technicznego. Nic dziwnego — jeśli dzisiaj najżywszem pragnieniem rodziców śląskich jest kształcenie synów swoich w stanie duchownym. Przyrodników, a zwłaszcza inżynierów śląskich — prawie że niema. Stąd pochodzą częste zatargi między kierownictwem technicznym, pochodzącym zazwyczaj z innych dzielnic Polski — a między naszymi robotnikami. Źródło tego leży jedynie we wzajemnym niezrozumieniu się. Dlatego też inicjatywa Polskiego Stow. Inż. i Techników Woj. Śląskiego, założenia Politechniki w Katowicach zasługuje na najżywsze poparcie. Młodzież akademicka jest czynnikiem, którego Śląsk potrzebuje, a z drugiej strony, jakże korzystną będzie dla Politechniki atmosfera przemysłowa naszego środowiska oraz inżynierowie-Ślązacy, którzy z niej wyjdą. Ale tymczasem z 15 lat upływie, nim Politechnika Katowicka da nam naszych inżynierów.

Wracając do tematu, zajmijmy się rozważaniem nad pracą naukową w zakresie geografji. Praca ta jest łatwiejsza niż w innych naukach. Przedmiot badania geografji: powierzchnia ziemi i zjawiska, z nią związane, znajduje się w każdym miejscu, a wszędzie jest zarówno ciekawy i zarówno mało znany. Trudności wielkich w badaniu geografjnym niema na Śląsku. Trzeba wyjaśnić, że nie opis i wyjaśnienie zjawisk, ani na-

wet ich systematyka są głównym celem geografji, lecz opis i wyjaśnienie, a nawet systematyka pewnych zespołów geograficznych, czyli krajobrazów. Pisał już o tem dr. Pieter w „Zaraniu“. Geografja jest nauką o okolicach, o krajach, w pewnym ogólnym zewnętrznym ich widoku i ujęciu, oraz w ich rozwoju. Jest to nauka o pewnych tylko zjawiskach fizycznych, biologicznych i ludzkich, rozgrywających się na powierzchni ziemi, a pozostających ze sobą we wzajemnym związku i oddziaływaniu i składających się na pewien zespół, który pospolicie zwiemy krajobrazem. W tem zrozumieniu winni powstać na Śląsku badacze, opracowujący pewne ważne zjawiska jako takie z tą myślą, że posłużą one im samym, czy innym badaczom do geograficznej syntezy. Wylączyć stąd trzeba zjawiska, należące do geografji matematycznej. Owa część bowiem jest stosowaną w geografji astronomji i bez instrumentów oraz bez należytego przygotowania z astronomji uprawiać jej niepodobna. Pozostają tu rozliczne tematy z morfologii, klimatologii, hydrografji, biogeografji, a zwłaszcza antropogeografji, które wchodzą w istotę geografji i powinny być w całej pełni przez badaczy śląskich traktowane. Z morfologii czyli nauki o powierzchni ziemi można opracować rozwój i wiek najbliższego potoku lub rzeki, budowę i formę najbliższych wzgórz, wyjaśnić ciekawe szczegóły akumulacji lub erozji rzecznej, opracować wydmy, moreny, czy i formy tym podobne, wytłomaczyć powstanie rozleglejszych błot i torfowisk, zmierzyć wysokość zasadniczych punktów i porównać z pomiarami istniejącymi, określić wiek i rozwój form wogóle, zauważyć, opisać i wyjaśnić wszelkie inne charakterystyczne formy powierzchni ziemi, jak progi, krawędzie, zapadłości i zgięcia warstw, zsuwiska, oraz ich wpływ na inne formy, zwrócić uwagę na czynniki niszczące i budujące.

Z klimatologii — opracowanie stosunków temperatury powietrza w danej okolicy, przedstawienie rozmieszczenia i wysokości opadów atmosferycznych lub opracowanie rozkładu ciśnienia i wiatrów może stać się niesłychanie cennym przyczynkiem do klimatografii pewnej miejscowości czy okolicy, pod tym wszakże warunkiem, że opracowania te opierać się będą na długoletnich, przez naukę przewidzianych spostrzeżeniach i że zastosowuje się w owych opracowaniach konieczny krytycyzm naukowy. Ale nawet najprostsze spostrzeżenia nad rodzajem i jakością klimatu w danej okolicy, oparte zwłaszcza na zjawiskach fenologicznych, zaczerpniętych ze świata roślinnego czy zwierzęcego, lub na zjawiskach, wziętych z higieny ludowej i gospodarstwa społecznego, będą reprezentować cenny materiał porównawczy z klimatem innych okolic. Tu należałyby także wszelkie historyczne wiadomości o zmianach klimatu w danej okolicy, o wylewach wód i posuchach, o znikaniu pewnych charakterystycznych roślin*). Z hydrografii winniśmy opracować rzeki: Wisłę, Olzę i inne, a łatwiejszym zadaniem będzie opracowanie choćby najmniejszego jeziora w-g ustalonych zasad. Warto również mierzyć poziom wody podziemnej w kopalniach, w różnych porach roku i wykreślić mapkę wody podziemnej. Osobne tematy reprezentują zjawiska temperatury wód i ich zamarzania. Z biogeografii, uwagi o geograficznym rozmieszczeniu rzadkich roślin (jak np. naszej rezedy*), rosnącej tylko w okolicach kopalń rudy cynkowej) i zwierząt, jak również tematy z zakresu fenologii roślin i zwierząt mają u nas olbrzymie pole do pracy. Dodajmy do tego szczegółową geografję gospodarczą powiatu lub województwa, opartą na materiałach miejscowych, a po-

*) *Reseda lutea* — rosnąca w dolomicie rudonośno tryjasowym i poza ten teren geologiczny nie przechodząca.

za tem na własnym doświadczeniu: zależność budownictwa i osadnictwa od miejscowego materiału budowlanego, charakter owego osadnictwa, jego zależność od terenu i wody, rozwój dróg komunikacyjnych, geograficzne położenie śląskich ośrodków kulturalnych i wogóle zjawiska kultury materialnej w ich zależności od natury, opracowania geograficzno-statystyczne, wykonanie mapki warstwicowej najbliższej okolicy na podstawie zdjęć najdokładniejszych oraz relief, uwydatniający w sposób naoczny wszystkie znamiennejsze formy terenu — a będziemy mieli ogrom tematów wdzięcznych i pokalnych. Pracujący w tej dziedzinie winni szukać styczności naukowej z uniwersytetem Jagiellońskim i jego instytutem geograficznym, a nadto zbiorami literatury i map.

Śląsk, posiadający bardziej urozmaiconą budowę geologiczną niż reszta Polski, dostarcza większej sposobności do zainteresowania się szerszego ogółu geologją. Utwory dyluwialne tworzą tu znacznie cieńszą powłokę, z pod której wynurzają się skały osadowe i krystaliczne, reprezentujące wszystkie systemy od najstarszych do najmłodszych. Liczne kopalnie na Górnym Śląsku oraz kamieniołomy na Cieszyńskim — wraz z wszelkimi robotami górniczymi, dostarczają niemal na każdym kroku sposobności do gromadzenia materiałów naukowych. Systematyczna kontrola robót ziemnych doprowadza zwykle do posiadania przede wszystkim pięknych i rzadkich okazów paleontologicznych, których zdobycie w innych warunkach zwykle jest uniemożliwione. W innych rodzajach roboty ziemne, chwilowo tylko dostępne dla badacza, dają możliwość uzyskania bądź niezmiernie doniosłych spostrzeżeń, bądź też pozwalają na zebranie materiałów paleontologicznych z warstw nieodsłoniętych na powierzchni, a posiadających doniosłe znaczenie naukowe. Należy zwracać baczną uwagę na wszelkiego

rodzaju roboty ziemne, notując skrupulatnie warunki, w jakich znaleziono minerał. Wszelkie roboty ziemne posiadają dla geologa bardzo doniosłe znaczenie, bo z pomocą ich uzyskuje on dane, dotyczące budowy danego terenu, wykształcenia warstw oraz ich zawartości. Większość takich robót dokonywa się bez uwiadomienia i kontroli osób naukowo zainteresowanych. Olbrzymie znaczenie posiadają dane, pochodzące z otworów świdrowych, dosięgających zwykle większych głębokości, niż zwykłe odsłonięcia. Próby skał z takich odsłonieć uzyskać można z pomocą majstrów wiertniczych. Profile otworów wiertniczych same przez się bardzo interesujące, pozwalające na zbadanie szeregu ciekawych zagadnień, doprowadzają do poznania wykształcenia i grubości warstw dyluwalnych. Przy porównywaniu odpowiedniej liczby wierceń uzyskujemy dane, dotyczące ukształtowania i budowy skał starszych, podścielających podstawę potężnej pokrywy dyluwalnej. Trzeba tu umiejętnie i celowo gromadzić materiały faktyczne. Każdy okaz gromadzony winien być zaopatrzony etykietką, na której notuje się miejsce znalezienia, z dokładnem określeniem położenia geograficznego danego punktu. Należy również zanotować wszelkie nazwy lokalne, dotyczące danego terenu. Trzeba podać warstwę według jej kolejności, obserwowanej w odsłonięciu, jej grubość, położenie oraz wszelkie dostępne obserwacje. W podobny sposób należy postępować przy zestawianiu profilów warstw odsłoniętych, przy wszelkiego rodzaju robotach ziemnych. Poza zestawieniem kolejności warstw i wyszczególnieniem charakterystycznych cech, wyróżniających każdą warstwę z osobna, dobrze jest taki profil podać, szkicując go. Z przestudjowanego w ten sposób profilu należy zebrać próby warstw według naturalnej ich kolejności oraz odszukać skamieniałości, jeśli występują. Jednak bezmyślne kolekcjonowanie t. zw.

„osobliwości przyrody“ jest dla nauki prawie bez pożytku, a poniesione trudy idą na marne. Pracę niniejszą rozpocząć można przede wszystkim w szkole średniej. W naszym ośrodku, skupiającym w sobie znaczną liczbę osób zainteresowanych geologią, praca powyższa jest nader ważna, choćby z konieczności ratowania bardzo cennych materiałów geologicznych, z dnia na dzień ginących. Przemysł górniczy, we własnym, dobrze zrozumianym interesie, winien u nas na Śląsku poprzeć inicjatywę prywatną, organizując muzeum wojewódzkie oraz podtrzymując zainteresowanie geologią, jako nauką, przynoszącą górnictwu wielkie korzyści.

Ciekawem również zagadnieniem dla śląskich geologów będzie sprawa wstrząsów podziemnych, które powodują szkody materialne, wywołując procesy niekiedy długotrwałe i kosztowne. Są dwie przyczyny tego: po pierwsze górnicze, a po drugie — geologiczne. Dla studjowania wstrząsów górniczych jest tendencja do zakładania osobnych stacyj sejsmicznych, położonych w obrębie danego zagłębia. Jak zaobserwowano, wstrząsy podziemne skupiają się głównie na skrzyżowaniu niecki bytomskiej z 2-gą mniejszą koło Rudy. Wschodnia część siodła bytomskiego jest posiekana uskøkami. Tutaj też po okresie szybszego osiadania przychodzi następnie okres osiadania słabego, największe zaś przesunięcia poziome idą nie w kierunku wydobywania pokładu w kopalni, lecz w kierunku niecki bytomskiej. Jak pisze dyr. inż. St. Majewski „parę stacyj sejsmicznych, rozłożonych na terenie Śląska, jak to planuje Wyższy Urząd Górniczy w Katowicach, mogłoby wskazać zawsze odnośne epicentrum wstrząsu lub trzęsienia. Jeżeli sejsmografy wskażą punkt, gdzie nie można wskazać przyczyn górniczych, tam będzie niewątpliwie ruch tektoniczny.“ Tam, gdzie się krzyżują kierunek sudecki z świętokrzyskim, tam są najliczniejsze wstrząsy. To znowu

miałoby pewien związek z pozycją naszego zagłębia do ogólnego rozłamu ziemi. Główny rozłam ziemi biegnie wzdłuż morza Śródziemnego i wzdłuż gór trzeciorzędowych przez Karpaty, Kaukaz, Himalaje, poprzez ocean Spokojny i dochodzi do morza Karaibskiego. Nasze zagłębie leży tuż przy owym tak charakterystycznym dla naszej ziemi łuku głównego przelomu, co oczywiście też może mieć wpływ na tektoniczne objawy w obrębie tego zagłębia*). Jaki jednakże charakter mieć może ten przypuszczalny wpływ przelomu ziemi na polskie zagłębie węglowe, to wykazać powinny skoordynowane badania sejsmiczne sieci obserwacyjnych stacyj, których powstanie jest konieczne. J. Samsonowicz stwierdza, że bez należytego poparcia badań geologicznych, bez wydawania prac teoretycznych i map, — smutna przyszłość czeka nasz przemysł górniczy. „Znajomość naszych bogactw kopalnych, szczególnie takich, jak rudy żelazne, sole potasowe, fosforyty, torfy, węgle brunatne, minerały radioaktywne, wskutek smutnego spadku po zaborcach, jest bardzo jeszcze niedostateczna.“ Musimy tereny śląskie dokładnie poznać, bogactwa zinwentaryzować i wyniki badań uprzystępnic ogółowi; bez uskutecznienia tych zadań racjonalna gospodarka państwowa jest niemożliwą. Przed geologami śląskimi stoi otwarta droga. Z hasłem — „Myślą i młotem“ — poznawajmy tajniki naszej dzielnicy, ukryte w ziemi.

Znajomość historii śląskiego górnictwa jest jeszcze bardzo niedostateczna. Na tem polu dużo pracują niezamordowany dyrektor Szkoły Górniczej w Tarnowskich Górach inż. Feliks Piestrak, wydając, zwłaszcza w ostatnich latach szereg przyczynków drukowanych w „Techniku“**) oraz wicedyrektor

*) L. Łakomy: Przyczynek do monografii geologicznej G. Śląska.

**) Inż. F. Piestrak. Pierwsze początki i rozwój Szkoły górniczej w Tarn. Górach (i inne).

W. U. Górn. inż. Stanisław Majewski**). Dużo, zwłaszcza o powstaniu górnictwa na Śląsku, można znaleźć w powieści Jana Jakóba Kowalczyka p. t. „Zbójnik i opiekun“, a jedyną w języku polskim pracą obok wyczerpanej już dawno, przed 90-cioma laty „Historji górnictwa“ H. Łabęckiego jest monografia Ludwika Łakomego p. t. „Górnictwo w dawnej Polsce i na Górnym Śląsku“. Społeczeństwo na Śląsku winno sobie uświadomić cele i znaczenie geologii. Przy poszukiwaniach wody i górniczych, określaniu zasobów torfów, glin, wapieni i t. p. osoby zainteresowane nie zdają sobie sprawy z konieczności zasięgnięcia fachowej opinii geologów. Stąd wyniki setek otworów świdrowych, wykonanych bez dozoru fachowego, tysięcy kopanych studni i szybków poszukiwawczych giną dla nauki na zawsze, a że często w tych warunkach nie dają dodatnich wyników, zrażają inicjatorów do dalszych prób. Zkolei zajmijmy się botaniką. Jak pisze prof. B. Hryniewiecki: „do pracy naukowej w dziedzinie botaniki potrzebne są dwa warunki: 1. pomoc naukowa w postaci książek i pracowni, zaopatrzonych we współczesne narzędzia badania naukowego, 2. materiał do badań w postaci żywego świata roślinnego“. Śląsk posiada dużo osób o wyższym wykształceniu przyrodniczym, jak leśnicy, rolnicy, nauczyciele przyrody, farmaceuci, którzy, mając możliwość stykania się z żywą przyrodą, przy odrobinie dobrej woli mogą oddać duże usługi sprawie poznawania szaty roślinnej naszej dzielnicy. Przy pomocy odpowiednich kluczy do oznaczania roślin, flor i atlasów łatwo można drogą samouctwa poznać bliżej otaczający nas świat roślin i dojść do możliwości czynienia czasami samodzielnych obserwacji, a nawet samodzielnych prac, dotyczących

**) Inż. S. Majewski: „Herby górniczych miast Polski“. „Perlik i żelazo“. „400-lecie ustawy górniczej na G. Śląsku.“

szaty roślinnej pewnych miejscowości. Terenem pierwszych badań winno być najbliższe otoczenie, a więc łąki kwietne i bagniska niedostępne, rzeka, jezioro, staw lub sadzawka, co dają życie tylu najrozmaitszym formom roślinnym; bory i lasy, z gęstą, skupioną roślinnością, wśród której odbywa się ciągła walka o byt — o każdą piędź ziemi, o każdy promień słońca; góry i skały z rzadką roślinnością, wytrwale walczącą z nieprzyjawnymi warunkami otoczenia i z tego powodu, zbrojną w szereg przedziwnych przystosowań, pozwalających jej wychodzić zwycięsko z tej walki. Tu znów Śląsk jest wymarzoną terenem do pracy naukowej.

29 procent całego Śląska zajmują lasy, a obszar przez nie zajęty, wobec racjonalnej gospodarki i skupienia lasów w ręku wielkich ordynacji, nie zmniejszył się od 100 lat. W większości są to lasy szpilkowe. Do najbardziej zalesionych obszarów należy powiat lubliniecki, gdzie przeszło połowę powierzchni zajmują lasy; posiadają je też powiaty rybnicki i pszczyński oraz stoki Beskidów. Nic dziwnego, że Śląsk posiada dużo pomników przyrody, godnych bliższego zapoznania się z nimi. Oto obok Siemianowic np. osobliwością przyrody jest klon, który rośnie w kamieniołomach o 12 m poniżej poziomu ziemi, gdzie zsunął się po długotrwałych deszczach, żadnego nie ponosząc szwanku. Za wsią Radoszowy rosną liczne okazale buki o 3—4 m obwodu, graby i klony oraz wiaź 20 m wysokości. W parku świerkowieckim znajdują się dwa okazale bzy pospolite, jeden o 4-ch, drugi o 2-ch pniach, przeciętnie każdy pień ma 1 m obwodu. Między Świerkłańcem a Kozłową Górą rośnie na bagnisku brzoza o czarnej korze, w towarzystwie mało rozwiniętych dębów. W Reptach — buk o przeszło 3-ch m obwodu, do pnia którego przybite niegdyś rogi jelenie wrosły prawie zupełnie w drzewo. W Reptach również znajduje

się bardzo ładny, dzięki swej gęstej kulistej koronie kasztan, bodaj czy nie najładniejszy na Śląsku. Lasy koło Jędrzyska posiadają cis o rzadkiej prawie stożkowej koronie, a przy nim obok rośnie brekinia o 3-ch m obwodu, trochę dalej zaś — oryginalna grupa ze zrosniętego dębu i sosny, które osiągnęły przeszło 40 m wysokości, a obydwie pnie zupełnie zrosnięte mają 4 m obwodu. Przy drodze do Wierzbna rosną 4 lipy o 3-ch m obwodu, a jedna z nich, uważana przez ludność za cudowną, posiada w pniu zagłębienie, gdzie zbiera się woda podczas deszczu. Osobliwością parku w Pszczynie są figi w cieplarni, 400 lat liczące, oraz rosnący na polance olbrzymi klon o 4-ch m obwodu i 28 m wysokości; obwód jego wspaniałej korony wynosi 70 m. Obok Wilczej Górnej znajdują się okazale grusze polne, potężne dęby i rozłożyste lipy. Nad rzeczką Rudą, przy Szczekowicach rośnie najokazalszy świerk Śląska o 3-ch m obwodu. Dąb w Baranowicach ma przy ziemi ponad 7 m obwodu, a dziuplasta lipa posiada korzenie powietrzne. Najokazalszy grab znajduje się w Ruptawie, a pień jego o 3-ch m obwodu, niewiele jest wyższy ponad 3 m, dźwiga jednak wysoką i bardzo bogatą koronę. Przez wypiłowanie kilku gałęzi, utworzono w nim miejsce dla stołu i czterech miejsc siedzących. W Jastrzębiu-Zdroju, w pobliżu lasu Wiktora spotykamy buk b. wysoki o 5.5 m obwodu — niestety zupełnie wydrażony i na wysokości 2-ch m nad ziemią do połowy strzaskany, poza tem wspaniałe świerki, graby, dęby. W Zosinku — 30 starych modrzewi, które mogą być uważane za występujące pierwotnie.

W Gotartowicach spotykamy oryginalny jałowiec w formie drzewa o półmetrowej szerokości i 7 m wysokości. Lasy dzimierskie mają sosny guzowate. Trzeba wspomnieć, że Segethwald obok Reptów posiada bardzo ciekawą florę. Jakże

się bliżej zapoznać z botaniką? Przykład Karola Darwina, tego genialnego samouka w dziedzinie botaniki, najlepiej wskaże, jaką drogą należy kroczyć, chcąc zawrzeć bliższą znajomość ze światem roślin. Oto ci pisze: „zajęci jesteśmy małą botaniczną pracą! Rzeczywiście zajmuje mnie ona bardzo, a mianowicie: zbieramy wszelkie rośliny, jakie rosną na kawałku pola, nieuprawianym od lat piętnastu, lecz przedtem, od niepamiętnych czasów uprawianym. Zbieramy też wszystkie rośliny na przyległym i podobnym, lecz uprawnym kawałku pola, aby dla rozrywki zobaczyć, jakie rośliny przybyły lub wyginęły. Jeżeli zechcesz kiedy złapać jakiego początkującego i dać mu zakosztować botaniki, powieć mu, ażeby sporządził pełny spis roślin z jakiego kawałka łąki lub lasu.“ (Autobiografia.) Praca taka każdemu, kto do niej się wciągnie, daje głębokie zadowolenie estetyczne i moralne. „Gdy zbieram zielnik, nie czuję się nieszczęśliwym“ — mawiał J. J. Rousseau. W pracy takiej oprócz wzbogacania własnej wiedzy zyskujemy dzięki pobytowi na świeżym powietrzu zdrowie i siłę, a jednocześnie, zapominawszy o troskach i zabiegach, związanych z walką o byt, przenosimy się w świat inny, idealniejszy. Dzisiaj, gdy jesteśmy gospodarzami własnego kraju, musimy we wszystkich dziedzinach, a więc i w sprawie zbadania naszej szaty roślinnej, przystąpić do pracy zorganizowanej. Nasamprzód trzeba zacząć gromadzić zbiory miejscowej flory, którymi można wyposażyć muzeum szkolne, lub nawet wojewódzkie i dać materiał do ognisk naukowych w miastach uniwersyteckich. Nowoczesna geografia botaniczna z nauki opisowej stała się rozumową: nie zadawała się suchą statystyką roślin, lecz stara się wyjaśnić historię rozwoju każdej flory, jej stosunek do czynników zewnętrznych, jak woda, światło, temperatura, powietrze, gleba, stosunek jednych roślin do drugich, stosunek ro-

ślin do zwierząt, wpływ człowieka na szatę roślinną. Poznajemy przez to różne społeczeństwa roślinne, ich wzajemny stosunek, wypieranie jednych gatunków przez drugie (dąb np. skazany jest na zagładę w walce z innymi drzewami, świerk często wypiera sosnę i inne drzewa i t. p.). Ciekawą jest rzeczą rozbiór wpływu człowieka na zmianę roślinności, a więc: rozpowszechnienie się różnych chwastów, zmiany, jakie zachodzą w roślinności leśnej, na porębach i t. d.; wędrowka nasion wzdłuż wielkich rzek i plantów kolejowych również może być wdzięcznym polem do badań.

Badanie torfowisk jest doskonałym tematem do poznania wpływu gleby na charakter szaty roślinnej. Skąły, zwłaszcza wapienne i kredowe, dają często przytułek bardzo rzadkim roślinom, które nieraz mogą rzucić ciekawe światło na historię rozwoju naszej flory, to samo mogą nam opowiedzieć resztki roślin polodowcowych, znajduwane częstokroć w torfowiskach. Jeżeli poznamy dokładnie florę miejscowości i ułożymy spis wszystkich roślin danego terytorjum, to badanie takie powinniśmy oprócz na poznaniu naukowym zarówno rzeźby powierzchni, hydrografji i warunków klimatycznych, a zwłaszcza gleby i starać się związać z temi czynnikami zmienność szaty roślinnej. Posiadanie mikroskopu może znacznie rozszerzyć zakres naszych badań, nie ograniczając ich tylko do roślin wyższych, lecz skierować je ku zapoznaniu się z roślinami zarodnikowymi, jak mchy, których znajomość jest niezbędna dla każdego, kto zechce badać naukowo torfowiska, jak porosty, grające pewną rolę w szacie leśnej, jak glony, składnik charakterystyczny naszych wód i wreszcie grzyby, zwłaszcza pasorzytnicze, wywołujące choroby roślin, których badanie może mieć nie tylko teoretyczne, ale i praktyczne znaczenie. Zapal do fotografji, jaki dziś ogarnął szersze sfery, może być doskonale wyzyskany w dzie-

dzinie botaniki; dobre zdjęcia rzadkich okazów roślinnych narówni z zielnikiem stanowią cenny materiał do poznania naszej flory. Zadaniem śląskiego botanika będzie też zwrócenie uwagi na pomniki przyrody, znajdujące się w najbliższym otoczeniu, czy to będzie rzadsze zbiorowisko roślinne, czy też oddzielne piękne lub rzadkie okazy drzew i dążyć przez zwrócenie się do Komisji Ochrony Przyrody, do zabezpieczenia i uratowania od zagłady, a przede wszystkim do zinwentaryzowania, a więc dokładnego opisu i fotografji. Tak pojęta praca powinna doprowadzić do opracowania botaniczno-geograficznego działu monografji o Śląsku, o której pisałem poprzednio. Bliższych informacyj i wskazówek udzieli doskonale i nieporównane wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego pt. „Poradnik dla samouków — Botanika“, oraz podręcznik prof. B. Hryniewieckiego: „Zielnik i muzeum botaniczne. Wskazówki praktyczne, jak zbierać, preparować, konserwować, oznaczać rośliny i układać zbiory botaniczne.“ Uważam, że organizacja powyższej pracy winna się zająć na terenie Śląska „Państwowa Szkoła Gospodarstwa wiejskiego“. Przejdźmy z kolei do pracy nad naukami biologicznymi i zoologją. Z zakresu zoologii nadają się najlepiej zagadnienia, dotyczące fizjografji, więc systematyki, ekologii i chorologii. I znów badacze śląscy są w tem szczęśliwym położeniu, że materiału im nie brakuje. Zaczątki ogrodu zoologicznego w Katowicach, kilka okazałych zwierzyńców, między innymi zwierzyńiec ks. Pszczyńskiego na 100.000 ha, posiadający wytopione już gdzie indziej żubry, dają badaczom szerokie pole do działania.

Nieznaczny stosunkowo aparat pracowniczy i bibliograficzny, wszak lupe, przyrządy rysunkowe, jedną lub kilka prac podstawowych o danej grupie zwierząt każdy może sobie nabyć, ułatwią

pracę w dziedzinie fizjograficznej. Mogą one obejmować opracowania fauny lądowej i wodnej poszczególnych grup zwierząt w całej naszej faunie, zwierząt, znajdujących się w naszym województwie; mogą traktować o ich ekologii lub ekologii zbiorowisk, wydym, torfowisk, źródeł mineralnych, jaskiń, w całym swoim lub częściowym zespole. Dalej należą tu obserwacje nad życiem zwierząt w przyrodzie i hodowli sztucznej; spostrzeżenia nad szkodnikami w gospodarstwie rolnem i leśnem; zagadnienia z dziedziny biologji wód, złączone z gospodarstwem wodnem. Pod tym względem nasza dzielnica jest jeszcze niedostatecznie poznana, bowiem badania, przeprowadzone tu przez państwa zaborcze, często zbyt powierzchownie i czynione bez związku z resztą ziem naszych, wymagają gruntownego powtórzenia, by tym sposobem znajomość Śląska pogłębić i objąć go w posiadanie również pod względem poznania przyrodniczego. Studjowanie objawów życia biologicznego wykształca bystrych obserwatorów i rozważnych ekonomistów pracy. „Ciągłe rozszerzanie się zaraz zwierzęcych na naszych ziemiach grozi stopniowem wymieraniem i marnieniem inwentarza żywego i wymaga co rychlej zorganizowania planowej, systematycznej walki z zarazami, opartej na szerokich podstawach naukowo-doświadczalnych, zarówno pod względem djagnostyki, jako też lecznictwa i zapobiegania. Cała dziedzina biologji szkodników nie jest jeszcze wogóle dostatecznie zbadana. Mimo dość wysokiej u nas kultury rolnej mamy stosunkowo za mało gospodarstw wzorowych oraz odpowiednich zakładów hodowlanych. W dzisiejszej sytuacji oczekiwać winniśmy podniesienia się rybności śląskich jezior, stawów i rzek, zwłaszcza w Cieszyńskim, jedynie przez najwydatniejsze popieranie stacyj zarybkowych, prowadzonych przez wyszkolone siły. Tymczasem fachowców ichtjologów mamy zaledwie

kilku. A przecież musi się u nas rozwinąć rybactwo, przedewszystkiem w kierunku racjonalnej ochrony, sztucznego zarybiania i wreszcie racjonalnej eksploatacji, aby mogło dojść do stałego maximum wydajności dla każdego obszaru wody. I tu mają wielkie pole do pracy nasi rolnicy. Streszczając wszystko, co powiedzieliśmy o naukach przyrodniczych, dochodzimy do wniosku, że zadanie badacza polega na

wyszukaniu prawdy w przyrodzie i podaniu odkryć w postaci takiej, by odkrycia te całemu Śląskowi mogły wyjść na pożytek. Najlepszą propagandą zawsze są nie słowa, lecz czyny, poszukiwania i własna oryginalna twórczość w każdej dziedzinie, składająca świadectwo żywotności plemienia i jego racji bytu, jako odrębnego członka danego państwa.

(C. d. n.)

JANUSZ STASZEWSKI.

Na śląskiem pograniczu 1806-7 r.

Na hasło, rzucone przez Napoleona, nie pozostała Polska głuchą. Skoro tylko odezwy Dąbrowskiego pokazały się w Wielkopolsce, ludność porwała za broń, aby stanąć razem pod znakami zwycięskiego Cesarza i dla swej ojczyzny walczyć niepodległość.

Zaledwie tylko zerwano więzy w Wielkopolsce, już wzrok zwracano ku przastarej piastowskiej ziemi śląskiej. Dwaj obywatele nadgranicznego powiatu rawickiego, Grabowski i Krzycki, donoszą w dniu 14 listopada 1806 r.¹⁾ iż „przybywszy do Miejskiej Górki, a dowiedziawszy się, że park artylerji pruskiej stoi w Stramburku, miasteczku śląskiem, pod komendą dragonji — zebraliśmy tyle ochotników tak z miasta Kroli, jako i dóbr... abyśmy w stanie byli zabrać tę artylerję. Posłaliśmy szpiegów do Stramburga, aby wypatrzyli, czyli tak jest istotnie, czyli nie, a my pociągnęli pod Rawicz. Ci szpiegowie powrócili tam stąd: nic nie zastali, gdyż ta artylerja kilka dni naprzód była do Wrocławia odesłana i o mil trzy tu stąd niemasz żadnego Prusaka, jak rozproszone wojsko, z których my wczoraj 13 bez paszportu

zabrali, a gdy mają chęć służyć, stawimy ich w Poznaniu zupełnie uzbrojonych.“ W ten sposób jednak niefortunny zakonczyła się pierwsza zamierzona wyprawa na Śląsk, opanowany jeszcze wówczas przez wojsko pruskie. Jednakże ustawicznie oczy dowódców polskich, stojących nad granicą, zwracają się tam poza granicę dawnej Rzeczypospolitej, do ziemi polskiej, przed laty utraconej. W miesiąc po opisanych wypadkach niedoszłej na Śląsk wyprawy donosi o sprawach śląskich dowódca polski, stojący w Częstochowie, Miaskowski Kasper²⁾, że „wiadomości, zasięgnięte o Prusakach na Śląsku... jedno głoszą, iż Prusacy, w fortecach zamknięci, dosyć spokojnie siedzą... (a jeno) 200 huzarów uwija się nad granicami“.

Pilnie obserwować granicę śląską zaleca swym podkomendnym w kaliskim departamencie ówczesny naczelny dowódca polskich sił zbrojnych gen. Dąbrowski, kwaterujący w Poznaniu, a później w Warszawie. Obu dowodzącym tam generałom Skórzewskiemu i Biernackiemu³⁾ zaleca, aby „wybrać z kawalerji kaliskiej ludzi najlepiej uzbrojonych, na najlepszych koniach i dodawszy im oficerów zdatnych i doświadczonych, wy-

¹⁾ Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie, coll. autogr. 210, korespondencja gen. Dąbrowskiego, teka X, nr. 97; będąc cytować „Dąbr. X, 97“.

²⁾ Dąbr. X, 113.

³⁾ Dąbr. LV, 118-119, 121.

syłać na jak najczęstsze patrole wszędzie wokół, nawet do Śląska pruskiego dla wywiedzenia się dokładnego o nieprzyjacielu.“ Na tem jednak ograniczono akcję. Nie przeniesiono w porę ruchu polskiego na Śląsk, nie wzięto go z dwóch stron, gdyż od zachodu ciągnęły wojska francuskie i szczybiły się o mury fortec śląskich, a tymczasem Niemcy rozpoczęli akcję. Nadgraniczna izba wojenna i administracyjna departamentu kaliskiego pilnie obserwowała wypadki na Śląsku. Łącznie z projektowaniem opuszczeniem departamentu przez formujące się wojsko regularne polskie i pospolite ruszenie raportowała wspomniana izba⁴⁾, „iż coraz większe wzmagają się pospolite ruszenie w Śląsku i coraz bardziej zagraża departamentowi tutejszemu, wzięwszy już gwałtownie jednego obywatela Miroszewskiego... Ks. Pless obrany został naczelnikiem poruszenia tego na Śląsku... Kolonie bardzo wielkie Szwabów w kluczach dóbr narodowych tego (kaliskiego) departamentu, jak zajmują, baczność izby naszej tak w najmniejszym poruszeniu powstania śląskiego w nasz departament okropneby ściągnąć mogły skutki.“ Upraszano tedy o pomoc w postaci wojska linjowego, a bodaj o pozostawienie na miejscu pospolitego ruszenia.“ Jednakże wszystkie oddziały polskiej siły zbrojnej ruszyły na Pomorze, a jako osłona terenów polskich od strony Śląska pozostało jedynie pospolite ruszenie części dawnego województwa krakowskiego⁵⁾, przyłączonej po rozbiorach do kaliskiego departamentu. Czy takie załatwienie sprawy było dobre, możemy mieć pewne wątpliwości. Nasuwa je raport por. Trembeckiego z komendy pospolitego ruszenia krakowskiego, który kilkakrotnie z rozkazu swego dowódcy Wojciecha Mącińskiego patrolował na Śląsku. Trembecki wyraźnie stwierdza⁷⁾, iż, patrolując

w Śląsku przed parą tygodniami aż pod same Koźle, znalazłem zaufanie obywateli niektórych⁸⁾, a pospółstwo radosnymi okrzykami witało (nas) jako wybawców i tu do Siewierza, stojącego główną kwartę przysyłali, prosząc o ratunek i pomoc przeciwko tym komendom (pruskim w Bytomiu, Tarnowskich Górach i Gliwicach), którzy ich tylko niszczyli i gwałtem do żołnierzy brali. Oni się im gwałtownością odpierali i łańcuszki, w które byli okuci, do mnie przynieśli, więc dla zabezpieczenia onych nie czekałem, aż sobie inne komendy wypoczną — ruszyłem sam z moją komendą i nie czekając ani żądając od nikogo sukursu, gdyż byłem nadto pewny o odwadze moich wszystkich, żebym był z niemi te stosedmdziesiąt ludzi częścią złupotał, częścią rozproszył. Lecz biada nam tu, że jesteśmy otoczeni w każdym mieście Niemcami, którzy wszystkie nasze czynności nieprzyjacielowi donoszą. Właśnie jak i teraz ruszywszy z komendą stąd, podnosili tym komendom, że w Śląsk wkraczamy, które po odebraniu tych doniesień w pół godziny z garnizonów wymaszerowali i z nich nic zyskać nie mogłem, jak tylko, że zabral (im) Greffen czternaście koni, owsa 200 korcy, 15 skopów... Wszedłszy w granice, orły kazałem porąbać i w każdej wsi i mieście zalecałem spokojność, mówiąc, iż przez nasze wkroczenie w Śląsk chcemy obywatelom Śląska prawdziwą spokojność przynieść i ich ubezpieczyć od wszelkich pruskich gwałtownościów, gdy będą spokojni, gdyż ten kraj nie jest po Odrę pruski tylko polski. W przypadku zaś najmniejszego poruszenia się przeciwko nam groziłem im zupełnem zrójnowaniem wsi i miast, lecz oni się zupełnie wydają przychyłać do nas i będąc teraz w Bytomiu i Tarnowskich Górach na dniu 2 i 3 (stycznia 1807), dopraszali się, aby do nich nasi ko-

⁴⁾ Dąbr. X, 205.

⁵⁾ Dąbr. X, 228.

⁶⁾ Dąbr. LV, 161—162.

⁷⁾ Dąbr. XI, 36.

⁸⁾ Zapewne ma na myśli obywateli ziemskich.

misarze jak najprędzej przybyli i od nich przysięgę wierności i posłuszeństwa odebrali, a oni chcą być prawdziwie posłusznymi i wdzięcznymi za uwolnienie ich.“ Jednakże siły polskie zbyt słabe były i nie były w stanie przedsięwziąć silnej akcji na tej prastarej ziemi polskiej, gdy przeciwnie komendy pruskie coraz to bardziej gromadziły się nad granicami, wypierane przez wojska francuskie od zachodu. Męciński⁹⁾ kilkakrotnie ucierał się na czele swych oddziałów z Prusakami, zbyt jednak słaby był, aby występować czynnie i zdecydowanie. Ucichęł przeto na pograniczu walki i Śląsk, garnący się do powstania, nie mając pomocy, jęczał pod jarzmem pruskim. Jednakże w połowie kwietnia mamy jeszcze jeden wypadek wtargnięcia Polaków na to terytorjum. Uczynił to książę Jan Sułkowski, stojący na czele jednego z oddziałów komendy Męcińskiego, który usamodzielnwszy się, otrzymał pozwolenie na formację polskiego pułku huzarów. Raporujący o tej wyprawie komendant twierdzy Częstochowy płk. Górski¹⁰⁾, chociaż miał nadzór i był zwierzchnikiem Sułkowskiego, nie umiał sprecyzować celu wyprawy. Wedle jednej wersji miał Sułkowski ruszyć na mocy rozkazu, działającego na Śląsku ks. Hieronima Bonaparte'go, wedle innej, aby zebrać dla swego regimentu potrzebną ilość koni i rekwizytów. Sułkowski, opadnięty przez przemagające siły pruskie, został pod Koźlem rozbity i ze szczątkami zaledwie umknął w granice Księstwa Warszawskiego. Górski jednak nie miał dość słów na potępienie zachowania się Sułkowskiego wobec ludności Śląska, albowiem on i jego huzarzy „miasteczko Mysłowice zrabowali, chłopom w Śląsku wiele koni pozabierali i dotychczas jeszcze chłopstwo uspokoić się nie może. Jednego także Polaka w Ślą-

sku osiadłego i dobrze myślącego ze wszystkiem zrabowali. On sam ledwo z życiem i swoją familją schronił się przed własnymi rodakami.“ Rzecz jasna, iż takie postępowanie nie mogło przynosić ani zaszczytu ani korzyści sprawie polskiej. To jedno można rzec na pocieszenie, że Sułkowski wobec władz polskich Księstwa Warszawskiego i wraz z całym swym regimentem poszedł w służbę ks. Hieronima Bonaparte'go, który, zostawszy królem wirtemberskim, oddział ten wcielił do swej gwardji. Jeżeli mowa jest o bojach, toczonych na Śląsku przez oręż polski, nie sposób milczeniem pominąć pięknej szarży ułanów nadwiślańskich, dawnych kawalerzystów legji włoskiej Dąbrowskiego. Pułk ten na rozkaz Napoleona zdążył do kraju z odległego Neapolu i w połowie maja stanął w Lignicy¹¹⁾. Do tego miasta razem z niemi zjechał cofający się z przeciwnej strony francuski generał Lefebore-Desnouttes, rozgromiony przez oddziały ks. Anhalt-Pless. Uradowany temi niespodziewanemi posiłkami, porwał ze sobą Lefebore jazdę polską. 15 maja dopadli Polacy powstańców pruskich pod Świdnicą. Jak burza rzucili się polscy ułani na wroga. W proch rozbili jazdę nieprzyjacielską i pognali przeciw gotującej się do walki 5000 kolumnie. Impet jazdy polskiej zrobił swoje — przeciwnik, dziesięćkroć liczniejszy, rozbity, uchodził przed lancą polską. Ułani okazali się godnymi swych przodków — huzarzy z pod Kircholmu, czy Wiednia.

Takie były więc starcia i walki na pograniczu Śląska i powstającego z pod pruskiej przemocy Księstwa Warszawskiego, szczątki dawnej Rzeczypospolitej. Widać, że wśród Polaków były zamiary przeniesienia walki orężnej na Śląsk i że znajdowały one oddźwięk u ludności. Żałować należy, iż zbyt słabe siły nie pozwoliły na zrealizowanie tych planów.

⁹⁾ Dąbr. XI, 131.

¹⁰⁾ Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie. Ministerjum Wojny Księstwa Warszawskiego, 333, f. 122.

¹¹⁾ Kukiel Marjan, Dzieje wojska polskiego w dobie napoleońskiej, Warszawa 1918, t. I, str. 189 i nast.

Z archiwum szkolnego Zboru Ewangelickiego w Cieszynie.

Jak uczono w szkołach na Śląsku w ubiegłych stuleciach? Czy uczono także po polsku? Jaka była ta polszczyzna, której używano? Dobry pogląd na tę sprawę, o ile chodzi o szkołę i gimnazjum ewangelickie w Cieszynie, daje nam archiwum szkolne zboru ewang. w Cieszynie, gdzie znajduje się duży stos zeszytów szkolnych (o ile zdołałem stwierdzić) z lat między r. 1740 a 1830. Widać z nich, że w pierwszej połowie 18 stulecia uczono już w niższych klasach dużo łaciny i niemieckiego języka, natomiast rzadszemi są wypracowania polskie, przy czem posługiwano się przeważnie narzeczem. Z końcem zaś 18 i z początkiem 19 wieku zjawia się w zeszytach niższych klas piękna, literacka polszczyzna i język polski, odtąd w tych zeszytach zajmuje pierwsze miejsce obok niemieckiego, mniej zato spotyka się w niższych klasach łaciny. Koło r. 1830 cztery języki są w niższych klasach mniej więcej równomiernie uwzględniane: polski, niemiecki, francuski i łaciński. Wyjątkowo można też spotkać i wypracowania czeskie, jako że i ewangelicy czescy przyjeżdżali się kształcić do Cieszyna. Rozprawy dłuższe uczniów wyższych klas gimnazjalnych pisane są po łacinie i po niemiecku.

Bierzemy do ręki jeden z zeszytów. Widnieje na nim napis łaciński: „Explo-
ratoria Classis III-tiae minoris lat. in Exa-
mine mensis Solenni ante Ferias majales
1748.“ (Wypracowania klasy 3-ciej młod-
szej łacińskiej w egzaminie uroczystym
miesiąca przed wakacjami majowymi
1748.)

Wewnątrz znajdują się kolejno wy-
pracowania różnych uczniów, przeważnie

łacińskie i niemieckie. Blisko końca kilka wypracowań w języku polskim, z któ-
rych przytaczamy wypracowanie 11-let-
niego Pawła Twardego z Trzycieża, póź-
niejszego polskiego pastora przy kościele
św. Krzysztofa we Wrocławiu, zasłużone-
go na polu piśmiennictwa polsko-ewan-
gelickiego.

Po lewej stronie znajduje się w zeszy-
cie tekst niemiecki, po prawej polski,
który brzmi:

Dziewka wstoń a skleń ogień, a po-
stów kociel. Jo widzę, że sie ty nie wiele
po tym pytasz tybyś wolała spać aż do
iutra iakby sie rozwidniło kiedybychmy
cie nie obudzili. Już przyszły praczki?
Teraz idą io iuż musze wstać i przydzi-
wać sie bo by oni dobrze nie robili No,
miłe Dziaćki, pospiechaicie sie a preicie
pilnie io wam zaraz zprawie sniadanie.
a zprawiłaś Lug? Ja Ale nie jest barzo
ostry wysp tam ieszcze popiołu. No iuż
jest ostry, Patrzcie iako mi sie Ręce po-
szczypały. Są iuż Szaty pierwszy raz wy-
prane? Ja Pani, Ale ieny w kotle ś nimi
mieliście ich mydłem pomydlieć Mychmy
ich sprawiedliwie pomydlili.

Paulus Twardy d. 15 April Anno 1748.

W podobnym zeszycie z listopada r.
1751 pisze „Jacob Woynar“:

Droga ktoro do Nieba prowadzi iest
wąsko a mało tych Ktorzy iom znaidnią.
Pokutniacem a wierzącem iest bardzo
przyjemno choć iest z Ciernim zormutku
obsadzono. Bo kiedy na Prawo abo na
Lewo przes niszczenie albo Podchlebstwo,
od tego odstąpić, ale prosto a raśno iść,
to przendom, przes ćiasną Bronę, do Nie-
bieskiej radości abo Zogrody, abo do
zywota wiecznego.

O wiele korzystniej przedstawiają się pod względem językowym wypracowania późniejsze. Oto jedno z takich wypracowań, napisane w formie listu do ojca w listopadzie 1805 r. przez Jerzego Gocha z Międzywiescia:

Mnie wielce Kochany Panie Oycze
A moy wielce łaskawy Dobrodzieciu!

List Wasz Mości de dato 10-tego Września Roku bieżącego, z Poczty odebrawszy i z onegoż o Wasz Mości, i Kochaney Pani Matki Dobrodzieyki moiey, z inszemi krewnymi zdrowiu i dobrym powodzeniu zrozumiawszy, wielcem się z tego ucieszył i nie przestanę Boga najwyższego za to chwalić i o dalszą łaskę go prosić. Co się zaś oycowskiego Wasz Mości ku mnie napominania dotyczy, ze wszystkich sił swoich za Pomocą Boską o to się będę starał, abym wszystko to, w czym mię Wasz Mość napominasz, i przestrzegasz, wypełnił i do skutku przyprowadził, i tak się zachował, żeby na potym i na każdy czas, nic złego o mnie nie słyneło, ale raczey wszystko dobre. Teraz się Afektowi Rodzicielskiemu polecając zostaie

Wasz Mościów Dobrodziecia mego i Dobrodzieyki moiey zawsze posłuszny Syn
Goch
w Cieszynie d. 20-tego Października 1805.

Na innym miejscu w tym samym zeszycie przepisuje Jerzy Cięgiel z Ropicy następującą bajkę:

Klął ośieł, los okrutny, że marznął na mrozie
Rzekł mu Baran, trzymany tamże na powrozie:
Nie bluźń Bogow w żądaniach płochy i niebaczny,
Widzisz przy mnie rzeźnika? Dziękuj żeś nie
smaczny...

Uderza tu różnica pomiędzy językiem ludowym z połowy 18 wieku, a językiem literackim (i możnaby rzec: szlacheckim) z początku 19 wieku. Gdzież przyczyna tej różnicy? Połowa 18 stulecia to czas upadku literatury polskiej wogóle. W odległe wzory poprzednich wieków nie chciano sięgać, a nowszych dobrych wzo-

rów języka polskiego wtedy prawie że nie było. Pisano więc narzeczem, na czystość języka nie zważano. Dopiero kiedy w ostatniej ćwierci 18 wieku zakwitnęła na nowo literatura polska w Rzeczypospolitej, to wpływ tego rozkwitu zaznacza się widocznie i na Śląsku, i temu wpływowi zawdzięczają także zapewne zeszyty szkoły ewangelickiej w Cieszynie od owych czasów dobrą literacką polszczyznę.

Na uwagę z powyższego archiwum szkolnego zasługuje też dziennik lekcyjny szkoły przygotowawczej przy ew. gimnazjum cieszyńskim za r. 1779 do 1781, prowadzony przez nauczyciela Jana Gottlieba Kotschego.

Na etykiecie jest napis:

I. N. J.

Catalogus Lectionum Classis Praeparatoriae Pro 1779—1781

J. G. Kotschy.

Wewnątrz podane jest po języku niemieckim krótko, co w każdym tygodniu przebrano w szkole. Naprzykład:

Achte Woche

1. Im Auswendig Lernen des pohl. Catechismi und Nauka wie auch im Erklären der letzteren continuiret worden.

2. Deutsch im Catechismo eine Stunde buchstabiret, pohlisch Matth.: XXII—XXV gelesen, und böhmisch Matth: XII XIII gelesen und buchstabiret worden.

3. Im Rechnen das vorige continuirt.

4. Vier Stunden geschrieben worden, jeder Schüler 8 Seiten.

5. Polnisch-deutsche Wörter auswendig gelernt worden.

Dodatek prawdopodobnie dyrektora szkoły czerwonym atramentem.)

V Bis d. 27 Febr. 79.

Kotschy.

W tłumaczeniu polskim brzmi to następująco:

Ósmy tydzień.

1. W uczeniu się na pamięć polskiego katechizmu i „Nauki“, tudzież w jej objaśnianiu dalej postępowano.

2. Po niemiecku w katechizmie jedną godzinę sylabizowano, po polsku z Ewangelji Mateusza r. 22 do 25 czytano, a po czesku z Ewangelji Mateusza r. 12 i 13 czytano i sylabizowano.

3. W rachunkach prowadzono dalszy ciąg poprzedniego materiału.

4. Cztery godziny pisano, każdy uczeń 8 stronic.

5. Polsko-niemieckich słów uczono się na pamięć.

Znamiennem jest, że pierwszy i drugi punkt powtarza się zasadniczo z odpowiednimi zmianami w szczegółach przez wszystkie tygodnie w całym dzienniku od stycznia 1779 do grudnia 1781 r. Co do języka, to widzimy stąd, że wtedy:

1. Religji jako najważniejszego przedmiotu, uczono w szkole przygotowawczej gimnazjum ewang. w Cieszynie po polsku.

2. Obok polskiego katechizmu używano też osobnego polskiego, dziś nieznanego podręcznika, zwanego Nauką.

3. Po niemiecku uczono się sylabizować, czyli czytać, na podstawie katechizmu, podobnie po czesku na podstawie Nowego Testamentu, podczas gdy po polsku zaraz już czytano w Nowym Testamencie, a więc widocznie ogół uczniów przynosił już znajomość czytania polskiego do szkoły.

4. Niemieckiego języka uczono przez tłumaczenie słów polskich na ten język.

Wogóle widać, że w szkole ewangeliczej w Cieszynie była znajomość języka polskiego w 18 i 19 stuleciu podstawą, od której zaczynało się nauczanie, a wynikało to z tej naturalnej przyczyny, że ludność na Śląsku Cieszyńskim była zawsze polską. Pielęgnowano też język polski w niższych klasach, w niektórych okresach

więcej, w innych dopiero w wyższych klasach poświęcano się głównie łacinie i górował obok niej język niemiecki.

Dodatek: Już po oddaniu powyższej publikacji w Redakcji „Zarania“ udało mi się znaleźć jeszcze dawniejszy dokument w archiwum szkolnem tutejszego zboru ewangelickiego. Jest to spis lekcyj, pisany po łacinie i spis uczniów wszystkich klas cieszyńskiej szkoły ewangeliczej, pisany po niemiecku z wplataniem wyrazów łacińskich. Oba spisy noszą datę 16 kwietnia 1728.

Szkoła obejmowała 4 klasy: 1, 2 i 3 jako klasy wyższe były łacińskimi, klasa czwarta posiadała dwa oddziały: polski i niemiecki. (Nauka trwała, jak skąd inąd wiadomo, po 2 lata w każdej klasie.)

Zajmuje nas bliżej spis lekcyj w klasie czwartej. Przytaczamy napis i poszczególne lekcje w oryginale łacińskim z dodaniem w nawiasie polskiego przekładu:

Napis: Catalogus Classis IV. Lection. Polon. et German. (Spis klasy 4. Lekcyj polskich i niemieckich.)

Nauka trwała przed południem od godziny 7 do 10, po południu od 2 do 4.

Podział lekcyj był następujący:

Od 7 do 8 godz. we środę: Rudimenta Christianismi et germ. et pol. (Zasady chrześcijaństwa i w niemieckim i w polskim języku.)

Od 7 do 8 godz. w inne dni: Catechismi alii polon. alii germ. principia trahunt (Zasady katechizmu pobierają jedni po polsku, drudzy po niemiecku).

Od 8—9 godz.: we środę: Arithmetica (arytmetyka).

Od 8—9 godz. w inne dni: Legendi Exercitium polon. germ. et lat. (Ćwiczenie w czytaniu polskiem, niemieckiem i łacińskiem.)

Od 9—10 godz. w środę i sobotę: Exercitia legendi difficiliora (Trudniejsze ćwiczenia w czytaniu).

Od 9—10 godz. w inne dni: Legendi Exerctium (Ćwiczenia w czytaniu).

Po południu w środę i w sobotę wolne. W inne dni:

Od 2—3 godz.: Dicta biblica faciliora et. germ. et polon. (Łatwiejsze wyroki biblijne po niemiecku i po polsku.)

Od 3—4 godz.: Caligraphia (kalligrafia).

Spis uczniów w klasie pierwszej (najwyższej) wykazuje liczbę 15, w drugiej 25, w trzeciej 21, w czwartej niemieckiej 38, w polskiej 25. Razem było 124 uczniów, w tem 8 z Polski, reszta ze Śląska.

W klasie 4 polskiej było 11 uczniów ze Śląska Cieszyńskiego z podaniem miejsca pochodzenia (Jerzy Boruta i Andrzej Supik z Bobrku); Adam Weiss i Adam Huczala z Cieszyna; Andrzej Sikora z Jasionicy; Jerzy Kisza z Ropicy; Jakób Kocurek z Olbrachcic; Mateusz Janoszek z Poręby; Jan Karkoszka z Gnojnika; Jerzy Kuszka z Brennej; Jan Procharz z Wędryni). Przy czterech nazwiskach (uczniów szlacheckich) nie podane

miejsca pochodzenia (widocznie było ono powszechnie wtedy znanem): von Guretzky, von Golkowsky; Frentz Fröhlich von Freudenstein(?) i Nowok von Goldmannsdorf(?). Ze Śląska Katowickiego jest 8 uczniów: 4 z Warszowic (Paweł i Jerzy Nowrotek, Prziwara i Staniek), 4 ze Studzienki (Brichoy, Swiec, Brygida, Rusnok). Nadto dwóch uczniów było z Brzeża: Jahny i Seeliger.

Wśród uczniów 3 klasy zwracają uwagę dwaj bracia: „Carl Heinrich von Koschitzky i Ch. Fr. v. Koschitzky — Tarnov. Siles.“ Narzuca się tu pytanie, czy ci Koszyccy (Kosiccy) z Tarnowskich Gór nie należą do tego samego rodu, z którego pochodził przed 100 laty szlachetny obrońca praw językowych polskich na Górnym Śląsku, Karol Kosicki (pisał się von Koschützki, ale dawnej i pisownię nazwisk zmieniano dowolnie), właściciel wioski Wilkowice w powiecie tarnogórskim. Pisze o nim obszernie pod pseudonimem Ludomira ks. dr. Emil Szramek w „Obronie Polskości Górnego Śląska“ (Opole 1918).

GUSTAW MORCINEK.

Pani Irenie Massay poświęcam!

CHLEB NA KAMIENIU.

Stary Brozek usiadł ciężko na stołku.

Słońce schodziło już z nieba. Pogubione chmurki w błękitie jęły się powoli wyzbywać ułudy słonecznego żaru. Krągłe ich brzeżki gorzały ostatkiem czerwieni, a niebo stawało się coraz głębsze. Gdziesik zadzwoniły dzwony na wieczorne klęknięcie.

Brozek podniósł oczy. Roześmiały się na jedno okamienie, bo dotknęły ciepłych, żywych płam słonecznych o kolorze wypieczonego chleba, co do ścian przylgnęły. Roztworzyły przed nim radosny ogrojec wspomnień. Oczy widzą

łany zboża, co szumią i szumią, jak ogromna a daleka szklana woda. Środkiem, po między bieży jego Antek roztonajmilejszy. Bieży pachnącym wądolcem zbożowym, a pękate kłosiska w pas kłaniają mu się bez przerwy. Sypie się z nich szklany szmer. Drobne, różowe stopki pacholece płatają się w wysokiej trawie, ciepły wiaterek wicherzy jasną czuprynę, a niebieskie oczy niosą w sobie urodę bławatów zbożowych.

— Dawno już też temu?...

Sękata, twarda dłoń starła myśli z czoła. Nie warto wspominać, bo w ser-

cu kłuje. Zgasły myśli, zdmuchnięte westchnieniem. Kalne oczy nie chcą odejść od słonecznych plam na ścianie. Jak dłonie chorego człowieka nie chcą odejść od widoku naręcza kwiatów, co kuszą serce ciszą starego złota. Przez otwarte okno sączy się daleki rytm życia. Dzwony jeszcze dzwonią. Głosy ich wchodzą przez otwarte okno do izby, jakby na palcach. Za niemi przylatują stłumione krzyki maszyn, rżenie pary i zmiętoszone świsty lokomotywy. Brożek przymknął oczy i zapatrzył się w powieki.

Daleką prostą drogą wraca jego Antek roztonajmilejszy. Smukły, gibki, radosny. Zgaszoną lampą kolebie odniechcenia, a w zamorusanych ustach żuje gwoździak, co mu Kryśka z poza płotu podała. Gwoździak czerwieni się okrągłą, jaskrawą plamą na czarnych ustach.

— Jak ci się darzyło, Anteczku? Jak?..

— Dziękuję!.. Dobrze, tatulku!..

Podaje Antek zbrudzoną dłoń. Ojcową dłoń wyczuwa jej wdzięczny a chropowaty kształt. W drobnym, niedługim uścisku dwóch dłoni zamyka się na jedno okamienie cały świat boży. Nadzieje, radości, smutki i trwogi. Wszystko, co w ludzkim sercu powstaje.

— Już niema Antka!.. — pomyślał głośno Brożek i otrząsnął się. Obleciało go zimne mrowie.

— Już niema Antka!.. — westchnął powtórnie, wstał i poszedł do okna. Słońce już zaszło. Od wschodniej strony szedł polami fioletowy mrok. Rozbłyskiwały w nim mnogie światła ciemniejącej kopalni. Wieża kościelna dawno ucichła. Krzyki maszyn lecą teraz bełkocącym tłumem po ziemi. Ocknął się, bo we drzwi zapukał czyjś twardy palec.

— Prosza!... — zawołał.

— Dobry wieczór, Brożku!..

— Dobry wieczór! Na witejcież, Stryczku!.. Witejcież!

Do izby wszedł wysoki chłop. Zdjął czapkę u progu i zabielił łysiną w mroku.

Z pod zgarniętych brwi łysnęły srogie oczy. Jak u zbója. Brożek nacisnął guziczek w ścianie i z uwieszanej pod powałą lampy chlusnęła struga jasnego światła. Oczy Stryczkowe złagodniały w dobrotliwy uśmiech.

— Dyc jeszcze nie rożegejcie światła! Dyc jeszcze czas! — przymówił grzecznie.

— Ah, nie lubię po ćmoku siedzieć!.. No siodejcie, a mówcie, co mi nowego niesiecie.

Usiadł Stryczek przy stole, usiadł z drugiej strony Brożek. Zaczęli mówić. Powoli, nie śpieszący się, obieranymi słowami. Każde słowo omotane było w życzliwy uśmiech. Niektóre zdania powtarzali dwa razy, by mu nadać większej wagi. Sycili się słowami, jak czerstwym, powszednim, czarnym chlebem. Radowali się poniewoli wzajemną bliskością, albowiem w ich czuciu przemieniała się jakoby w dzwoniącą caliznę węgla, o którą śmiało można się oprzeć, bez lęku, że w nieoczekiwanej chwili runie na znużony grzbiet. Patrzyli sobie w siwe oczy i naprzemian brali z nich drobinki serca, jakby owocki jarzębiny, ujmowane w koniuszki palców.

Wyjrzała Stasia z drugiej izby, kto przyszedł.

— Staśka, a przynieś kawy, przynieś! — zawołał na nią Brożek.

— Nale jej!.. Pieknie witóm, Stryczku!.. Słyszałaś, że ktoś tu mówi, a...

— No, przynieś, przynieś! — przerwał jej ojciec. — Bo Stryczek nom ucieknie, jak to bydzie długo trwało!..

Dziewczyna poszła. Zostawiła za sobą nieuchwytnie wspomnienie czegoś jasnego. Stryczek zamyślił się bezwolnie, cóż to być mogło. Albo strzępek czyjegóż śpiewu, lub widok czystej strużki wody o wschodzie słońca, czy też radość, kiedy syn jego wrócił z wojny. Duża kropla miodu kapła w jego serce.

— Szykowne dziewczę! — rzekł po chwili.

— Nó! — przyświadczył Brożek. — Tyle mi zostało na świecie. Żona mi umarła jakoś zaraz po powstaniu, a Antek... dyć wiecie, ni?

— Wiem Brożku! — przyszedł głos miękki, podobny głaśnieńciu dłonią po twarzy. — Wiem, że zginął w powstaniu. No, poręczono Panu Bogu!... Bóg doł, Bóg wziął!..

Nastała cisza. Ciężka jakaś, spopieliała. Położyła się na ludzi, jak żelazna, zimna ściana wozu, co w ganku ze szyn spadł, a teraz trzeba go podnosić spoconemi plecami.

— Tak... Bóg wziął!.. — szepnął do siebie Brożek. W słowach jego i ustach był piołun.

— A mógłby do dziśka żyć... mój Anteczek roztonajmilejszy!.. Mógł do dziśka żyć, jak i wasz syn, gdyby... — zalamął się jego wzburzony głos. Przeszedł w westchnienie.

— Tak, tak, na świecie!.. — dodał Stryczek, tając w sobie radosne przeświadczenie, że to nie jego, ale Brożków syn zginął. Tak nieoczekiwanie wychynęło z serca owo dziwaczne uczucie. Zdusił je natychmiast, bo go wstyd za nie było.

Weszła Stasia, spłoszyła niemrawe zamyslenie Stryczka.

— Proszę, panie Stryczek — zadzwonił czysty głos dziewczęcy. — Proszę nie pogardzić naszą kawą!..

Uśmiech, oczy i dłonie Stasi pośodziły radość, jaka szła z woniejącej kawy we dzbanku. Pół bochena chleba rozparło się szeroko na niklowanej tacy. Duża kostka margaryny rozżółciła się w odwiniełym papierze.

Stryczek ukrajał kęs chleba, nabrał na róż skrawek margaryny, posmarował, chlupnął kawy i zagryzł chlebem.

— Dobro kawa, piernika kandy! — pochwalił szczerze. — Ani moja staro tak nie umie gotować. To wasza... to tyś, Stasiu, nagotowała takiej fajnej kawy?

— Toć! — rzuciła dziewczyna przez zaploniony uśmiech.

Stasia poszła znowu do kuchni, a Stryczek pojadał powoli, smakował i raz wraz wiązał swoje słowa ze słowami Brożka. Potem otarł wąsiska, wstał i jął się żegnać.

— A dziśka idziecie na szychta? — zapytał Brożka odniechcenia.

— Ano pewnie, że ida!.. Mówił mi inżynier, żeby przyjść. Momy rabować stemple ze starych wyrobisk w filarach. Mówił, że musimy, bo już pięć filarów stoi próżnych. Gdy je kiedyś skręci i zawali, obwał mógłby dosięgnąć filara, w którym ludzie robią.

— Hm, to jest niebezpieczno robota!.. Może człowieka przysypać doimentu!.. No, ale jak sie uważa!.. A, kto robi z wami?

— Ćmok. Dwóch nas tylko bydzie... Aha, a zdaje się, że dziśka bydzie ten nowy praktykant ze szkoły górniczej. Ani nie wiem, jak sie nazywo...

— Jo wiem. Bo on już ze mną robił. Zgrabny synek. To jest syn inżyniera ze szybu „Aspern“.

— Którego? Millera?

— Nie! Pfeiffera.

— Co? Pfeiffera? Tego zbója?... Tego...

— Cóż wy powiadocie? Jaktó, zbója? Kogóż zabił?..

— Nie wiecie?... Mojego Antka... Mojego Antka roztonajmilejszego!... On go zastrzelił w trzecim powstaniu!... To on był z pewnością!...

Stryczek usiadł z powrotem. Brożek chodził wzburzony po izbie i opowiadał. Stryczek raz wraz cudował się, głową potrzasał, spluwał, dłonie składał i znowu słuchał.

— ... i Antek przybieżoł do mnie. Od rana byliśmy w ogniu, tóż jeść chciało mi sie bardzo. Przyniósł mi chleba i szperki. A tamci strzelali i strzelali. Mówia Antkowi: — Tóż skryj sie, synek, bo

cie zastrzela!.. Antek uniżył się. A prawie wyciągnął chleb z kieszeni i położył na kamieniu... A tamci biją!.. Wiem, wtedy Orgeschowi przewodził inżynier Pfeiffer... On ich prowadził na nas!.. To był ten zbójnik, inżynier Pfeiffer!.. Potem Antek podniósł się trocha, a ktoś z tamtych... ktoś z tamtej Pfeifferowej bandy strzelił i trefił mojego Antka roztonajmlejszego w piersi!.. Jezus, Maryja!.. Synek rozkrzyżował ramiona, zawołał jeszcze na mnie: Tato!.. Tatulku!.. i zwał się na ziemi. Akurat koło kamienia!.. Przystokoczętach, krzyknątach na święte słowa... Mój Anteczek już konał!.. Palcami gmerał ziemią, a nogami kopał ziemią!.. Krew płynęła z piersi i z ust... Krzycołech, z Bogiem się wadziłech, żeby mi synka zostawił, ziemią kąsółech z okropnej męki... A synek konał, jak ten pto-szczek mały.. Porwołech go w ramiona, piastwołech jego tężejące ciało... skowyczołech z bólu... A synek konał.. A tamci strzelali!.. Przytknąłech dłoń do jego rany na piersiach... żeby uciekającą krew zatrzymać... żeby uciekające życie jego zatrzymać w drodze... A krew sączyła się i sączyła między zaciśniętymi palcami moimi... i życie gasło w nim... Aż zgasło!..

Umilkł Brożek i jakby zapatrzył się w samego siebie.

Stryczek przypomniał sobie osobliwą chwilę na froncie, kiedy po ryczącym, długim ogniu huraganowym nastąpiła w nieoczekiwanej chwili ogromna cisza. Wszyscy żołnierze w jego rowie patrzyli dookoła przerażeni szumem ciszy. A cisza wchłaniała ich w siebie, jak bezdenna czarna woda. Obecnie, kiedy Brożek ucichł, doznał tego samego wrażenia. Przeraziła go cisza, jaka nastąpiła po tamtym wniebogłosnym, skowyczącym krzyku ojcowego serca.

Przez odchylone okno sączyły się rechetliwe pogwarki maszyn i pary i ściżone wołania ludzkie. Mrok oparł się na

ramie okiennej i ślepił fioletem w izbę. Zegar na ścianie rachował stąpania czasu.

— ...a potem podniosłech chleb z kamienia!.. — zaczął Brożek zmęczonym głosem. — Chleb był nasiąknięty Antkową krwią... Oto jest!.. — i wskazał dłonią na komodę. Na środku, pod małym czarnym krzyżem stał duży szklany klosz, jakiego używają sklepikarze do nakrywania serków. U kopułastego szczytu pęczniała duża kula przejrzyta, uczyniona dla ujęcia jej w palce. Pod kloszem czernił się zeschnięty, czarny kęs chleba. Po jednej stronie powleczone były rdzawą śniecią.

— ...to jest krew Antkowa! — szepnął Brożek, wskazując trzęsącym palcem na tamtą rdzawą plamę.

Zegar zastękał i jął powoli, z wysiłkiem wydzwaniać godzinę. Jakby zardzewiałe kulki żelazne wypluwał z charkotem.

— No, Brożku!.. Nie myślcie już o tem, co było!.. Pónbóg doł — Pónbóg wziął!.. Nie myślcie już o tem!.. Prze-boczcicie, już musza iść do domu!.. Ósmą godzinę już bije na waszym zegarze!.. — Spojrzał na swój zegarek. — No, tyle jest!.. No, z Panem Bogiem, Brożku, z Panem Bogiem!.. Zobaczymy się pod szymbem na szychcie!..

Stryczek poszedł. Brożek zaś udał się do kuchni, do Staśki. W jej obecności wszystkie tamte myśli, podobne do czarnych kłębow kurzawy, poprzetykanych krwawymi jezorami pożogi, — wszystkie te myśli w obecności Stasi wracały w ukryte swoje legowiska.

— Staśka! Przygotuj mi już wieczera, bo niezadługo trzeba będzie mi na szychta!..

— To Stryczek już poszli? — zapytała.

— Już!

Dziewczyna jęła się pracy. Każde spojrzenie na ojca przegradzała cichym

uśmiechem. Ojciec zaś patrzył na nią, brał miłościwie kształt jej postaci w oczy i powtarzał w duchu:

— Moja Staśka!.. Moja Staśka!..

Imię umiłowanego dziecka przywodziło mu dziwny obraz przed oczy. Oto zdawało mu się, że kiedy Pan Bóg stwarzał pierwszego człowieka, powtarzał w myślach tylko jego imię, a owo święte myślenie tworzyło z gliny wdzięczny kształt ludzkiej postaci, jakby dłońmi lepiący. I wtedy Pan Bóg uśmiechał się do brotliwie.

— Ciebie też w ten sposób stworzył!..
— pomyślał głośno.

— Co mówicie, tato? — zapytała zdziwiona dziewczyna.

— Nic, Staśko, nic!.. — uśmiechnął się zlekka. Wyczuł ulgę w sercu, gdyż bolejące wspomnienie o Antku już odeszło.

Zjadł wieszczę, pożegnał się z córką i poszedł na szychę. Kiedy stanął na szczycie kępy, obejrzał się. W nagrzaney nocy dojrzał dwa maleńkie, złotawe, jarzące się kwadraciki okien.

— Staśka czyto se książka! — pomyślał radośnie. Kwadraciki patrzyły w jego źrenice, jak spokojne oczy Staśki; kiedy się czemuś dziwuje.

Zeszedł skrzypiącą, żuźlowatą ścieżyną w płaską dolinę. Na jej dnie płożyla się gęstwa zabudowań szybowych. Między rusztowaniami mostów i wieży, ponad załomami dachów, wszędzie, w obrębie rudego muru, jarzyły się duże mleczne kule światła. Ich blask powlekał ziemię i ściany w srebrzystą patynę. W oczy zaś wrażał się zimnem dotknięciem. Coraz większy krzyk maszyn i zdyszanej pary leciał do niego swarliwą hołotą. Ziemia dygotała nieznacznie. Kiedy stanął, wyczuwał końcami palców, przez buty, jej drżenie. Widok jasnej główki Stasi, co go był z sobą w oczach zabrał, zacierał się stopniowo, a na jego miejscu wychy-

lała się znowu postać konającego Antka. Zlatywały się myśli o nim, a każda uderzała w jego serce, jak tępy świder w caliznę. W nieoczekiwanej chwili wybiegła z ich tłumu jedna jedyna:

— Syn Pfeiffera bydzie dziśka ze mną!.. A gdyby tak!..

Zachnął się i splunął niechętnie. Odpędził ją, jak parszywego psa. Nie daleko. Poszła już teraz za nim, chyłkiem, cichaczem, w cieniu się uchylająca.

Na kopalni spotkał się z nieliczną garstką towarzyszy. Tamta myśl odbiegła. Wypłoszyła ją hałaśliwa, przekorna, prostacka pogwarka górników. Stali koło windy i czekali na sygnał. Lampy ich jarzyły się drobnymi płomieńkami. Głowy ludzi nurzały się w rozchybotanych cieniach. Od uszeregowanej gromady niósł się zapach starego potu i kwaskowaty odór żutego tytoniu. Ostre, kościste żuchwy miesiły jego rozpaprane zwitki w ustach, a przez żółte, szczerbate zęby strzykały strużki lepkiej, kleistej śliny. Ci górnicy, co stali tuż przy studni szybowej, pluli w jej czeluść, insi zaś pod nogi lub celowali zręcznie na ściany. Ciężkie, kanciaste słowa migwały w tłumie, jak bryły węgla. A za każdym słowem biegały w te pędy hurkotliwe śmiechy, dudniące pod niską powalą, jak ziemniaki, zsypywane po desce.

— No, Brożek! — zawołał jeden z górników — dziśka mosz fajnistego kamrata do pomocy!

— Panoczka w okulorach!..

— A dej na niego pozór, żeby ci nie uciekł!

— Lebo żeby sie nie splakoł, jak mu kożesz stempel wyciągać!..

— ...a na łeb bydzie się sypoł kamień!..

— A dej mu smykać stemple te najcięższe, żeby poczuł!..

Śmiech gruchotał za każdą uwagą. Wszystkie były napozór złośliwe, uszczypliwej radości łakome. Brożek wiedział,

że to tylko przekora górnicza. O ile tamten praktykant okaże się twardym górnikiem, spotka go uznanie. Jeżeli się zbłąźni przy pracy, polęka jej, przerazi tapania w stropie, ucieknie, kiedy nastąpi obwał — języki górników postrzępią się na jego smarkatym honorze.

— No, no! — rzucił Brożek gromadzie. — Uwidzimy, co pokoże!.. Stryczek se go chwoli!

— Ja, bo ze Stryczkiem we węglu robił!.. Ale poczekaj Brożek!.. Jak mu kazesz leżeć po stempel, a na głowa sypie się już kamień!.. Uwidzisz, jak bydzie zmiatło pod szyb ze strachu!..

— Chyba, że nie bydzie zmiatło!

— No, to bydzie fajnisty chłop!..

Zaszczekał sygnał nad głowami, ludzie ucihli, jeli wchodzić nachyleni do windy. Rozszumiała się czarna głęбина szybowa lecącemi klatkami, rozdygotały się wyprężone liny, rozdyszała para w cienkim wylocie rury na dachu kotłowni. Raz wraz wynurzała się z mroku ciemna płatanina wiązań klatki, wstrzymała się z westchnieniem u wejścia, rozwierała kratowaną gardziel, nowy rząd nachylony postaci wpychał się w jej wnętrze. Dzwonek zaszczekał piskliwie i ładunek z ludźmi zapadał w ziemię. I znówu leciał stamtąd szum i wędniejący stukot windy, ocierającej się w locie o dębowe belki. Spojrzenia czekających ludzi ślizgały się po skrętach rozhuśtanych lin. Tak długo, aż próżna winda wychynęła pod oczy.

Przyszła kolej na Brożka. Przeżegnał się nieznacznie, ujął łańcuch nad głową i poleciał w głębinę.

Pod szybem czekał już na niego stary Ćmok.

— Tóż idziemy, stary? — zapytał Brożek.

— Idziemy! — przyświadczył kamrat.

— A kaj ten praktykant.

— Mo przyjść z dozorcą. Kiedyś w połowie szychty.

Poszli. Kroki dudniły pod czarnem sklepieniem przekopu, po ścianach waleśały się chybotliwe cienie kroczących nóg. Czarna cisza była przed nimi i za nimi. Jak ogromne, czarne, puszyste dłonie. Kroczyli w niej, podobni do istot, co na dnie czarnej topieli brodzą od wieków. Mroki rozchodziły się z leciuchnym, ledwie że słyszalnym szumem i zamykały za nimi, jak aksamitne, czarne wrota.

Mijali ganki i przecznice, wędrowali pochylniami i chodnikami, kroczyli przecinkami i wiatrową, żeby drogi oszczędzić, dotarli wkońcu do opuszczonych filtrów. Usiedli spoceni pod ścianą. Powietrze było słodkie i ciepłe. Małe płomycki zatrzeszczały czasem, a tamta cisza żniła w uszach, jak jednostajny, wysoki, metaliczny a cichusienki jęk. Koło nóg przemknęła mysz.

— Aha, beskurcyja, już chleb czuje! — zauważył życzliwie Ćmok i splunął za nią.

— Wiesz, bo to też może być duch Skarbnik! — dodał po chwili uniewinniająco.

— Eh, nie pleć!..

— Naisto!.. Wy młodszy nie wierzycie, ale jo, coch już w hawierni blisko czterycet roków przerobił, to wiem!.. Skarbnik już mi sie dwa razy pokozoł. Roz w postaci myszy, kiedy miało być nieszczęście w hawierni... Półtora kopy ludzi wtedy legło... A drugi roz, jako nieboszczyk Gamrot. To było w upadzie pod starym szybikiem. Daleko, szeroko — żodnego żywego człowieka! A tu naroz idzie chodnikiem stary Gamrot!.. Pierona kandy!.. Strach na mnie piznął, żech sie ani ruszyć z miejsca ni mógł. On idzie, przechodzi koło mnie, podnosi lampa, poświecił mi w ślepie i dalej poszedł... Maryjo święto!.. Jeszcze teraz mrówki po mnie

biegają!.. A wiesz, wtedy, jako w godzinie nieskorzy, zatopiło pokład „Elizy“ pod przekopem!.. Szesnoście chłopów utopiło się, jak szczury!.. Boże im tam dej radość wieczną!..

Brożek nie słuchał znajomej sobie historii. Toć stary Ćmok każdemu ją od kilkunastu lat opowiada, że ją chyba już wszyscy górnicy na „Kleofasie“ słyszeli. Patrzył w tej chwili za myszą. Toczyła się na maluchnych, drobnych nóżkach, jak podłużna szara kluseczka. Jej szpiczasty, chytry pyszczek węszył za chlebem. Małe, czarne, paciorkowate oczka zerkwały nieufnie na niego. Wpełzała pod kamienie, wynurzała się, skoczyła na pochylony stempel, obwąchała, długim ogonkiem zmiotła pył z drzewa, skręciła go w pętelkę i znów skoczyła na kamień. Teraz bieży truchcikiem koło prawej nogi Brożka. Wystarczy nachylić się szybko, żeby ją w palce ułapić!.. Poleciała do filara. Utonęła w jego nocy. Brożek czekał, skoro ukaże się znowu w obrębie światła. Nie wyjrzała. Doleciał stamtąd tylko leciuchny szept pyłu, który swemi łapkami strąciła z niewidocznego kamienia.

— Widzisz? Do filara poleciała!... To może być Skarbnik!.. Musimy uważać, żeby się co nie przydarzyło!..

Zardzewiały głos Ćmoka napęczniał zabobnym lękiem.

— Głupstwo! — mruknął niechętnie Brożek. Zły był na Ćmoka, bo wyczuł, że z głębi filara skrada się do niego parszywy strach. Zdawało mu się, że tam gdzieś, w jądrze filarowej nocy, czai się podstępna śmierć.

— Głupstwo! — powtórzył ostro. — Chwytejmy się roboty, stary, bo ani za słono woda nie zarobimy!..

Wstali, ujęli lampy i weszli na próg filara. Rozewrzyła się przed nimi ogromna komora, wysoka, pusta, wypełniona rzędami stempli. Stemple były proste,

krzepkie, pachnące żywicą. Niektóre z nich rozszepiły się u góry, inne znowu zlekka wygięły w nieznacznym łuku. Wszystkie czyniły wrażenie cienkich i długich nóg, które zaparły się mocno w spong, napięte ostatkiem siły. Brożek uderzył w najbliższą sosnę tyłcem siekiery. Stempel zadźwięczał, jak naciągnięta gruba struna.

— Dzierży fardońsko! — zauważył.

Ćmok oparł się o ścianę, Brożek zaś poszedł z wyniesioną lampą w głąb filara. Oświecał dokładnie strop. Po jego szklistej powłoce rozlatywały się oślizgłe bryzgi światła. W drugim końcu komory dojrzał cienką, pogmatwaną rysę w stropie.

— No, tu strop bydzie dzierzeń! Nie spadnie nóm na głowa!.. Możemy zacząć spokojnie od tylnych stempli.

Jęli się pracy. Na przemian, to Ćmok, to Brożek, podrębowali stempel w spongu, a jeżeli spong był skruszony, podbierali podstawę stempla dziobcem kilofa. Kamrat zaś świecił na strop i czuwał, czy nie szepce, czy nie posypuje miąłem. Uderzenia kilofa lub siekiery błąkały się bezradnie po wyrobisku, jak w sklepionym grobowcu. Wszystkie myśli Brożka i Ćmoka zgarnęły się w jeden pęk. Żeby strop nie zarwał się znienacka, żeby w razie czego umieć szybko uskoczyć w chodnik, żeby potem szalejącą śmierć wykpić pieronami. Cały świat, co poza Brożkiem został, przestał w tej chwili istnieć, nie było go więcej. Była tylko naprężona czujność, jak u dzikiego zwierza, co się po łup skrada.

Pierwszy i drugi stempel zwałił się z łomotem na spong. Brożek do każdego wbił ostrze siekiery i wywlókł do chodnika. Następnie przystąpił do trzeciego, potem do czwartego i do następnych. Przestrzeń w filarze rozszerzała się, wzbывała przeszkód dla oczu, czerniała coraz mocniej sierocą pustką. W miarę

znikania stempli posuwała się do chodnika, ludzie ślepili z podębna na strop, raz wraz oświecali dokładnie, szukając powstających szczelin, a słuchem łowili szmery w ich jądach. Ostrożność ich rosła za każdym wyrąbanym stemplem. Czuwający towarzysz nie spuszczał ócz ze stropu, rąbiący zaś u jego nóg kamrat, zanim śmignął siekierą w drzewo, słuchał... Ciął szybko, zamierzył się ponownie i słuchał. Potem znów ciął z poza głowy, wyrwał siekierę, zamierzył się i słuchał...

— Bij, kamrat, bij!... — uspokajał go towarzysz. — Trocha sypie, ale to to jeszcze nie polecil!..

Wtedy Brożek znowu rąbał. Stękał za każdym uderzeniem, przykucnięty na piętach, z wygiętym grzbietem i co raz otrząsał się bezwolnie, bo mu się zdawało, że nad schylonemi plecami czuje kościste łapy śmierci, co po jego życie sięgają.

Wyrabowali już filar do połowy. Gdy Brożek stanął przy ostatnich stemplach i spojrzął w pustą przestrzeń, której światło nie mogło już zgruntować, bezwiednie kurczył się w sobie. Ziała nieuchwytną grozą, podobna do potwornej paszczy, rozwartej szeroko, która za jedno okamgnienie zamknie się ze skołtunionym rykiem. Tamten spękany strop teraz jeszcze trzyma się w swych kruchych ząbieniach. Wystarczy jednak mocniej krzyknąć, wystarczy raz uderzyć kilofem o jego sklepienie, by rozpętał się w burzę. Tak mu się zdawało.

— No, stary? Słyszysz? Trzeba se nóm kapka spocząć! — zawołał na Ćmoka.

— A trzeba!

Poszli do ganku i usiedli pod ścianą. Odpoczywali. Równocześnie słuchali szeptów w filarze. Wychodziły stamtąd ukradkiem, jakby ludzkie westchnienia z ciszy kościelnej.

— Filor szepce! — zauważył Ćmok.

— Yhy! — potwierdził Brożek.

Nie siedzieli długo, kiedy znienacka jęły przybiegać do nich coraz głośniejsze dudnienia podwójnych kroków. Zbliżały się powoli, pewnie, podkute ćwiekami. Tamte drugie nieco drobily.

— Aha, idzie sztygar z tamtym praktykantem! — mruknął niechętnie Ćmok. — Stowejmy, boby powiedział, że darybakujemy!..

Wstali i jęli układać wyrabowane stemple pod ścianę. Umyślnie przytem czynili hałas i stukania, żeby nadchodzącego sztygara przekonać, iż tak mocno pracują. W głębi ganku chwiały się dwa idące światła. Tak się zdawało, że to one dudnią podkutemi butami. Doszły do nich, podniosły się.

— Szczęść Boże! — wychynął z mroku świeży głos sztygara. — Jak sie darzy?..

— Dej Panie Boże, panie sztygar!.. Ano nic. Jużeśmy tyle wyrabowali! — i Brożek wskazał dłonią na stemple.

— A jak tam we filarze? Nie tąpie? Nie posypuje?..

— Tąpać — to jeszcze nie tąpie. Ale trocha już posypuje! — objaśnił Ćmok.

— Oto macie praktykanta!.. Uważajcie na niego, bo tu robota niebezpieczna!.. A ja sie jeszcze popatrzę, jak tam w filarze...

Poszedł do filara. Brożek zaś powoli uniósł lampę i oświecił przybysza. Ujrzał młodą, dziewczęcą prawie twarz o szczerych, modrych oczach. Nad oczami rysowały się duże łuki brwi. Usta były zlekka uśmiechnięte. Niósł się od niego zapach perfumowanego mydła i jakaś pogardliwa pańskość.

— To oni są synem pana inżyniera Pfeiffera? — zapytał cicho.

— Jawohl!.. Mój ojciec nazywa się tak. Ja też!.. — poprawił się.

— Hm, tóż to oni są?.. A nie boją się?

— Nie!..

Pfeiffer zasępił się, bo wyczuł ukrytą ironję w słowach Brożka. Wydał zlekka usta, głowę podniósł wyżej, lewą rękę zaś wsparł na biodrze.

Brożek odstał kilka kroków w bok i patrzył na niego. Zamyślił się. Tamta odpędzana myśl, co go była na drodze przedeszła, znowu pląta się w pobliżu. Nie odgania jej.

— ...mój Antek teżby taki był!.. Teżby taki był!.. A to jest jego syn!.. Tego zbója! A gdyby tak... Niechby bestja skowyczoł, jak jo skowyczoł... kiedy mój Antek na rękach konał!.. Zastrzelony przez jego ludzi!.. A może i przez niego samego...

Splószył wszystko sztygar, który wyszedł z filara.

— Więc, chłopci! To wam powiadam!.. Uważajcie pierońsko na wszystko!.. Strop jest już spękany!.. Może jeszcze trzymać nie wiedzieć, jak długo... A może też zarwać się każdej chwili. Wy, Brożek!.. Na was kładę obowiązek!.. Rozumiecie?..

— Hale, rozumia, panie sztygar! — bąknął Brożek.

— Ja już idę, a wy uważajcie!.. Szczeńć Boże!

— Dej Boże!

Sztygar poszedł. Tamci trzej usiedli. Ćmok spoglądał ciekawie na chłopca, śledził go, w duchu pokpiwał z niego. Brożek, patrząc na inżynierowego syna, równocześnie widział swego Antka. Lepka krew z jego przestrelonej piersi płynie i płynie. Jak ogromna woda. Wzbiera z szumem, podnosi się, zatapia ojcowe oczy. Oczy mrużą się, bo już nic nie mogą widzieć, jak tę żywą, dymiącą zlekka czerwień płynącą krwi. Żelazne pazury gniotą serce. Tak strasznie gniotą serce żelazne pazury!..

Brożek wsparł się dłonią o spong. Palce dotknęły siekierę. Zwarły się koło

jej ostrza, ułapiły drapieźnie... W oczach ruda mgła błędzi...

— Tu macie, chłopci!.. — posłyszał dźwięczny głos chłopca.

Spojrzał Brożek i zdumiał się. Pfeiffer rozłamuje swój chleb na trzy części. Jedną kładzie sobie na kolanach, drugą podaje w wyciągniętą łakomie dłoń Ćmoka, trzecią podaje jemu. Brożek patrzy i nie bierze.

— No, bierzcie!.. — zachęca chłopiec. — Matka dała mi tyle, że tego nie zmlóć. Bierzcie!..

Wyciąga się drobna, pańska dłoń ku Brożkowi, a na dłoni bieleje kęs chleba z masłem. Brożek patrzy i nie bierze. Pfeiffer uśmiecha się, obmiata rękawem płaski kamień obok Brożka, chleb na kamieniu kładzie. Bieli się kęs chleba na czarnym kamieniu, kusi słodyczą uciszonego głodu, nęci zapachem sytości.

— Nie potrzebują — warknął Brożek. Ujrzał w wspomnieniu ukrwawiony kęs Antkowego chleba.

Spojrzeni na niego zdziwieni Ćmok i Pfeiffer.

— Zostawią mu ten chleb na kamieniu!.. — szepnął Ćmok. — On se go weźnie nieskorzy.

Brożek wstał i poszedł do filara. Zaczął rąbać stempel. Łomot siekiery huczał w czarnem pustkowiu zduszonym grzmo-tem. Ćmok nie dojadł swego chleba. Owinał go w chustkę i włożył do kieszeni surduta, co na gwoździu wisiał. Pośpieszył za Brożkiem. Za nim Pfeiffer. Dziwili się obydwaj Brożkowi, dziwili jego zaciekłości w pracy, lecz milczeli. Brożek rąbał bez wytchnienia. Białe oszczapy i trzaski bryzgały wielkiem kołem z pod siekiery, zasiewały czarny spong dookoła. Runął pierwszy stempel, runął drugi. Spadały, jak podcięte sosny w lesie. Ćmok z Pfeifferem wywlekli je do chodnika. Brożek jął się trzeciego. Wyrąbał już spo-

rażą szramę w jego podstawie, gdy zniemacka nad głowami rozleciało się gwałtowne łąpanie. Jakby piorun strzelił w caliżnię. Odskoczyli ludzie, spojrzeli w górę. Cisza.

— Bić pierona! — wrzasnął Brożek i skoczył do stempli. Siekiera zaczęła śmigać. Ćmok stanął przy nim i patrzył na powalę. Lampę trzymał wysoko wzniesioną. Stempel runął.

— Wywlec go! — zawołał Brożek i jął się następnego. Burza przewalała się w nim. Pragnął ją stłamsić pracą. Przynosiła mu zapomnienie. Walił siekierą z poza głowy, stękał, tłukł tyłcem o dygocący stempel, ślepy na wszystko, co koło niego istnieje.

Przeloczył się drugi łoskot w stropie. Na głowy spadała garść drobnego mialu. Za nią następna.

— Brożek!.. krzyknął Ćmok. — Wali!.. Uciekej!..

Łapanie w powale wybuchało raz po razie, przebiegało strop od krańca po kraniec, reszta stempli jęła gwałtownie trzeszczeć, a ze wszystkich stron zsywały się garście mialu.

Brożek nie słyszy. Bije siekierą bez przerwy.

— Brożek, pieronie głupi!.. Wali!.. Uciekej!.. — ryczy Ćmok i szarpie Brożka.

Brożek oprzytomniał. Spojrzył na strop, zrozumiał, że załamuje się, że w najbliższym okamżeniu runie... Obejrzał się. Widzi — obok niego stoi Ćmok, z drugiej strony błądy Pfeiffer.

Jeszcze raz jęknął strop. Koło ściany obsunął się pierwszy kamień. Prasnął o spong i wzbil czarną chmurę.

— Uciekać! rzucił ostro Brożek. Zaduńniały kroki, rozleciały się skaczące cienie po ścianach, Brożek dopadł chodnika. Posłyszał za sobą czyjś krzyk. Nie obejrzał się. Wołanie szczyło w huku pękającego piętka. Wstrzymał się, spojrzył za siebie.

— Pfeiffer tam został!.. — krzyczy Ćmok i wskazuje w filar.

Patrzy Brożek i widzi. Na spongu leży chłopiec, krzyczy i czołga się do wyjścia. Strop w głębi filara załamuje się! Potworne bryły siwego kamienia lecą wzdłuż tylnej ściany. Stemple trzeszczą i skręcają się. Obwał posuwa się na cały filar. Zanim się tamten doczołga, runie powala, zasypie rumowiskiem...

Ćmok trzęsie się, szarpie za ramię Brożka i mamle coś przerażony. Brożek zamienia się w kamień. Nie słyszy tamtych, nie widzi tamtych, tylko swego Antka, jak mu kona w ramionach.

— Śmierć!.. śmierć!.. — szepcą sine wargi Brożkowe. — Niech zostanie!.. Za mojego Antka!..

Zacisnął pięści, zacisnął szczęki, opuścił oczy. Spojrzenie padło na jasny kęs chleba na kamieniu.

Przerażenie zważyło się na Brożka.

Chleb na kamieniu krzyczy swą bielą, wyje, serce wyrywa z Brożkowej piersi.

Brożek skoczył pod obsuwający się strop. Pęka, pęka!.. Sypie się mial na głowę. Zanim dobiegnie, legnie potworny ciężar, życie wydusi!..

Chłopiec skowyczy i wydziera się dłońmi do Brożka. Brożek schyla się, splata palce pod jego piersiami, wlecze do chodnika. Ostatnim wysiłkiem. Za jego nogami kamienie lecą.

Zawyło w filarze, skołtuniła się burza, potworny wicher zmiotł ich pod ścianę. Ryczą kamienie, zgrzytają, stemple ludzkim głosem stękają. Przewaliła się zawiechta i zdechła. Ciemno. Rzęzą oddechy...

— Żyjesz?.. — słyszy Brożek skamłający głos Ćmoka.

— Żyjemy! — odpowiada z wysiłkiem.

Potarta zapalka prysła w mroki wiechetkiem blasku. Zajął się knot u lampy. Podnosi się Brożek i patrzy. Chłopiec leży obok niego i jęczy. Trzyma się za nogę. Obok chłopca płaski kamień, a na kamieniu bieli się kęs chleba. KONIEC.

Do Jana Kuglina
w dniu pogrzebu Jego Ojca

17 lutego 1931.

Umarł Ci Ojciec — —

Jasiu, Jasiu roztomiły —
już go nieznane mroki wieczności spowiły —
a legł w ziemi nie śląskiej — ale w tej poznańskiej
i nie śląskie Mu dzwony grały Anioł Pański —
i nie szedł za pogrzebem kierdel krasych dziewczek
ani parobków — babki nie ciągly zaśpiewek
pogrzebowych, bolesnych, że się w ślepiach jarzy
łza prawdziwa, łza czysta — nas ziemskich nędzarzy,
co setny kawał świata zdeptali za chlebem —
z marzeniem, że to właśnie kiedyś za pogrzebem
pójdą swojacy, nasi, beskidowe chłopcy,
ci sami, którzy pierwsi betleemskiej szopy
ujrzeli światło —

— Umarł stary Kuglin!! —

— Trudno!

lecz widzisz, żal mi, że miał śmierć obcą, bezludną,
nieswojską, opuszczoną — — Boże nasz Jedyny — —
gdy zważymy te prace Jego, poty, czyny,
te hawierskie krzątania, te kowalskie trudy —
żał — że na trumnę Jego nie padały grudy
ojczystej, twardej ziemi — — — lasyby szumiały,
gromadaby śpiewała, góry podawały
ton dalej — aż po chmury — aż po złote zorze
— i tak miałby muzyką wymoszczone łoże
ostatnie — —

a więc jabłoń śląska z Jego czaszki
i z Jego serca, z Jego serca strudzonego bardzo
nie wyrośnie — —

Odszedł już tam! między ondraszki,
między ślebodną brać! —

Oni Nim nie pogardzą,
ba, owszem, przygarną z miłością i radością,
radzi zawsze tak miłym i tak hardym gościom,
jakim był Ojciec Twój, chłop walny z Bogumina — —
— — Niechże się nad Nim, zmarłym, śląski sklep
rozpina

cudnie niebieski — — —

a Ty i Twój, Jasiu, synek
za Ojca i za Dziadzia Wieczny Odpoczynek
przyjąć raczcie — jak zaśpiew na praocjów stypie —
od poety, co rymy na mogiłę sypie — — —

Chwaliszewo, 17. II. 1931. *Emil Zegadłowicz.*

Śląsk i Ślązacy w powieści polskiej. *)

Zaniedbanie ziemi śląskiej w polskiej beletrystyce. — Przeszłość Śląska w powieści historycznej Kraszewskiego i Kossak Szczuckiej. — Żeromski o Śląsku. — Ślązacy w powieści Gruszeckiego. — Wystąpienie Morcinka.

Powieść polska XIX w. po powstaniach listopadowym i styczniowym rozwija się bardzo pomyślnie, czerpiąc tematy tak z przeszłości polskiej, jak i współczesności, nie zaniedbując spraw społecznych i walk narodowych z zaborcami. Uwaga polskich pisarzy była skierowana przede wszystkim na tereny wschodnie dawnej Rzplitej. Przeszłość barwnego wschodu z Kozakami, Tatarami i Turkami najwięcej nęciła beletrystów, niemniej jego przyroda i życie współczesne jego mieszkańców. Ruś Czerwona, Wołyń, Podole, Ukraina, Litwa i Biała Ruś — oto dawne polskie krainy, na terenach których rozgrywa się najczęściej akcja powieści, nowel i opowiadań historycznych i obyczajowych. Bujna przeszłość tych ziem, piękna przyroda, życie dworów pańskich i dworków szlacheckich, niekiedy wiejskiego ludu tamtejszego, to najczęstsze tła i tematy.

Wyczerpawszy motywy kresowe, zwracają się nasi przedwojenni pisarze XIX—XX-wieczna do Polski centralnej. Szczególnie Warszawa, jej przejścia i koleje, życie warstw bogatych i ulicy — to ulubione tło powieści. Obok Warszawy wieś w Polsce centralnej, mazowiecka, podlaska, małopolska, wreszcie miasta Kraków, Lwów, stosunki galicyjskie i najpóźniej „odkryte“ Podhale z góralczyzną.

I tak poszczególne wyżej wymienione „regiony“, choć jeszcze tej nazwy nie znano, ani „regionalizmu“ w dzisiejszym znaczeniu nie było — miały swych „re-

gjonalistów“. Kraszewski, Kaczkowski, Łoziński, Sienkiewicz i liczni pomniejsi zwracają się ku kresom wschodnim i ziemi podlaskiej. Orzeszkowa, Rodziewiczówna i Weyssenhof umiłowali litewską wieś i litewską puszcę, Żeromski Kielecczynę, Tetmajer i Orkan Podhale, Bolesław Prus Warszawę i t. d.

A życie polskie dość było zróżniczkowane przed wojną i przez rozmaite przechodziło ewolucje polityczne, społeczne i kulturalne, tak, że pisarze nasi dosyć mieli wątków do rozwijania i kwestyj do omawiania.

Nic zatem dziwnego, że oderwana przed wiekami od macierzy ziemia śląska, bardzo luźne utrzymująca stosunki z Krakowem, Poznaniem, czy byłem Królestwem, nie mogła często być przedmiotem natchnienia naszych prozaików i poetów. Więcej opiekowali się nią polscy politycy, tworząc partje i budząc ducha opozycji przeciw ciemnościom, dając tem samem podstawy pod rozwój narodowy germanizowanego i czechizowanego Śląska.

Najłatwiej nieznanym współczesnego życia śląskiego beletrystom polskim było zająć się życiem Śląska w przeszłości. Zaslugi położył tutaj ogromnie płodny, uniwersalny, o ile chodzi o odtwarzanie przez siebie epoki historyczne i różne „regiony“ ziemi polskiej — Kraszewski.

W cyklu (wznowionym przez firmę Arcta), mającym zobrazować całą przeszłość starej szlacheckiej Polski od najdawniejszych czasów aż do rozbiorów, w pierwszych tomach zajmuje się żywo dziejami Śląska. Odtwarzając dzieje Pol-

*) Praca niniejsza jest rozszerzonym i pogłębionym odczytem, wygłoszonym w Radjo katowickim 28 maja 1930 r.

ski za Piastów w XI—XIV w., musiał zwrócić pilną uwagę na stosunki śląskie. Przecież Śląsk w tej piastowskiej epoce na równi z Wielkopolską i Małopolską najpoważniejszą odegrał w dziejach Polski rolę. Tutaj ogniskowało się życie polityczne i gospodarcze. Ta dzielnica piastowska najwyżej bodaj stała wtedy w swym rozwoju gospodarczym i społecznym (w stosunku do innych dzielnic), biorąc gotowe wzory do naśladowania od sąsiadujących z nią Niemiec. Ogniskiem tego życia, stolicą Śląska wówczas był Wrocław.

W powieści „Królewscy synowie“ akcja 4-tego tomu toczy się przeważnie na Śląsku (Wrocław). Treścią jej jest walka synów Władysława Hermana, Zbigniewa i Bolesława za życia ojca i po jego śmierci, o prawo do tronu. Zbigniew, uwolniony z klasztoru w Saksonji przez wrogów Sieciecha, zajmuje Śląsk wraz z Wrocławiem. Autor maluje dwór Zbigniewa we Wrocławiu, a później Bolesława, skoro ten, pokonawszy Zbigniewa, odebrał mu Śląsk i osiadł w grodzie wrocławskim. Niestety w opisie Wrocławia i Śląska z tej epoki (wiek XII) Kraszewski, lekceważąc koloryt lokalny, podaje konwencjonalny obraz miasta i ziemi śląskiej, do tego stopnia, że trudno odróżnić miasto Wrocław i inne miasta śląskie od Krakowa lub Płocka.

Wojna cesarza Henryka V z Bolesławem Krzywoustym, tocząca się na ziemi śląskiej (oblężenia Bytomia, Wrocławia i Głogowa), a zwłaszcza bohaterska obrona Głogowa — to ciekawsze momenty historyczne w „Królewskich synach“.

Kraszewski wcale barwnie opowiada za Gallem o patriotyzmie i bohaterstwie mieszczan głogowskich, poświęcających własne dzieci, jako zakładników, danych Niemcom, aby tylko miasta nie poddać. Przyroda śląska blade, bez plastyki oddana — mało jej zresztą tutaj, jak wo-

góle u Kraszewskiego, którego głównie interesują ludzie. Zgodnie z geografją ówczesnego średniowiecznego Śląska maluje autor ten kraj, jako puszcę wielką. „Grody stały, jak opoki, oblane moczarami, a z bezpańskich pustyni, w których żywej duszy nie było, nawet szkapa się nie napasała. Lasy gęste straszły, jak twierdze niezdojbyte, bo każdy las zasadką był najeżoną przeszkodami, a gdy w nim kto zabłąkał się i pozostał, nie powrócił do obozu. Puszcza go pożerała i śladu po nim nie było.“ („Królewscy synowie“, wyd. 1877, t. IV, str. 137.)

Lepiej od miast Głogowa, Wrocławia i kraju udali się Kraszewskiemu w tej powieści ludzie. Ślązaków przedstawia bardzo dodatnio, jako najwierniejszych poddanych Piastów i Bolesława Krzywoustego, a wrogów Sieciecha, pragnącego odebrać tron synom Władysława Hermana. Ślązacy to dobrzy żołnierze, roztropni ludzie i mocno przywiązani do swej ziemi. Np. Głogowianie wielkie ponieśli ofiary, aż do bohaterstwa i poświęcenia, aby się Niemcom nie poddać. Namiestnik Wrocławia Magnus, uosobienie poważnego i rozważnego wodza, wiernego księciu polskiemu. Ciekawą, choć ujemną postać Ślązaka wprowadził tu Kraszewski. Jest to Marko Sobiejucha, który „się mienił Ślązakiem i przysięgał, że z Głogowa był rodem“ (o. c. I, 118). „Człek był jeszcze urodziwy, postawny, wyszczekany, językiem do wszystkiego gotów, ruchawy pozornie, a gdy przyszło co czynić, posługujący się i popychający drugich, krzyczący tylko głośno, a niewiele skuteczny.“ (I, 118). Służył on po wielu dworach, na Węgrzech, na Rusi, w Czechach, Włoszech, Niemczech i wojował tamże, „porąbany w wojnach okrutnie“ — przynajmniej tak się chwalił. Słowem typ obieżyświata, samochwała, gaduły tchórzem podszytego — prototyp sienkiewiczowskiego Zagłoby. Ten Ślązak Marko Sobiejucha pomaga Zbignie-

wowi do odzyskania tronu, zdradza go po jego klęsce, znów doń powraca, gdy mu się lepiej powodzi, aż wreszcie, czując się niepewnym życia w ogólnej zawierusze w kraju — znika.

W „Historji o Petrku Właście“ z czasów Władysława II, wielkiego księcia krakowskiego (w. XIII), który po śmierci Krzywoustego otrzymał na własność dziedziczną dla swego rodu Śląsk — przedstawia Kraszewski losy napół legendarnej postaci Piotra Własta, palatyna. Maluje bogaty dwór jego we Wrocławiu, dwór wrocławskiego biskupa ks. Janika oraz dwór w Głogowie ks. Władysława II, dziedzica Śląska. Nigdzie w opisie miast śląskich niema kolorytu lokalnego, opisy, jak zwykle u Kraszewskiego konwencjonalne. Dwory panów śląskich trudno odróżnić od dworu ks. Władysława w Krakowie.

Tragiczne były losy palatyna Własta. Za sprzyjanie braciom Władysława II, których tenże pragnął wygnać z Polski, aby zjednoczyć rozdarte testamentem Krzywoustego dzielnice piastowskie — Włast został uwięziony podstępnie we Wrocławiu przez wysłańca książęcego, Niemca Dobka, swego osobistego wroga. Mienie jego we Wrocławiu zniszczono. Częściowo oślepiony ucieka Włast wraz z synem do Płocka, do braci Władysława, którzy mu dają schronienie, jako swemu zwolennikowi. Mścicielem Własta jest starosta wrocławski Roger; uwolniony z więzienia dopomaga Włastowi do powrotu do swej siedziby rodzinnej. Stało się to po wyklęciu Władysława przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jakóba ze Żnina, stojącego po stronie braci Władysława, w obronie statutu Krzywoustego. Władysław idzie na wygnanie wraz z żoną Agnieszką, siostrą cesarską; jest ona w powieści złym charakterem i sprawczynią klęski Władysława. Napół oślepiony, z przeciętym językiem pan śląski Włast swą tragiczną męką, pokorą,

pobożnością i cierpliwością w cierpieniu przypomina sienkiewiczowskiego Juranda.

W „Waligórze“, powieści z czasów Leszka Białego, znowu Wrocław na Śląsku jest punktem głównym, około którego obraca się akcja, chociaż Śląsk nie podlegał już wtedy władzy ks. krakowskiego. Jeśli w poprzednich powieściach było to jeszcze miasto o charakterze więcej polskim, podobnie jak i cały Śląsk, zamieszkały przez Polaków, to już w czasach Leszka (początek XIII w.) maluje Kraszewski tę piastowską dzielnicę, jako napół ziemczą, dzięki wielkiemu wpływowi Niemców, sprowadzonych przez napół ziemczonych Piastów śląskich, potomków Władysława II. Tym ośrodkiem germanizacji Śląska jest dwór Henryka Brodatego we Wrocławiu, pobożnego dewoty, zaniedbującego sprawy świeckie. Książę Henryk jest pod silnym wpływem żony, ks. Jadwigi, gorliwej Niemki, ascetycznej miniszki z Trzebnicy, nielitościwej w swej ascezie dla siebie i dla drugich. Na dworze Henryka Brodatego prawie sami Niemcy, niewielu Polaków-ślązaków; między tymi ostatnimi rycerz śląski Zbislaw Nieczuja. Ślązacy ci muszą ustępować we wszystkim wszechwładnie rządzącym Niemcom. Kraszewski może za silnie podkreśla antagonizm między Niemcami a Polakami na Śląsku w tej epoce, w której poczucie narodowe nie było jeszcze tak silne.

Do ciekawszych, choć epizodycznych postaci z pośród Ślązaków należy Ślązak, błazen Trusia. Nie lubił on Niemców i dworu ks. Henryka. „Był to Ślązak, ubogi, bezdomny, chudy człek, niewesołej twarzy, wiecznie głodny i spragniony; choć błazna piastował urząd, rychlejby do płaczu, niż śmiechu pobudził. Prawił głupie żarty, jak z musu, sam się nie śmiejąc, może, ani myśląc o tem, co mówił.“ („Waligóra“, 1879, II, 11.) Inny Ślązak, Hołubek, Polak, właściciel gospo-

dy we Wrocławiu, skarży się, że związki Śląska z Krakowem już się rozluźniają (II, 27). Waligóra odpowiada mu, że przyczyną tego — niemczenie się Śląska. Te biadania na niemczenie się Śląska w XIII w. są słuszne w odniesieniu do miast i dworu książęcego, a nie do warstw niższych, które polskimi zostały.

W powieści „Kraków za Łoktka“ spotykamy trochę drobnych wzmianek o Ślązakach i słyszymy o udziale ich w buncie wójta Alberta. Sprowadził on do Krakowa zniemczonego Piasta śląskiego, ks. Bolesława Opolskiego, uznawszy go wraz z mieszczanami za pana przeciw nielubianemu przez mieszczan krakowskich, Niemców — Łokietka.

„Syn Jazdona“ (jest nim biskup krakowski Paweł z Przemankowa), powieść historyczna z czasów Bolesława Wstydlwego i Leszka Czarnego, przenosi nas w czasy świetności śląskich książąt piastowskich i rycerstwa śląsko-niemieckiego, którym przewodzi ks. Henryk Pobożny, syn św. Jadwigi i Henryka Brodatego, bohater z pod Lignicy. Najlepsze karty tego opowiadania historycznego poświęcił Kraszewski bitwie z Tatarami pod Lignicą, 1241 r.

Stosunkowo do innych tego rodzaju batalistycznych epizodów u Kraszewskiego, jest jednym z lepszych, tak, że całkiem gładko czyta się o tych bohater-
skich zmaganiach rycerstwa chrześcijańskiego pod wodzą ks. Henryka z najazdem tatarskim. Postać ks. Henryka Pobożnego, acz zniemczonego Piasta, przeciw sympatycznie wybija się prawym charakterem, powagą, męstwem i szlachetną pobożnością, z pośród wszystkich książąt śląskich, jakich charakterystyki spotykamy w powieści historycznej poprzednika Sienkiewicza. Śmierć jego w bitwie pod Lignicą należy do piękniejszych epizodów w powieści. Również wcale ładne jest pożegnanie Henryka z matką przed wyruszeniem pod Lignicę. Warto

tu wspomnieć także o górnikach Ślązakach, wprowadzonych przez Kraszewskiego w szeregi walczących pod Lignicą. „Górnicy ze Złotogóry, lud silny, krzepki, zahartowany, ale zbrojny więcej we młoty i obuchy, niż w oręż, łuki mający ladajakie. Niektórzy z nich tylko nieśli tarcze proste, skórą jako tako obleczone. Co niestało prawego żołnierza, dopełniano górnikami, wiele okazującymi serca.“ („Syn Jazdona“, 1888, I, 119). Ci górnicy pierwsi się rwą do walki: „Pójdziemy przodem! Obuszki podnosząc w górę — powtarzali zgodnie: — My przodem! my pierwsi!“ (I, 119). I poszli pierwsi. „Górą płynęła chorągiew górników Złotej Góry, pędzili, nie dając się powstrzymać. — Naprzód! Naprzód!“ (I, 126).

Obok sympatycznie nakreślonej, szlachetnej postaci Henryka Pobożnego kreśli Kraszewski w „Synu Jazdona“ groteskową sylwetkę jednego z najbardziej osławionych książąt śląskich, rozpustnego, leniwego i przewrotnego Bolesława Łysego Rogatki. Wreszcie znowu tutaj spotykamy się z św. Jadwigą, uciekającą podczas najazdu tatarskiego z Trzebnicy do Krosna. Ten „chodzący posąg świętej“, może trafnie oddany przez Kraszewskiego, odstręcza nas straszliwie okrutną, bezlitosną ascezą.

W „Pogrobku“ (z czasów przemysławowskich), bardzo słabej powieści, w której poznajemy więcej domowe i małżeńskie historie z życia Przemysława Pogrobowca, aniżeli jego czyny polityczne i wojenne — daje nam Kraszewski szkicowe i pobieżne charakterystyki niektórych książąt śląskich (znowu Rogatki, mylnie tu nazwanego Henrykiem, Henryka Probusa i innych).

W innych powieściach Kraszewskiego z epoki piastowskiej mamy jeszcze wzmianki o Śląsku i Ślązakach, nie sposób jednakże dawać z wszystkich bliższe

sprawozdanie. Zwrócono tu uwagę tylko na bardziej charakterystyczne wyjątki.

I w powieściach saskich tegoż pisarza są wzmianki niekiedy o ziemi śląskiej („Brühl“, „Hrabina Cosel“).

Kraszewski o tyle zajmował się dziejami Śląska, o ile musiał dla podmalowania tła historycznego swych powieści z epoki piastowskiej. Są to rzeczy przeważnie słabsze i dzisiaj prawie nieczytane. Talentu i artyzmu mało, anegdotyczne historie przeważają nad materiałem ściśle historycznym. Mimo to, jak dotąd, jest świat śląski (książęta, rycerstwo, mieszczenie, miasta śląskie) z tej epoki, najściślej jeszcze łączności ziemi śląskiej z macierzą — Polską — w polskiej beletrystyce jako całość prawie że jedyny. Nikt poza tym nauczycielem Sienkiewicza nie dał jeszcze obszerniejszego jego obrazu. I mimo wszystkie usterki artystyczne i historyczne — trzeba przyznać, że Kraszewski historyk, choć gawędziarz-moralista, dość był sumienny w szeregowaniu wypadków dziejowych, o ile mu na to ówczesne źródła historyczne pozwalały — dość wiernie się ich trzymał, mało zdradzając skłonności do zbyt subiektywnego ich wypaczania i tendencyjnego patryotyzowania.

Kaczkowski i Sienkiewicz skierowali swą uwagę prawie całkowicie na wschód Rzplitej XVII i XVIII-wieczna. Jedyne w „Potopie“ słyszymy o ucieczce króla Jana Kazimierza przez góry na Śląsk i o torujących mu drogę wiernych góralach, a w „Krzyżakach“ rozlega się piosenka przetowłosej Danusi z luteńką: „Gdybym ci ja miała skrzydełka jak gaska, tobym poleciała za Jaśkiem do Śląska“.

Artur Gruszecki (o którym niżej jeszcze będzie mowa) w bardzo słabej powieści historycznej p. t. „Rycerz Mariji“ (Bytom 1909), której tłem czasy Batorego i młodość hetmana Żółkiewskiego wprowadza postać Ślązaka, obok Żół-

kiewskiego głównego bohatera powieści. Jest nim dzielny żołnierz, chłop śląski, Michał Wątopek. Za wielkie zasługi, położone w wojnie z Gdańskiem, wynosi go król Stefan Batory do stanu szlacheckiego.

Po wojnie światowej zyskała przeszłość Śląska, zwłaszcza Śląsk Cieszyński, swą orędowniczkę w osobie znanej pisarki Kossak-Szczuckiej. W „Wielkich i małych“ daje nam Szczucka zbiorek opowiadań z dziejów Śląska Cieszyńskiego. Odpowiadające tytułowi pierwsze opowiadanie w tym zbioru czerpie swą treść z dziejów kontrareformacji na Śląsku za Zygmunta III — w I-szym okresie wojny 30-letniej. Nawiasem mówiąc, autorka wdziera się w epokę bardzo mało rozjaśnioną w historjografji polskiej i dotąd całkiem niepopularną w beletrystyce. Walki między katolikami a protestantami o kościoły, żywot bł. Jana Sarkandra, patrona Śląska, przejście Lisowczyków przez Śląsk w 1620 r. — to tło tego szkicu powieściowego. Fabuła rozgrywa się głównie w Skoczowie pod Cieszynem. Ksiądz Gagalkowski, ksiądz Sarkander, obok wodzów Lisowczyków, Rogawskiego i Kleczkowskiego oraz ich kapelana ks. Dęboleckiego, to postacie, któremi się autorka więcej zajmuje. Śląski żywioł reprezentują oprócz księży, Gagalkowskiego i bł. Sarkandra, mieszczenie skoczowscy, rozdzieleni waśnią religijną. Waśń ta nie bez momentów humoru w „Wielkich i małych“ ma podłoże także gospodarcze, czysto materialne, to też nie jest ona głęboko ideową. Dlatego mieszczenie skoczowscy, tak katolicy, jak i protestanci godzą się z sobą, byle ich sprawy materialne nie doznawały uszczerbku. Żywioł polsko-śląski wszędzie tu przeważa nad niemieckim. Ci mieszczenie w większości nie znoszą Niemców — stąd istnieje i waśń narodowa między Ślązakami a Niemcami, może żywsza od fanatyzmu religijnego, którym przejęci są przedewszystkiem duchowni.

Epizodyczne postacie brata Dobrasty, Morawianina, reformatora Włocha Paruty i uczonego jezuitę, ojca Melchiora, wplecione w fabułę, raczej dla ich charakterystyki, niż czynnego działania w akcji, której niema prawie. Wybija się nad wszystkimi postać ks. Sarkandra, zmarłego męczeńską śmiercią, nieco papierowa i święta, jakby z żywota jego, oplecionego legendą, wyjęta. Autorka wyższość nad sporami teologicznymi przyznaje prostej wierze bł. Sarkandra, zbyt prosto jednak, prawie naiwnie rozstrzygając problemy religijne ze stanowiska katolicko-dogmatycznego. To też najlepiej udają się jej prostolinijne, wierzące dusze, jak ten Jonek Sarkander, albo ojciec Melchior jezuita, albo wreszcie ks. Dembołęcki, a mniej różnowiercy (Paruta, Dobrasta).

Przyroda cieszyńskiego Śląska oddana z wielką plastyką i prawdą, bo oparta na autopsji autorki. Beskidy śląskie tak opisuje w „Wielkich i małych“ (str. 24, wyd. 1927): „Wspiął się na wąską przełęcz (Jonek Sarkander) i stanął olśniony, ujrzawszy przestrzeń rozległą. Las na przeciwnym stoku leżał, powalony dawną jakąś srogą burzą, otwierając oczom widok na najcudniejszą w świecie dolinę Brennicy. Leżała przed zachwyconym wzrokiem błękitno-złota i rozkołysana. Na lewo wznosiły się góry; Rzybrzyczka, czarna od jodeł, Cisowa, złoto-zielona od buków, Łazek, łysy Czubel, Błotnia, Stółowa i dalsze, aż po Klimczak i Magórę. Na prawo ciemniał Lipowiecki Kopic i wysoka zamglona Równica, Stary Groń... Hen w oddali wśród obłoków majaczy Barania — na prawo, za Lipowieckim Czantorją. Choćbyś wieszycie patrzył w tę dolinę, nie uprzykrzysz się jej czarem, co godzinę odmiennym i nowym.“

W noweli „Ostatnia księżna cieszyńska“ zajmuje się autorka losem ks. Elżbiety Lukrecji, ostatniej księżny cieszyńskiej z rodu Piastów. Jej charakterystyka

bardzo przypomina dzisiejsze śląskie gospodynie. Autorka przeciwstawia jej polskość i swojskość śląską mężowi ks. Lichtensteinowi, Niemcowi, lekceważącemu Ślązaków. Antagonizm między Niemcami a Ślązakami-Polakami w Cieszynie przy końcu wojny 30-letniej, przy przewadze żywiołu wrogiego Niemcom i charakterystyka ostatniej Piastówny, jako niemal Ślązaczki-Polki, bolejącej nad niemczeniem się Cieszyna, wydaje się w pewnej mierze przesadą i anachronizmem. Mieszczanie cieszyńscy w większości swej to Ślązacy ku Polsce, jak i sama księżna ciężący i wrodzy Niemcom, jeszcze mniejszości w Cieszynie. Sąd książęcy na zamku odbywa się wedle dawnych praw z czasów Zygmunta Jagiellończyka po polsku. Cieszynianie wołają za ks. Lichtensteinem: „Nie trza nam Niemca na Śląsku!“ Wszystko to budzi pewne wątpliwości, a w każdym razie trąci przesadą.

Pięknie wypadł w tej noweli Cieszyn ze swym starym zamkiem, którego opis niewątpliwie oparty na autopsji dzisiejszych resztek jego świetności.

W „Historji Ondraszka Szebesty“ nowością jest dziki świat zbójników śląskich na tle dzikiego krajobrazu Beskidów śląskich. Śląski chłop i góral z cieszyńskiego Śląska z XVII i XVIII w. jest tylko archaizowanym typem dzisiejszego górala Ślązaka. Niewątpliwie czerpała tu autorka z ludowych podań śląskich o zbójniku Ondraszku, którego wychwalają straganowe ludowe broszury. Ondraszko w noweli Szczuckiej przechodzi dziwne koleje losu. Jest uczniem w klasztorze w Opawie, uczy się na księdza, a uciekwszy ze szkoły, dostaje się na zamek hrabiego Prażmy we Frydku, by bawić znudzoną jego żonę, w charakterze czułego amanta-lektora. Wypędzony stamtąd, dopiero wtedy przystaje do zbójników, wyciąwszy w lesie maczugę przeznaczoną dla zbójnickiego hetmana i

dowiedziawszy się od wiedźmy Czorbuli, że jest dzieckiem, które za sprawą jej i djabła urodziło się jego rodzicom. Ta wiadomość, pobyt w szkole klasztornej i jakaś wewnętrzna nierównowaga czynią zeń człowieka rozdwojonego i bez spokoju wewnętrznego, jaki przystoi takim zbójnikom.

Trudno też zastosować do niego powiedzenie autorki o zbójnikach śląskich: „Byli źrenicą ludu ślązackiego, ostoją jego zaprzepaszczonej wolności.“ Ondraszek Szczuckiej nie jest typowym ludowym Ondraszkiem. Ale i tak ta literacka opowieść o Ondraszku, chociaż zawiera w sobie i wiele nieumotywowanych psychologicznie i dziwacznych lapsusów — zwraca na siebie uwagę, jako próba wprowadzenia do literatury tej popularnej śląskiej postaci, niemal bohatera. Historyczne tło tej historii o Ondraszku, to czasy Jana III w Polsce i echa jego przejścia przez Śląsk na odsiecz Wiednia. Szczucka wszędzie wydobywa choćby tylko błyski tej łączności dawnej między Polską a Śląskiem, ciągle wyszukując nici wzajemnych sympatyj — nie bez pocziwej zresztą tendencji.

Opowiadanie „Imko Wisetka“ nieco na baśń zakrawa, lub podanie o założeniu śląskiego uzdrowiska Wisły. Sam Imko zrazu marzyciel, potem całkiem pospolity kolonizator puszczy. Mało umotywowane skoki w jego psychice wynagradzają piękne, niby baśniowe obrazy puszczy leśnej u źródeł Wisły. Bardzo prymitywny dwór księcia cieszyńskiego (w. XIII) Piasta Mieszka i to wcale nie o charakterze niemieckim, ale śląsko-polskim znowu zadziwia nas tą swojskością. Czy nie anachronizm?

Po „Wielkich i małych“, pierwszej pracy z dziejów Śląska, przystąpiła Szczucka do większej powieści. „Legnickie pole“, to rzecz już bardzo dojrzała, o niebo przewyższająca próbne pierwociny „Wielkich i małych“. Jest to wogóle

może najgłębsza i artystycznie najlepiej dotąd wykonana jej robota. „Legnickie pole“ przenosi nas w czasy Henryka Brodatego i Pobożnego na dzisiejszy Śląsk niemiecki (Wrocław-Trzebnica-Lignica), w epokę (XIII w.) znaną nam już z opowieści Kraszewskiego („Waligóra“ i „Syn Jazdona“ p. str. 41 i 42). Nader prymitywne tło historyczne u Kraszewskiego zastąpiła Szczucka wcale głębokiem studjum powieściowem z dziejów średniowiecznej kultury, opartem na dość pracowitem zapoznaniu się z początkami średniowiecza i średniowiecznymi dziejami Śląska, co nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, wobec niedość jasnego obrazu tych czasów nawet w literaturze naukowej (nie wchodzimy tu bliżej w źródła powieści Szczuckiej, co byłoby rzeczą ciekawą dla poznania wiarygodności historycznego jej obrazu).

Obraz zmagają się śląsko-niemieckiego świata chrześcijańskiego z nawałą tatarską — Legnica — to tylko sam finał powieści, zakończonej bitwą pod Lignicą (stąd tytuł książki), która w tej powieści nie przypomina pospolitych batalistycznych opisów i nie jest wcale w stosunku do całości krzykliwym efektem, ani dekoracją epizodyczną. Śmierć Henryka Pobożnego nie przypomina też opisu u Kraszewskiego — całkiem oryginalnie i swoiście pojęta, jak wogóle postać tego księcia i innych książąt śląskich. Henryk ginie nie tylko za wiarę, jako bohater, męczennik sprawy chrześcijaństwa całego, ale i dręczony wyrzutami, zniemczony Ślązak, niejako zdrajca sprawy narodowej Śląska, którą zaprzepacił, zgniótlszy bunt Ślązaków przeciw Niemcom, któremu przewodził brat Konrad. Dlatego ponosi pod Lignicą klęskę, bo zgnębieni przezeń jako Niemca, Ślązacy nie poszli z nim pod Lignicę. Ten motyw walki narodowej Ślązaków-Polaków z Niemcami, dosadny już w „Wielkich i małych“, jest znowu zasadniczym w „Legnickim

polu". Może z pewną przesadą podkreśla autorka ten antagonizm niemiecko-śląski, uosabiając go w dwóch synach Henryka Brodatego — Henryku Pobożnym, Niemcu już, ubóstwiający kulturę zachodnio-niemiecko-chrześcijańską i Konradzie, Ślązaku-Polaku, wychowanku puszczy śląskich (Henryk podróżował zagranicą), przywiązany do obyczajów rodzimych, śląskich, nawet do pewnego stopnia do starej słowiańskiej, śląskopogańskiej religii, głęboko jeszcze swemi korzeniami tkwiącej wśród ludu, a nawet częściowo i warstw wyższych. Konrad staje w obronie polskości Śląska przeciw Henrykowi, zdradzony jednak przez Ślązaków ginie w bagnach wrocławskich, jako „ostatni książę Piast, co chciał być Ślązakiem“ (str. 180, Kraków, 1930). Zato znów Henryk, rycerz chrześcijańsko-niemiecki, ginie pod Lignicą, nie poparty posiłkami Ślązaków. Błado dość wypada postać Henryka Brodatego. Zniemczony to, stary, znużony panowaniem książę, ulegający wpływowi Niemki, żony swej, św. Jadwigi. Jej postać bardzo oryginalnie, realnie, śmiało i z dużą intuicją ujęła autorka. Zdarła z niej pospolity legendarny nimb papierowej świętości. Nie ma ona nic w sobie z papierowego obrazka świętej. Jest żywym człowiekiem, „starą kobietą“, pobożną, zmęczoną życiem i niebardzo szczęśliwą i niebardzo, mimo dewocji, spokojną wewnątrz. Jej postać jest naogół anachronizmem w świecie napół pogańskim i barbarzyńskim, który jej chrześcijańskiej dewocji, pokory i poniżania się nie jest w stanie zrozumieć. Nie robi też z niej Szczucka gorliwej germanizatorki Śląska, ani fanatyczki Niemki, ale indyferentkę w walce narodowej, wyższość przyznającą nad temi sporami chrześcijańskiej zgodzie (namawia ona syna Henryka do zgody z Konradem, a nawet ujmuje się za krzywdzonymi Ślązakami, którzy mają prawo do swej mowy). Postać jej bardzo więc indywidualnie oddała Szczucka i znacznie

dla nas sympatyczniej, aniżeli Kraszewski, szukając swą metodą wewnętrznych, psychologicznych pobudek jej czynów miłosierdzia, ascezy i pobożności, która jest u św. Jadwigi nie tylko zewnętrzną formą. Inna rzecz, czy portret świętej jest zgodny z prawdą dziejową! Podobnie i inne postacie z dworu książęcego we Wrocławiu (córki Henryka Brodatego, Anna, Zofja etc.), oddane z życiem i możliwym prawdopodobieństwem, jakby podpatrzone z dzisiejszego chłopskiego obejścia śląskiego — a nie wyjęte z papierowej historii, studjowanej przez pisarkę.

Obraz życia śląskiego w początkach XIII w. uzupełnia Szczucka obrazkami z życia ludu, rybaków średniowiecznych, duchowieństwa świeckiego i zakonnego (pyszne obrazki z klasztoru w Trzebnicy, realne, jakby podpatrzone), mieszczaństwa i kupiectwa wrocławskiego, pragnąc widocznie pełniej oddać ten ciekawy obyczajowo świat pogańsko-chrześcijański. Ogólny jego obraz pełen cieniów i światła (tych ostatnich mniej znacznie). Świat pogański estetycznie ciekawszy, pełen życia i prawdy — chrześcijaństwo tylko lekkim pokostem zewnętrznym. Szczucka ujęła doskonale przeciwieństwa średniowiecza: barbarzyństwo i świętość, pogaństwo i chrześcijaństwo. Czary, gusła, straszliwe zabobony, wiara w dawne bożki, brak celibatu wśród duchowieństwa, bardzo jeszcze nieokrzesanego — grube wogóle obyczaje — to wielobarwna mozaika ówczesnego życia. Prawie pesymistyczne i krytyczne spojrzenie w tę przeszłość z dojrzałą wyrozumiałością — pasują Szczucką w tej książce na wnikliwą pisarkę historyczną, zaczynającą rozumieć względność wszelkich norm etyczno-moralnych, stosowanych nieraz pochopnie do przeszłości. Zaczyna ją obecnie obchodzić pytanie: „jak właściwie było i jak się stawało?“

Obok śląskiego żywiołu w książce tej wprowadza autorka wedle wielce oryginalnie

nalnie ujętej tezy, że najazd mongolski był sprowadzony na kraje wschodnie Europy przez Wenecjanów, pragnących podciąć wschodni handel rywaliów swych, zniechęconych Genuńczyków — także żywiół międzynarodowy i wschodnio-egzotyczny, Włochów, Wenecjan i Genuńczyków, Chińczyków, Tatarów, Rusinów itd., dając piękne, barwne, czarujące, stylizowane obrazki z życia dalekiego Wschodu mongolskiego (Karakorum) i udatne charakterystyki dyplomatów i kupców chińskich i włoskich. Sugestjonuje nas wreszcie miłą, współczucie budzącą postacią głównego właściwie bohatera powieści — nieszczęśliwego w swej miłości niezaradności i rozdwojeniu wewnętrznym, marzycielskiego Włocha Gaetana. „Legnickie pole“ owiła Szczucka poezją i pesymizmem rozdwojonego duchowo średniowiecza.

W „Złotej wolności“, największej dotychczas powieści historycznej Szczuckiej, ukazuje się epizodyczna postać Ślązaka, dzielnego żołnierza w armji Chodkiewicza, podczas wojny inflanckiej ze Szwedami.

To, czego nie dali dawniejsi pisarze polscy — plastycznego obrazu ziemi śląskiej i żywego ludu śląskiego ze swym dialektem — dała dopiero po wojnie Szczucka. Wprowadza ona pierwsza gwarę śląską do polskiej powieści; jest to nowość i zasługa. Inna rzecz, że krytyka uznała tę próbę za nieudaną.

Szczucka posiada wybitny talent plastyczny i narracyjny, bardzo zbliżony do Sienkiewicza, który jakby uległ wpływowi Żeromskiego. Żywa plastyka, wielki liryzm, umiejętność wczuwania się w przeszłość i w psychologję ludzi minionych wieków zdobią jej opowieści śląskie.

Szkoda tylko, że tendencja patryjotyczna i uczuciowo-subiektywne nastawienie do przeszłości oraz pewne lekceważenie wyników badań naukowych, mącą niekiedy względną zresztą prawdę dzie-

jową. W każdym razie jej prace z przeszłości Śląska, oparte nietylko na źródłach historycznych, ale i folklorze, okraszone śląskiem narzeczem ludowym i wyczerpane wizjami pejzażu śląskiego, należą do najciekawszych i najdojrzalszych rzeczy, które dotąd w beletrystyce naszej o przeszłości ziemi śląskiej napisano.

Niewątpliwie powieść historyczna Śląska ma wielką przyszłość przed sobą. Jest to poprostu ziemia obiecana, a dotychczas prawie nieznaną. Zaledwie zlekka odchylone mroki tej przeszłości z epoki Piastów i Wazów (wojna 30-letnia), a gdzież całe epepeje innych okresów, nawet nauce polskiej prawie nieznanym?

Współczesna obyczajowa powieść polska, zarówno jak historyczna, niewiele interesowała się ziemią śląską.

Doskonały znawca nędzy galicyjskiej za czasów austriackich, Bałucki, wspomina czasem o Śląsku. W kapitalnej powieści „Pan burmistrz z Pipidówki“ wzmiankuje o szlachcicu Szczuce, który „pojął za żonę córkę jakiegoś handlarza drzewa na Szląsku, z którym to handlarzem zawarł bliższą znajomość przy wytrzebieniu swoich lasów, także dla pokrycia deficytów. Handlarz potrzebował zięcia szlachcica, Szczucka potrzebował pieniędzy...“ (str. 9-10...). O Pipidówce powiada autor, że, chociaż to miasteczko „nie o wiele lepiej wyglądało od niejednej wioski na Szląsku pruskim“ (str. 10). Bałucki znać musiał Śląsk i stąd te porównania.

Żeromski, wielki regionalista, rozmilowany w swej rodzinnej Świętokrzyszczynie, bodaj czy nie pierwszy zwrócił uwagę na region śląski, upominając się o odnalezienie duszy jego przez pisarzy polskich. Jego gorące i patryjotyczne serce czuło było na każdą nędzę i każdą mękę polską pod rządami zaborców. Piętnując inercję i nieudolność społeczeń-

stwa polskiego w wspaniałej trylogii „Walka z szatanem“ — wspomina czasem o Śląsku. W „Nawracaniu Judasza“ boleje nad tem, że „chciał się byt Macierzy śląskiej, oczywiście dla braku funduszków“ i piętnuje sprzedawców ziemi śląskiej Niemcom (str. 297, wyd. 1925). W „Zamieci“ Ryszard Nienaski marzy o tem, aby skupić pod jeden sztandar walki o ziemię i prawa — robotnika z Zagłębia dąbrowskiego i robotnika ze Śląska (str. 225, wyd. 1925). W „Snoźmie i postępie“ serdecznie odzywa się o Ślązakach. „Któż kiedy zdoła wypowiedzieć poświęcenie Ślązaków, nietylko powstańców, ale zwykłych kolejarzy, którzy swą pracę musieli wykonywać w walce z wrogiem!“ (str. 70, wyd. 1923). I skarży się na ospałość społeczeństwa polskiego, że nawet przyłączenie Śląska „przeszło w pozycji polskiej bez najmniejszego echa“ (o. c. str. 73).

Walkę górnika śląskiego o byt i chłopca śląskiego z germanizacją przedstawił w przedwojennej powieści stosunkowo najszerzej wspomniany wyżej Gruszecki, autor naturalistycznych powieści z wielu środowisk polskiego życia, obrazujących różne aktualne na przełomie XIX i XX-wieczna kwestje społeczne.

Śląska dotyczą powieści „Zwycięzcy“^{*)}, „Krety“ i „Pruski huzar“. Zupełnie Śląskowi poświęcony „Pruski huzar“ jest historią Ślązaka w wojsku pruskim przed wojną. Jest nim huzar, Jasiek Szczygieł, przechrzczony w wojsku na Johanna Stieglitza, ze wsi Radonie koło Opola na Śląsku pruskim. Wieś Radonie, jak i inne wsie, w „Pruskim huzarze“ nie mają barwy lokalnej. Chłopi śląscy ze wsi Radon i Leszczyniec odmalowani z wielką sympatją przez autora i bardzo dodatnio. Niezawsze jednak biorą nas prawdą i realizmem. Bo też w powieści tej, naogół tchnącej realizmem, Gruszecki odbiega

niewielu miejscami od swej naturalistycznej metody. Ślązaków Gruszeckiego cechuje powaga, rozum, roztropność, oszczędność, przywiązanie do tradycji, mowy i wiary, pracowitość i wielce realne a praktyczne nastawienie do życia. W tych rysach niewątpliwie scharakteryzował on chłopca śląskiego z pod zaboru pruskiego zupełnie trafnie.

Sam bohater powieści Jasiek Szczygieł, to typ nadzwyczaj dzielny, prawy i silny. Wzięty do pruskich huzarów, jako młody chłopak trzy lata odbywa służbę w prowincjach zachodnich Niemiec (aż na Westfalji kończy) i mimo niesłychanie ciężkich warunków, prześladowań, szykan ze strony władz wojskowych i kolegów (jak np. tego zawziętego nań Wilhelma Kruga), dlatego, że był Ślązakiem-Polakim i okrutnej wprost poniewierki, zdolnościami swemi, sprytem, cierpliwością i energją doprowadza do szczęśliwego ukończenia służby wojskowej. Bez katastrofy dla siebie, ale i bez zaparcia się swego pochodzenia. Wraca bowiem do swej wsi rodzinnej wywiczony fizycznie, wyrobiony duchowo, lecz jeszcze szerszym i bardziej przywiązanym do Śląska i polskości Ślązakiem. Wytrwał w wojsku i zwyciężył. Nie zrobiono zeń patrioty pruskiego.

Sympatyczne obok postaci Jaśka są tu typy starych rodziców jego i narzeczonej Marysi. Staje przed naszymi oczyma patriarchalne, stateczne, uczciwe życie rodziny śląsko-wieśniaczej na opolskim Śląsku, żyjącej w warunkach pewnej, niemieckiej zresztą kultury i dobrobytu materialnego. Ci Ślązacy jednak nie okazują wdzięczności Niemcom, czują swą odrębność, niemal za naród „śląski“ się mają i toczą z Niemcami mądrą zresztą i nieustępliwą walkę o swe prawa języka i wiary.

Gwary śląskiej nie słyszymy w powieści Gruszeckiego, ale język jego chło-

*) Powieść ta, wyczerpana dziś zupełnie, była mi mimo gorliwych poszukiwań niedostępna.

pów jest nieco stylizowany, choć literacki.

„Krety“, powieść naturalistyczna à la Zola poświęcona jest doli górnika w Zagłębiu dąbrowskiem. Temat ten omawiał później Żeromski w „Ludziach bezdomnych“, a niedawno Kaden Bandrowski w „Czarnych skrzydłach“. Gruszecki wraca do niego także w „Hutniku“.

„Krety“ obchodzą nas o tyle, że jednym z bohaterów powieści jest górnik, Ślązak, Władysław Pakosz. Przybywa on ze Śląska pruskiego, z Laurahütte do Zagłębia dla zarobku i żeby „świat poznać“ (str. 25, wyd. 1925), a także dlatego, że na Śląsku pod Prusakiem ciężko. „Zawsze tu lepiej (t. j. w Zagłębiu, w Królestwie), aniżeli między Niemcami. „Tam (t. j. na Śląsku) co słowo usłyszysz: „Schweinskerl“, „polnischer Hund“, „verfluchter Wasserpolack“, a tu choć i klnie, to po naszymu“ (str. 33).

Rywalem Pakosza w pracy i w miłości do jednej dziewczyny jest górnik rodem z Zagłębia, Franciszek Butny. W wzajemnej walce zwycięża Ślązak, dzięki zaradności, energii i wyższej inteligencji. Temi zaletami podbija serce Paulisi, którą pragnął zaślubić Franciszek, dobry człowiek, dobry górnik, lecz więcej nieudolny, zamknięty w sobie i skąpy. Przedsiębiorczość i spryt Pakosza, „Prusaka“, jak go nazywają w Dąbrowie, zwyciężyły. Naturalistyczna metoda autora, wyolbrzymiająca mękę i trudy górników, każe mu i z Pakosza zrobić ofiarę zawodu. Ginie on w kopalni, jak zginął i rywal jego Franciszek. Śmierć wzajemian za ciężką pracę czeka górnika. Twardy, nieubłagany los.

Ślązacy, chłopci i górnicy Gruszeckiego oddani są z realizmem; idealizowania ludzi i sentymentalizmu nie szukać u niego. Nie brak jednakże pewnej patriotycznej tendencji („Pruski huzar“) i ostrożnego tykania momentów społecznych, które nie zostały przez Gruszeckiego wy-

zyskane, ani głębiej sprecyzowane. Poczciwy ludek śląski dba jeszcze o swą mowę i wiarę, nie lubi Niemca i poci się w trudzie pracy — nie czuje jednak nienawiści klasowej do swego największego wroga — kapitalisty.

Gruszecki pierwszy może w polskiej beletrystyce zwrócił uwagę na współczesny świat śląski. Zstąpił pod strzechę ludu północnego Śląska i pod ziemię do górniczego szybu. To jego zasługi niewątpliwie. Brak mu tylko większego talentu, którymby mógł rozstawić swoje nowe i ciekawe tematy. Dzisiejsi powojenni pisarze śląscy, wstępując w ślady dawnych budzicieli ducha narodowego na Śląsku, Lompy, Miarki i Stalmacha (Miarka był autorem powieści p. t. „Klomensowa Górka“, drukowanej w r. 1861 w „Gwiazdce Cieszyńskiej“) weszli na drogę regionalizmu. Kossak Szczucka nie tylko historyczne pisuje opowieści z dziejów Śląska, lecz i bieżącym życiem jego interesuje się mocno, zabierając głos w jego sprawach. Być może, że przechyli się także do współczesnej powieści z życia tej kresowej ziemi, jak tego już mamy drobne zapowiedzi. („Doczekał“ w „Orlętach“ 1927 — opowiadanie o tęsknocie starego Ślązaka Hajdy, który się wreszcie Polski i polskiego wojska na Śląsku doczekał; „Kłopoty Kacperka, górckiego skrzata“ — książka dla dzieci, itp.).

Obok Szczuckiej poświęca się ziemi śląskiej kobiece pióro Marji Czeskiej-Maczyńskiej (ludowe opowieści, ostatnio „Ślązaczka“, drukująca się w „Tęczy“).

Z ludowych śląskich opowieści można m. in. wspomnieć o rzeczach Walentego Krząszcza. „Janek“, „Sfalszowany testament“, „Szkoła na pustkowiu“ — (Cieszyn 1920—1921) z życia ludu śląskocieszyńskiego („Janek“, z czasów przelomowych na Śląsku Cieszyńskim). Wyżej od tego rodzaju literatury, w której, z ciekawia nas tylko tło regionalne, stoją dwie śląskie powieści, których fabuła

związana jest z wypadkami powojennymi na Górnym Śląsku — powstania i plebiscyty — słabe pod względem estetycznym i tendencyjne, ale ważne znów z powodu próby przedstawienia tych właśnie arcyważnych dla Śląska momentów dziejowych i górnośląskiego środowiska, tak dotąd mało znanego w powieści. Są to powieści: Macieja Wierzińskiego „Pękły okowy“ (Katowice 1929, odb. z „Polonji“) nie pozbawiona wartości literackiej i Alfonsa Pośpiecha „Człowiek w płomieniach“ (Szopienice 1929) — prawie bez wartości literackiej. Wreszcie ostatnia nowość: Zbigniewa Zaniewickiego „Oberschlesien“ (Warszawa 1930), to także powieść z górnośląskich dni powstańczych (ośrodkiem akcji Lubliniec), napisana z szczerym talentem, krwią i uczuciem, radością i męką — wstrząsa i wywołuje łzy. Autor, widać młody i sam uczestnik powstania górnośląskiego — spisuje swe przeżycia, wzruszając nas prawdą i świeżością przeżyć, przytem żarliwym ukochaniem ziemi śląskiej i gorącym przejęciem się jej trudem walki powstańczej o swą niepodległość. Czasem zalatuje nas jakby echo Remarque'a. Przykre tylko są zgrzyty na końcu powieści o stosunku władz polskich do powstańców śląskich i zalewie Śląska przez obcych przybyszów z innych dzielnic. Wszystkie te powieści górnośląskie postępują się w dużej mierze górnośląską gwara, co znowu jest pożądaną i ciekawą nowością*).

Ślązacy organizują się i wspierają w ruchu oświatowym na Śląsku. W Cieszynie wznowiono „Zaranie śląskie“ (wychodzące już przed wojną), pismo poświęcone kulturze Śląska.

*) Powyższe trzy powieści górnośląskie dostały się w ręce autorki już po napisaniu niniejszego szkicu i odesłaniu do druku; dlatego omówiono je tu zbyt zwięźle, zwłaszcza dwie pierwsze.

Wśród młodszych regionalistów śląskich niewątpliwie obecnie najwybitniejszym jest znany już dobrze w Polsce Gustaw Morcinek, Ślązak z Karwiny, autor powieści „Byli dwaj bracia“ i zbiorku nowel p. t. „Serce za tamą“.

„Byli dwaj bracia...“, powieść ludowa, nagrodzona na konkursie „Przewodnika katolickiego“ (1929), chociaż przepojona naiwną tendencją moralizatorską, prymitywna w konstrukcji i kreśleniu charakterów dwóch braci, usymbolizowanych w pewne idee (miłość bliźniego), przecież napisana z talentem. Jej główną wartość stanowi nowość środowiska regionalnego, którem jest Karwina na Śląsku czeskim i miasto Cieszyn. Dwaj bracia, to wykształcony na pana, ale zmarnowany hulaszczą młodością Franc Przybyła, po nieukończonych studjach strzelec na kopalni w Karwinie i poczciwy, dobry, choć nieuczony hawierz (górnik) i rolnik zarazem, Janek.

Więcej poznajemy tu chłopca-rolnika śląskiego z pod Karwiny, niż górnika. Wieś południowo-śląska ze swymi obyczajami i wierzeniami ukazuje się nam w prostym, ale zajmującym filmie. Autor starał się odzwierciedlić życie domowo-rodzinne i dosyć mu się to udało. Psuje jedynie ludowość tej powieści przeidealizowanie bohaterów, których tendencja moralna powieści urabia na swą modłę, przeckliwiając ich uczucia i doprowadzając do niekonsekwencji psychologicznych. Chłop śląski i górnik w tej powieści nie wydaje się nam prawdziwym. Dwaj bracia, mając nieco rysów istotnych Ślązakom, przecież są idealnymi typami, jakie należałoby naśladować, aby na ziemi zapanowała miłość chrześcijańska, ale nie typami żywych śląskich górników.

Nowością jest tu również gwara śląska z pod Cieszyna, umiejętnie wplatana w literacki, potoczny język. Fabuła powieści przedstawia dzieje dwóch braci,

po śmierci ojca zawzięcie walczących z sobą o schedę po nim. Wprawdzie umierający Przybyła zostawił testament, mocą którego podzielił majątek między obu synów, lecz przedmiotem sporu jest w tajemnicy darowana uczoneму Francowi szkatułka z pieniędzmi. Szkatułkę tę ukradła służąca Zuzka i wypowiedziała służbę. Bracia nie wiedząc o tem, podejrzewali się wzajemnie o zabranie owych pieniędzy. Zazdrosny, zmarnowany Franc podpala bratu gospodarstwo, a potem powoduje w kopalni katastrofę i poranienie Janka. Janek chce zemsty i skarży go przez adwokata do sądu, lecz za namową swej narzeczonej, wyidealizowanej Hanki odstępuje od skargi i zamiast zemsty, w czasie pożaru kopalni z narażeniem własnego życia ratuje brata, czem okazuje chrześcijańską miłość braterską. Skruszony tem Franc uznaje dobroć brata i godzi się z nim na zawsze. Powieść ta, gdyby nie folklor, gwara śląska i t. p. regionalistyczne nowości, ze względu na swą treść i tendencję, nie zasługiwałaby na tak szerokie omówienie.

„Serce za tamą“, tak przychylnie przyjęte przez krytykę, jest drugą książką Morcinka, o wiele wyżej stojącą od „Braci“ — dziełem rzetelnego talentu. Talent autora w połączeniu z wysoce interesującym, nieznanem dotąd bliżej w literaturze środowiskiem górniczym — sprawia, że książkę tę czyta się jednym tchem. Czternaście nowel z życia górnika, czy chłopca śląskiego z Karwiny (obecnie należącej do Czechów) — to 14 kolorowych, ciekawych wycinanek z nieznanego dotąd w Polsce centralnej kresowego regionu, o zupełnie oryginalnych i swoistych cechach. Ten nieznaną świat — twardego, czarnego węgla i twardego czarnego życia górnika żyje w książce w całym swym natężeniu. Obserwacja i wczucie się autora są doskonałe. Stylizowana gwara południowo-śląska jest nowością, przychylnie przyjętą przez znaw-

ców języka. Autor, wrośnięty w swój skrawek ziemi, będąc rodowitym Ślązakiem, jest równocześnie kulturalnym Polakiem. Zna zbliska swoich hawierzy, chłopów i żołnierzy Ślązaków, zżył się z nimi widać od dziecka — ale przytem czytał niewątpliwie Reymonta, Tetmajera, Orkana... Literackie wyrobienie językowe widoczne tu wielce. Ustępny negwarowe w „Sercu“ są pisane piękną reymontowską polszczyzną. Może i duch reymontowski przepoił serce Morcinka, bo jego śląscy chłopci i górnicy mają takie samo polskie serce, jak chłopci Reymonta i też same instynkta, temperament, hardość i rozmach, co górale Tetmajera. Stąd są oni żywymi ludźmi, ale zarazem wydają się nieco i stylizowanymi twórcami sentymentu słowiańskiego pisarza.

Tyle w nich bujności i sentymentalizmu zarazem, że czasem pytamy się, pomimo wielkiej sympatji, jaką darzymy te szczerozłote serca — czy są one tak zupełnie prawdziwe? Czy górnik, lub wieśniak śląski z pod zaboru czeskiego rzeczywiście zachował tyle szczerości słowiańskiej, pierwotnej duszy, idealnie uczuciowo nastawionej do życia. Bo naprawdę wszędzie tu gra rolę największą jakieś **uczucie**, wszędzie **serce** pokrzywdzone, bolejące, współczujące. Aż dziw, skąd się w tych Ślązakach tyle tego serca bierze, skoro żyją pod batem czesko-niemieckim i mogliby stwardnieć na kamień w okrutnej walce o byt i swe istnienie. Przypuśćmy, że nawet słowiańskie, dobre, litościwe miękkie serca dotrwały w czeskiej Karwinie — przypuśćmy — to i tak noszą ci Morcinkowi bohaterzy jego własne, czujące, sentymentalne serce, jakim przepaja swą książkę.

Uczuciowe nastawienie do życia i literackie wpływy reymontowsko-tetmajerowskie (może i sienkiewiczowski!) niewątpliwie pogłębiły wrażliwość autora na wczucie się w takie właśnie szczerze (mo-

że i nieistniejące) typy ludzkie. Dlatego chyba zanadto silne generalizowanie górników i chłopów śląskich, którzy za dużo mają ckliwości i marzycielstwa w „Sercu za tamą“.

Możebyśmy tyle niematerializowanych serc nie znaleźli w istocie w Karwinie? W regionalistycznej literaturze chyba więcej, niż gdzieindziej to zagadnienie prawdy i szczerości narzuca się siłą, stąd tutaj tyle słów pod adresem Ślązaków Morcinka, czy nie za dużo mają serca?!

Rozpatrzmy pokolei te śląskie opowiadania. „Serce za tamą“ pierwsza nowela, to historia starego górnika Pawlity, który z rozpaczą za zamurowanym synem, do czego sam mimowoli się przyczynił, napół obłąkany, po 20 latach od nieszczęsnego wypadku, wysadza dynamitem tamę w kopalni, aby połączyć się z ukochanym Jankiem. W „Krzywdzie“ stary górnik Kubiczek własnoręcznie wyrzezał z drzewa drewnianego konia dla córeczki inżyniera Marzenki, którą on samotnik pokochał, jak swoje dziecko. Ale służąca z urąganiem odnosi mu niezdarłą zabawkę, bo dziecko jej nie potrzebuje. Stary górnik rzuca w koła maszyny swą pracę, czem powoduje jej zatrzymanie. W „Wierze“ zasypani górnicy, śpiewając nabożne pieśni, podtrzymują się na duchu aż do wyratowania. „Szmatławy“ i lekceważony zwykle Bulandra, podtrzymujący śpiew do ostatka, wyrasta tu na bohatera. W „Głupiec maszynie“ stary górnik Szeruda powoduje zasypanie zniechęconej wyrębiarki węgla, „głupiej maszyny“, która obniża płacę robotnika, a możnaby się bez niej — zdaniem jego — obejść. „W kwietniową noc“ skromny, cichy i ubogi parobek Antek zwycięża w miłości bogatego, butnego i zarozumiałego Janka i zdobywa umiłowaną Haneczkę, córkę wójta, bo ona „ma dobre serce“, a Janek jest zły. „Mój przyjaciel“, to typ podinteli-

genta śląskiego, pokrzywdzonego przez los, marzyciela i niedołęgi, który nawet nad Bałtyk nie potrafi bez wielu przygód zajechać. (Właściwie niewiedomo, do jakiej klasy społecznej go zaliczyć, bo gwarą mówi, kocha się w wieśniacze itp., ale nad morze przyjechawszy, woła: „thalassa, thalassa“! (sic!)).

Trochę tu oprócz sentymentu lekkiej ironji i humoru. W „Pokrzywdzonym sercu“ mały Janek z litości smaruje maścią rany Jezusa ukrzyżowanego w kościele w Wielki piątek i zato spotyka go krzywda. Stary Strządała wyrzuca go brutalnie z kościoła. W „Śniegu na słońcu“ żołnierz Ślązak („ja“, czyli Morcinek) gdzieś na froncie wschodnim cudem uratował się od rozstrzelania przez kozaków, którzy w jego miejsce ubili z zemsty swego brutalnego oficera.

Kapitałne są „Długie nogi“ Rudolfa Kukucza z Karwiny, bohaterskiego egzornika, żołnierza polskiego w dniach przewrotu na Śląsku, który wysadza most wraz z nadjeżdżającą czeską pancerką. Rudek ten, to nieodrodny brat legunów i orląt lwowskich. Humor w tej noweli szczerzoty. Takimże bohaterem jest Cwiekała, dokonujący wspaniałego wywiadu. Jużto żołnierskie typy bardzo się Morcinkowi udały. W „Nocy listopadowej“, nieco rozwlekłej i rozmazanej, porucznik Zaręba z Cieszyna romansuje platonicznie przez telefon z telefonistką Maniutką z Krakowa, słuchaczką uniwersytetu. Rozbudza w nim ona polskiego ducha czytaniem poezji i swemi teorjami. Ten śliczny romans (pewno wspomnienia wojenne autora) kończy się i radośnie i smutno zarazem. Cieszyn odzyskuje wolność, zajmują go polskie wojska, ale Zaręba dowiaduje się, że jego Maniutka ukochana umarła na suchoty w szpitalu w Krakowie. Te nowele wojenne bardzo przypominają swym rzewnym polskim sentymentalizmem, czy brawurą i humorem bohaterów, nowele

Małaczewskiego w „Koniu na wzgórzu“. „Zgaszony płomyk“, to historia smętnego i niedołęznego, marzycielskiego młodego górnika, Zeflika: tęsknił on za ojcem, zasypianym w kopalni, wyobrażając go sobie jako najpiękniejszego z ludzi. Ojca odnaleziono po 15 latach — ale był to zasuszony, brzydki trup, którego widok zgasił w marzycielskim sercu syna „jasny płomyk“. „Uśmiech z za płotu“, to Wanda, córka inżyniera, poczciwe dobre serce dziewczynki, darzącej uśmiechem i dobrem słowem pogardzanego przez wszystkich garbusa Jonka. Jonek zbuntowany przez górników podczas strajku, gotów był zatopić hawiernię powstrzymaniem maszyny, którą obsługiwał, lecz wstrzymał go od tego czynu uśmiech Wandy i myśl, że jej ojca zatopiliby przecież także. Sentyment zgłuszył tu społeczną solidarność. Uczucie jednostkowe zwyciężyło. Kończy zbiorek stary chłop Paździora, rzucający się pod koła lokomotywy, aby zabronić jej przejazdu przez jego „świętą ziemczkę“, o co walczył napróżno, narażając się na więzienie.

Ot, cała galerja Morcinkowych ludzi, starych, pokrzywdzonych, uciśnionych, cierpiących i walczących, litościwych i mściwych, górników, chłopów i żołnierzy śląskich. Ich serce jest treścią tej książki. Z niego płynie dobroć, radość, zemsta, gniew i oburzenie. Wreszcie i zabobon i konserwatyzm (wójt Szebesta ze swemi czarownicami, Paździora, wojujący z koleją, Szeruda, walczący z „głupią maszyną“).

To serce — nasuwa się refleksja — z jednej strony każe walczyć o polskość i o swoje „ja“ — górnikowi śląskiemu z Czechem czy Niemcem — ale to samo serce, czy nie jest czasem także powodem klęski w tej walce?

„Pierony“ śląskie łączą się chętnie z macierzą polską w dniach przewrotu. stając w szeregach polskich — ich serce jest polskie, mimo czeskiego akcentu i

wyrazów w mowie. Tak przynajmniej mówi „Serce za tamą“, nie pozbawione niewątpliwie i podświadomej tendencji — że tak powinno być...

Niewiadomo, jakim torem pójdzie twórczość Morcinka. Wykazuje on i zamiłowanie do wystylizowanych literackich nowel, jak „Ondraszkowe ostatki“, w której zbójnik śląski ginie tragiczną śmiercią z ręki zdradzieckiego przyjaciela. Ten śląski Ondraszek to podhalański i zarazem tetmajerowski Janosik. Ondraszek Morcinka wydaje się odbiciem echem Janosika ze „Skalnego Podhala“. W każdym razie jest on prawdziwszy, bardziej ludowy i śląski, aniżeli mdły i rozdwojony w sobie Ondraszek Szebesta Szczuckiej.

Ruch regionalistyczny dla kultury polskiej na Śląsku i dla literatury polskiej może być w skutkach swych błogosławiony. Na Śląsku przyczyni się niewątpliwie do wzmocnienia kultury rodzimej i obudzenia ducha narodowego. Jego znaczenie jest zatem tutaj głównie społeczne i narodowe.

Śląsk może mieć dla literatów-regionalistów trzy wielkie atrakcje. Bogatą i bardzo odmienną od polskiej przeszłości — stąd winna się nim zająć powieść historyczna. Wysokie uprzemysłowienie, idące w parze ze wzrostem kapitalizmu i wyzyskiem robotnika, wielkie zagłębia węglowe — życie górników, ich dola i niedola — oto tematy dla powieści społecznej.

Wreszcie piękna przyroda cieszyńskiego Śląska, Beskidy śląskie, z mało spopularyzowanym w Polsce typem wieśniaka i górala śląskiego — oto tematy dla powieści obyczajowej.

Szczególnie powieść społeczna prosi się o uwzględnienie wśród poczyną literackich. Żaden z dotychczasowych pisarzy, piszących o Śląsku, ani Gruszecki, ani Szczucka, ani Morcinek, ani autorzy gór-

nośląskich powieści nie uderzyli w strunę walki o pracę i płacę górnika.

Ślązaków poznajemy narazie od strony ich drobnych kłopotów życiowych i ich patriotyzmu lokalnego i wreszcie od strony ich serca. Życie w kopalni w całej grozie i męce jeszcze się nam nie ukazało w całej pełni. To tylko ułamki jego. Gruszecki naturalista i Morcinek prawie idealista łączą się z sobą, opisując tylko drobne momenty prywatnego, rodzinnego życia górników. Prawie że nie widzimy ich w gromadzie społecznej. Nie mamy dotąd obrazu ich nowoczesnej walki o byt. Kapitał i praca — i nieodzowny spór między nimi dopiero może znajdą swego beletrystę.

Společne tło walki i nowoczesne zmagania się najmocniej chyba dokonują się w oczach naszych na Śląsku Górnym. Katowice, Królewska Huta i t. d. — oto prawie że nietknięte stopą polskiego beletrysty tereny akcji powieści śląskiej z życia wielkiego przemysłu i wielkiej męki górnika i robotnika. Oto świat regionalny, a przecież kosmopolityczny — wielki świat, w przeciwieństwie do zaścianka karwińskiego, gdzie jeszcze pierwotne stosunki chronią pierwotne dusze przed nowoczesnym kryzysem zwątpienia, rozpacz i zatraty serca. Pora na Górny Śląsk, na czarne otchłanie tamtejszych kopalni i fabryk. Czekamy na nowego regionalistę.

RECENZJE.

LEGNICKIE POLE.

(Nowa powieść o Śląsku Zofji Kossak-Szczuckiej.)

Okres panowania dwóch Henryków śląskich: Henryka Brodatego i Henryka Pobożnego, którzy skupili w swem ręku obok Śląska większą część dzielnic Polski, przedewszystkiem zaś ziemię Krakowską — pierwsza połowa XIII. w. — to czasy, o których dopiero niedawno wydała historia po starannych badaniach sąd jasny i słuszny. Przedwcześnie zmarły, znakomity historyk polski, St. Zachorowski, w pracy swej pod tyt. „Wiek XIII. i okres Łokietka“ rehabilituje t. zw. okres dzielnicowy Polski, wydobywając niedoceniane dotychczas, nieprzeciętne jednostki i wybitne indywidualności wśród dzielnicowych książąt, władających od czasu testamentu Bolesława Krzywoustego kolejno Polską.

Do takich najwybitniejszych postaci w dziejach dzielnicowych Polski należą Piastowscy książęta śląscy: Henryk Brodaty i Henryk Pobożny. Henryk Brodaty

skupił pod swemi rządami duże terytorja ówczesnej Polski, starając się je nie tylko powiększyć, ale i zjednoczyć ściślej ze sobą. Ta rozumna dążność księcia uwidacznia się zarówno w tytułach, jakie nosił: „dux Cracoviae et Silesiae, dux totius Poloniae“ — jak i w zacieraniu przy podziałach rodzinnych — granic dzielnicowych. Stykający się często z kulturą Zachodu i obznajomiony z nią był Henryk Brodaty władcą o szerszych widnokreślach. Dzielnice swoje, a zwłaszcza najbliższą sobie — Śląsk, starał się podnieść i zagospodarować. Mądrymi środkami dokonał tego, że w chwili, gdy umierał, Śląsk był krajem bogatym i zasobnym. Dla podniesienia gospodarczego kraju przeszczepiał Henryk na teren polski zdobycze kulturalne Zachodu i w tym też tylko celu: gospodarczych korzyści dla kraju, sprowadzał nieraz, jako najbliższych sobie, Niemców — czy to jako rycerzy, czy zakonników, czy wreszcie jako osadników. Mylny jest jednak pogląd, jaki tendencyjnie głoszą historycy niemiec-

cy, że już Henryk Brodaty otworzył na oścież wrota kolonizacji niemieckiej. Słusznie natomiast stwierdza dr. Zachorowski w swej pracy, że społeczeństwo ówczesne na Śląsku było nawskroś polskie. Żywioł niemiecki nie opanował jeszcze wtedy kulturalnie ani dworów książęcych, ani społeczeństwa. Społeczeństwo było polskie — od dołu do szczytów, nie wyłączając szlachty czy duchowieństwa, które miały poczucie głębokiej łączności z innymi dzielnicami Polski. Żywioł niemiecki stanowił jeszcze narazie, jakby wyspy na ogromnym morzu polskości, czy w formie rycerstwa wśród drużyny książęcej, które w wiekach średnich miało często charakter międzynarodowy, czy w nielicznych klasztorach niemieckich, które zamknięte klauzulą, nie miały tak groźnego wpływu, czy wreszcie — co miało stać się najgroźniejsze — w formie przenikania żywiołu niemieckiego do rolnictwa, handlu i przemysłu, co narazie przynosiło tylko gospodarcze korzyści. Groźne stało się to dopiero w skutkach po wielkiej, niespodziewanej katastrofie dziejowej, po napadzie Mongołów i klęsce pod Lignicą, kiedy osłabł, rozprószył się, czy uciekał w zdemoralizowaniu polski żywioł miejscowy i kiedy nie stało mądrych książąt. Poczucie łączności między Śląskiem a resztą Polski było w tych czasach bardzo silne i głębokie; obaj Henrykowie, a zwłaszcza Henryk Brodaty mieszały się żywo do spraw innych dzielnic, załatwiali sprawy rodzinne małoletnich książąt polskich, przyjmowali opiekę nad nimi. O przekazaniu takiego nienaruszonego państwa swemu synowi Henrykowi Pobożnemu, o ugruntowaniu powagi i wpływu swej dynastji, a zarazem państwa, marzył Henryk Brodaty. Przyświecała mu też — daleka, niedosięga — śmiała myśl o koronacji, o koronie polskiej, by ziścić czyn Bolesławów: Chrobrego i Śmiałego.

Trudno wydać historykowi tak dokładny i ścisły sąd o Henryku Pobożnym; rządził za krótko, bo tylko 3 lata, zginął w bitwie pod Lignicą, a śmierć ta opromieniła głowę jego aureolą. Jak wskazywały jednak pierwsze kroki, — szedł w ślady ojca, skupiając wokół siebie i jednocząc, jakie mógł, ziemie polskie. Rozwiała się więc bezpowrotnie pokutująca wersja o zniemczających książętach śląskich z tego czasu, a bitwa pod Lignicą pozostanie, jak ją dotychczas pojmano w historii, kartą niezapomnianego, tragicznego bohaterstwa polskiego — w obronie cywilizacji Zachodu. Ludzie, którzy tworzyli wówczas historję — dwaj książęta śląscy — to postacie nieprzeciętne, godne utworów wielkich i natchnionych, choćby nawet owianych idealizmem i mistycyzmem, do jakiego uprawiała epoka i dzieje.

Ten okres historyczny, najchlubniejszą kartę w dziejach Śląska i Polski zarazem — obrała p. Z. Kossak Szczucka — za temat swej powieści „Legnickie pole“.

Powieść „Legnickie Pole“ — obejmuje historycznie bezpośredni okres przed wielkim najazdem tatarskim w roku 1241, ostatni rok rządów Henryka Brodatego i krótkie lata panowania Henryka Pobożnego. Nie ogranicza się jednak autorka do odmalowania środowiska znanego nam i bliskiego, choć zakrytego zasłoną przeszłości. Przedstawia starcie się dwu potęg, dwóch światopoglądów, zachodniego: chrześcijańskiego i wschodniego; obok świata zachodniego, reprezentowanego tu przez Śląsk i jego książąt — wprowadza potężny i tajemniczy świat Wschodu: świat mongolski i chiński, który swym doskonałym systemem organizacyjnym i swą wysoką kulturą — oddziałał na zorganizowanie się państwa mongolskiego.

Jest to moment nowy w naszej powieści historycznej z czasu najazdów mongolskich. Nie silono się dotąd wcale

na przedstawienie psychiki tego nowego świata, który miał w sobie tyle potęgi, że zachwiał posadami zachodu. Mówiąc o Mongołach — powtarzano bez końca pewne utarte wyrażenia o ich wyglądzie, czy o ziejącej ogniem i straszliwymi wzywami olbrzymiej głowie, która budziła postrach w szeregach chrześcijańskich. Takie szablonowe przedstawienie Mongołów spotykamy także m. in. w powieściach u Kraszewskiego, odtwarzających te czasy.

P. Kossak Szczucka postąpiła zupełnie inaczej. Wyposażona w bogatą erudycję historyczną, którą przytacza prof. Sinko w recenzji o „Legnickiem Polu“ (Dodatek Literacko-Naukowy „Il. Kurj. Codz.“ z 6. X.) — odtworzyła autorka b. ciekawie i interesująco środowisko mongolskie, potężną stolicę chanów, Karakorum, potęgę organizacji wojska mongolskiego — zdumiewającą na owe czasy, nowoczesną niemal. Podziwiamy swobodę artystyczną, z jaką p. Kossak Szczucka porusza się w tym tajemniczym świecie. Erudycję uzupełnia bujna fantazja twórcza i oto wstają przed nami plastyczne obrazy, wspaniała, życiem drgająca wizja mongolskiego Wschodu, niesłychanie plastyczna i wyrazista. W tej części książki znajdujemy wspaniałe ustępy — jak opis stolicy Karakorum, palarni chińskiej, charakterystykę Mongołów, niesamowity obraz ich potężnego wojska.

Obrazy te wywołują przy lekturze ogromne wrażenie, pociągają i interesują — może zwłaszcza dlatego, że problem Wschodu jest dziś nam tak bliski i tak groźny.

W stolicy zdobywczego Dżingishana, zwanego Niezlomnym, który zawojował ziemię — mają swój przybytek wszystkie wyznania. Mongołowie bowiem, obojętni religijnie, nie uznają żadnego z nich. Wznoszą się świątynie różnego rodzaju: „białe, kruche i prześliczne minarety mużmańskie — o smukłych kształtach,

kopulaste, mroczne cerkwie nestorjańskie, świątynie buddyjskie, zdala podobne do szyszek, z racji nadmiernej ilości posągów.“

Niejednolite jest również budownictwo w stolicy potężnego Chana, ponieważ Mongołowie nie mieli żadnej swojej architektury i posługiwali się architekturą ludów, przez siebie podbitych — przeważnie Chińczyków.

Arcydziełem budownictwa, a zarazem arcydziełem literackim pod względem opisu — jest pałac wielkiego Chana, świeżo wzniesiony przez najprzedniejszych budowniczych chińskich — olbrzymi, fantastyczną kondygnacją dachów wznoszący się wysoko w górę. Dachy te pokryte były porcelanową dachówką, której jasna zieleń w pustynnym kraju przywodziła na pamięć dalekie i czarowne wiosny. Z narożników wspinały się w niebo wielkie, szczerozłote smoki. Ściany wyłożone były zewnątrz rubinową ląką, od wewnątrz złotą. W odblasku jej wszystko, nawet twarze ludzkie, gorzało niby w topieli złotej. Brzegi dachów obwieszane były srebrną frendzlą dzwoneczków, podzwaniających szklanie za każdym powiewem. Cały pałac zdawał się snem czarodziejskim, zielono-rubinowo-złotym, przepojonym nieustanną muzyką, jak harfa, a lekkim jak tchnienie. Za pałacem kunsztowny ogród chiński, misterny i powystrzygany dziwacznie, stanowił miejsce przechadzek żon W. Chana. Otwarta, przecudnej roboty brama, ukazywała szerokie, złote schody, na szczycie których Wielki Chan zasiadał w dnie przyjąć.

Kontrast z tem wspaniałem otoczeniem stanowi życie Mongołów nędzne i ubogie — zarówno każdego zwykłego człowieka, jak i samego wielkiego Chana. Zdobywcy łupów i bogactw wszelkiego rodzaju mają ich aż nadto; kupy złota leżą beżużytecznie w stolicy Mongolji i nikt go już brać nie chce. Wśród tego, nagromadzonego beżużytecznie bo-

gactwa, walęsają się beczynni — synowie stepu, którzy ukochali pęd naprzód i niszczenie wszystkiego, na co natrafją po drodze. Na tem tle, zrozumiała jest, trafna i przekonywująca charakterystyka duszy mongolskiej, jaką daje autorka: „Kiedy dawni nędzarze, grabieżcy pustynni byli już panami świata, ten stan rzeczy rozkolebał niezmiernie ich dumę, rozpałił żarłoczną chciwość, lecz nie dał radości życia. Przeciwnie może osepili. Świetne? laką pozłocistą inkrustowane pałace wznosiły się wzduż ulic, nieprzeliczone stada koni pasły się w stepie, arby mieszkalne stały za miastem w oczekiwaniu wędrowek, oni zaś znudzeni, zgaśli, chorzy tęsknotą przestrzeni, snuli się kawkadami bez celu, albo leżeli beczynnie.“ W charakterystyce Mongołów jest tyle prawdy psychicznej, że czujemy już ten niepoohamowany niczem dziki pochód, kiedy przestaną działać nałożone hamulce, kiedy otworzy się droga naprzód — wszystko jedno dokąd — na Wschód czy na Zachód. Kwestja ta nie jest dla nas — czytelników, obojętna — wszak na Zachodzie leży Śląsk i Legnickie Pole; z ciekawia nas fakt, że od intrygi wenecko-chińskiej zależał kierunek pochodzenia mongolskiego. Aż tu, do stolicy Mongolji — Karakorum, zawędrował poseł ambitnej Rzeczypospolitej weneckiej, aby w nienawiści do drugiej republiki włoskiej, — do Genui — nakłonić Mongołów do najazdu na Węgry, zamknąć przez to Genui drogi handlowe do M. Czarnego, a tem samem unicestwić dumną rywalkę. — Zabiegi Wenecjanina popiera mądry, a niezbadany mandaryn chiński, Czang-Fu-Tse, chcąc odwrócić uwagę Mongołów od Wschodu, od Chin, których nieprzebrane bogactwa nęciły Chana.

Autorka wprowadza do powieści również reprezentantów tajemniczego świata chińskiego, w osobie żywej chodzącej mądrości i wiedzy — mandaryna Czang-Fu-Tse i jego sekretarza Pen-ta-

san, którego całe życie pochłonięte jest spisywaniem wiadomości, potrzebnych dla pana.

Niesamowite wrażenie wywołują sztywne postaci Chińczyków, o zagadkowym, uprzejmym uśmiechu na twarzy, knujące w duszy najrzęczniejsze intrygi i najpotworniejsze zamysły, wiecznie nieprzeniknione i niezbadane. Jak potężny, wszechmogący duch wygląda mandaryn, kiedy w tajemniczej palarni opium, — które rozjaśnia umysły palących, „czyniąc je lekkimi, przenikliwymi, a widzącymi daleko“ — układa plan zwrócenia uwagi Mongołów na Zachód. Straszliwym wyrokiem zagłady, dla niespodziewających się niczego narodów Europy — brzmia wśród mroku i dymu palarni, wśród światła „czerwonych papierowych lamp, podobnych do rubinowych oczu, stojących u wejścia smoków ze złotego bronzu“ — słowa mandaryna: „Zwyciężeni będą rządzić zwycięzcami, albowiem rozum rządzi siłą.“

Chytry rozum — zwyciężonych Chińczyków popiera intrygę wenecką i pchnie Mongołów na Zachód. Wielki Chan żąda jedynie od Mandaryna, by mu dostarczył potrzebnych wiadomości o wszelkich brodach na rzekach, przejściach dogodnych i drogach. Cała konstrukcja wyjaśnienia przyczyny pierwszego najazdu Mongołów na Polskę — czy przez autorkę nadzwyczaj konsekwentnie przeprowadzona. Nie jest ona zresztą wysnuta z fantazji; faktem są intrygi weneckie, prowadzone w Karakorum dla zniszczenia Genui. Jest jednak w przedstawieniu tej intrygi coś więcej, ponad wierność historyczną: jest misterne jej przeprowadzenie i przedziwne psychologiczne umotywowanie. Słusznie zauważył prof. Sinko, że „autorka umie te wszystkie przyczyny tak spleść i wywieść z dusz ludzkich, że nie czujemy żadnego pouczenia, lecz sami domy-

ślamy się wszystkiego, jakby z podsłuchanych rozmów“.

Wizja świata mongolskiego i konstrukcja przyczynowa napadu Mongołów na Polskę — to jedne z najlepszych stron ciekawej powieści. Świat mongolski jest zły, okrutny, ale w ujęciu autorki wielki, potężny, artystycznie doskonale przedstawiony. Nie dziwimy się już niczemu, tak zasugerowani jesteśmy potęgą tego tajemniczego mongolsko-chińskiego środowiska: ani podróży, pozornie handlowej, w rzeczywistości szpiegowskiej chińskiego Mandaryna, Czang-Fu-Tse z dalekiej Azji aż do Wrocławia, ani temu, że po kilku latach — podczas najazdu — znajdziemy wśród głębokich puszczy śląskich, w chacie chłopskiej, wśród przepychu chińskich opon, wśród tajemniczego światła — tego samego mandaryna.

Pójdą więc Mongołowie na Zachód, z tą straszliwą żywiołową potęgą, którą w drgającym plastyką, życiem, ruchem, a równocześnie jakby w straszliwą, nieludzką wizję, zmienionym opisie — tak maluje autorka:

„Wojska, nieskrępowane żadnym gościńcem, szły ławą szeroką, wygiętą ku przodowi w kształt sierpa. W szeregach obowiązywało bezwzględne milczenie, przeto sunęły cicho niby duchy. Gdy ginęły za wzgórzami, żaden szmer nie zdradzał bliskości stu tysięcy ludzi; gdy wyrzucali się z poza nich, to niespodzianie, jak zjawy. Wojska te dzieliły się na „tumany“ po 10.000 ludzi, każdy tuman na dziesięć „hezarów“ po tysiąc, w hezarze było dziesięć ord po stu wojowników, dzielących się z kolei na dziesięć czambułów. Teraz, wznecając rudy tuman pyłu, ciągnęło stepem trzy razy po trzy tumany i jeden tuman osobny, stanowiący przyboczną straż starego wodza. I były te sto tysięcy zaledwie cząstką siły straszliwej, działającej niezawodnie, niby żelazna sprężyna katapulty, zwartej, nieodpartej. Żółte, szpetne twarze jeźdźców

wyrażały doskonały spokój istot, idących ku swemu przeznaczeniu, spełniających to, co było najistotniejszym przyrodzeniem ich i prawem. Na żadnej twarzy nie było uśmiechu — nie zabrzmiał okrzyk lub zaśpiew. Deptali suchą błoń stepu nakształt żywiołu. Ciemno-bure pancerze ze skóry prażonej, pokryte dla ochrony przed wilgocią laką chińską, upodobniały się ich barwą do tychże stepów rodzimych, do skał i szarańczy. Nagłą drapieżnością uśmiechu wybliskiwała ze skórzanej pochwy krzywa, lekka szabla z najprzedniejszej stali. Od nogi ku górze wykwiatała spisa, dwa łuki kołysały się miękko na plecach. Jeden lżejszy, do szybkiego strzału z konia w biegu, drugi ciężki, do niezawodnej obrony pieszego z za szańcu leżącego konia — towarzysza. Trzy kołczany, jeden z boku, dwa przy siodle, zawierały trzy rodzaje strzał w przepisowej ilości: wielkie, uskrzydłone pierzem orłów himalajskich, tak ciężkie i ostre, że siła ich rzutu przebija tęgie pancerze; lżejsze, z piórami sokołów, przeciw ludziom zbroji nie noszącym; i najlżejsze, mające na celu jeno oszołomić przeciwnika, pokryć go rojem niby much zjadliwie brzęczących, oslepić i przerazić.

Jak wygląda Zachód, jego reprezentantka w powieści, Polska i jej Śląsk — w porównaniu z potężnym, wielkim światem mongolskim?

Pierwsze przedstawienia i porównania są czysto zewnętrzne. Kossak Szczucka wprowadziła kilka momentów — z przyrody polskiej, momentów bardzo pięknych, choć lekko tylko naszkicowanych. Tam, w dalekiej Mongolji krajobraz suchej, żółto-szarej pustyni, gdzie marzy się tylko o wonnych wiosnach, gdzie ich dalekiem odbiciem — są przepyszne, — ale sztuczne barwy pałaców, niema natomiast krasy żywej przyrody. Tu, w Polsce — krajobraz zupełnie inny: dwa różne światy pod względem krajobrazowym. Ozłociła Kossak Szczucka

krajobraz polski blaskami cudownej zawsze u nas jesieni. Tę porę roku maluje autorka najchętniej i to kilkakrotnie. Pociąga ją pogodna złocistość i kolorowość jesieni w Polsce: „puszcze płonące czerwienią i złotem“, a o jesieni na Śląsku tak pięknie mówi: „Mimo poprzednich dni zimna, ciepło wróciło wraz z wiatrem uparte. Powietrze pełne było zapachu warzyw i więdnących ziół. Jesień śląska — tak cudna, że już przed wiekiem Arab uczony, ciągnący tędy po jantary, nazwał ją piątą porą roku, najcudowniejszą w świecie — trwała, choć dogorywająca i trwała, jak gdyby nie mogąc rozstać się z ziemią.“

Inaczej też zupełnie, niż świat mongolski — przedstawia się od zewnątrz, widziana oczyma mandaryna — w krótkim, treściwym opisie — kraina, na której podbój mieli wyruszyć Mongołowie. Kontrast zewnętrzny jest bardzo silny i trafnie użyła go autorka. W pięknym, choć krótkim jej przedstawieniu, Polska owych czasów, wydaje się oku — jak jakiś pierwotny obrazek o barwach łagodnych, o nastroju sielskim, o zabarwieniu idyllicznym, sielankowym. — Kraj to, w ujęciu Kossak Szczuckiej, wówczas swobodny i beztroski, kraj rolniczy — kraj urodzajny, radosny, miły dla oka. Ludzie chrześcijanie, ale zarazem skłonni jeszcze do wierzeń pogańskich, życzliwi i przyjaźni dla wszystkich. „Podobnie, jak dziadowie ich i pradziadowie żyli w przepaścistych wnękach puszczy, w zgodzie z Mocami przyrody, chwając Boga chrześcijańskiego — słońce, księżyc i wszystkie cztery żywioły, zasłonięci od wiatrów północnych i wszelkiej napaści.“

Wszystko to bardzo piękne, ale tem większy lęk nas ogarnia, jak oprze się ten kraj potędze mongolskiej. Autorka może świadomie użyła tego obrazu, aby spotęgować nasze zainteresowanie, aby podnieść tem większe znaczeniu odporu, jakiego jednak doznała nawała mongolska

na Śląsku — od tego samego, cichego, nie przeczuwającego niebezpieczeństw ludu.

Jakaż to siła, jaka potęga ze strony Polski potrafiła tego dokonać? Doszukać się jej pragniemy w powieści i skierujemy się razem z autorką na Śląsk, gdzie na „Legnickiem Polu“ — nastąpiło rozstrzygające starcie.

Przy przedstawieniu Śląska użyła Kossak Szczucka innej metody, niż przy malowaniu świata mongolskiego. Tam dała syntezę, jedną potężną wizję, przez swoją odległość i perspektywę dziejową i przestrzenną — spotężniała, wyższą chyba od rzeczywistości. Przy przedstawieniu Śląska roztoczyła natomiast cały kalejdoskop drobnych, przeważnie realistycznie i drobiazgowo, dokładnie malowanych obrazków. Zarówno sumienne, drobiazgowo zapewne studja historyczne i folklorystyczne, jak to, że autorka tkwi w tej samej rzeczywistości, w tem samym środowisku, którego przeszłość stara się odtworzyć, złożyły się na obraz drgający życiem, realny, bardzo ciekawy i interesujący, lecz zarazem, o ile mniej potężny od świata mongolskiego, o ile bardziej ludzki, rzadko wznoszący się ponad rzeczywistość. Legendarni bohaterowie zstępują przeważnie ze swoich piedestałów, przybliżają się ku nam, stają się przedewszystkiem ludźmi.

Zapomnijmy na chwilę, jak chce autorka, że to postaci, które odegrać mają wybitną rolę dziejową. Zapomnijmy, że na tych ludzi, niespodziewających się niczego i tak do odparcia potężnego najazdu wschodniego — w przedstawieniu autorki nieprzygotowanych — spadnie straszna katastrofa. Zmierzymy ich miarą ludzką, przyjrzymy się ich charakterom, ich życiu, ich otoczeniu; ich obyczajom. Znajdziemy tu bardzo ciekawe i interesujące obrazy. Wchodzimy w Śląsk średniowieczny, w okres kulturalny, który stał się tematem „Żywych kamieni“ Be-

renta. W odtworzeniu tego średniowiecznego Śląska są w powieści sceny często przepyszne, jak słusznie zauważono, jedynie z Berentowskiemi mogące się porównać. Wprowadza autorka kilka środowisk: śląski dwór książęcy z jego życiem i postaciami, doń należącymi, które odgrywają w kraju rolę najważniejszą, odpowiedzialną, lud Śląska, z jego obyczajami i wierzeniami i wreszcie trzeci czynnik: świat obcy, przeważnie niemiecki, wciskający się w życie miejscowe. Tłem dla postaci i ich życia i czynów: dwór książęcy we Wrocławiu, klasztor w Trzebnicy, rynek wrocławski, albo też nieprzebyte puszcze śląskie i rzadko wśród nich rozrzucone osiedla i gospody. Ludu śląskiego nie poznajemy właściwie — mimo wszystko dokładnie. Najwięcej stosunkowo dowiadujemy się o jego wierzeniach, o zabobnach i przesądach, o przyzwyczajeniu do dawnych jeszcze kultów pogańskich, o chrześcijaństwie jego jeszcze powierzchownem. Doskonały typ księdza miejscowego, pochodzącego z tego ludu, świadczy o tem bardzo wymownie. Typ to zresztą — jako człowiek — bardzo dodatni i sympatyczny, doskonały też jako kreacja literacka. Jest to pleban miejscowy Pietrek, syn Jarostów, z zawodu bartnik, człowiek dobry i prosty, który odprawia Mszę św. z przejęciem, choć nie rozumie po łacinie. Upaja się jednak nieznanymi trudnymi słowami, uważając je za zaklęcia, przywołujące Boga, pilnie wykonuje przykazania i wpływa na ludzi w tym kierunku, ale zarazem jeszcze skrupulatniej przestrzega dawnych zwyczajów pogańskich. Poza tem lud stanowi raczej tło dekoracyjne. Przesunie się od czasu do czasu jakaś postać: wróża, wójta, gromady Konrada, lecz mało w tych postaciach samodzielnych wartości i samodzielnego życia. Raz jedynie widzimy obejście wójta Spicymira, lecz poznajemy je od zewnątrz: jak wyglądało, jak było

zbudowane, jak są ubrani jego mieszkańcy w chwili uroczystej — zrękowin.

Pragnęlibyśmy wejść do tej chaty, przypatrzeć się życiu jej ludzi, życiu codziennemu i odświętnemu, w małych i wielkich sprawach. Tych obrazów nam jednak autorka pokazała bardzo niewiele. Niewiele zachwycić tu można tego świata, odwiecznie polskiego, elementu czysto słowiańskiego, który tak pięknie odmalował np. Kraszewski w „Starej Baśni“. I dlatego może w konstrukcji autorki ten lud tak niepokazne ma miejsce, tak jest ubogi, ciemny, szary i skromny, zwłaszcza w porównaniu z elementem obcym.

Przepyszne są natomiast obrazy z dworu książęcego i z życia miejskiego we Wrocławiu. Tętnią prawdą i wyrazistością, a — co najważniejsze — życiem. Zgromadziła tu Kossak Szczucka wiele ciekawych rysów obyczajowych, wniknęła w psychologię omawianych postaci, czyniąc je nie tylko historycznymi bohaterami, lecz ludźmi przede wszystkim — o ludzkich uczuciach, zmartwieniach, kłopotach, troskach i ambicjach, podległych ludzkim słabościom. Nie umniejsza jednak przez to autorka zupełnie wartości historycznej bohaterów, zwłaszcza, że nieraz, obok momentu psychologicznego, obok wnikania po ludzku w dusze, odnajdzie w nich momenty wielkie, doniosłe, momenty działalności politycznej, czy kulturalnej.

Na dworze książęcym ściera się kilka światopoglądów, istnieje równocześnie kilka środowisk. Henryk Brodaty i syn jego młodszy, Henryk Pobożny — to przedstawiciele sumiennej, pracowitej, pokojowej pracy dla dobra kraju. Ojciec ma wielkie zamiary — scalenia dziedziny Piastowej i koronacji, a potem pozostawienia tej potęgi synowi; oni obaj są przedstawicielami kierunku, by „z Zachodu rozum brać“ i w tym celu sprowadzają Niemców, aby kraj podnieść gospodarczo. Zbyt przesadny jednak wydaje się

u Henryka Pobożnego podziw i uwielbienie dla tego wszystkiego, co idzie z Zachodu, zbyt ostry sąd wydaje o swoim kraju, on, jego książę. „My ostatni, najmłodszy. Trza się nam uczyć od nich. Biada, którzy ostaną z tyłu. Jakoby panny głupie, co oleju zabaczyły.“ Słuszne jest oczywiście zdanie Henryka o potrzebie współpracy z Zachodem, ale charakterystyczne, że nie podkreśla on w tej pracy cywilizacyjnej roli, czy konieczności elementu rodzimego. Oparcie się na element rodzimym, na ludzie śląskim, a zarazem kierunek, zwracający się przeciw ojcu i bratu, reprezentuje brat starszy Henryka, pierworodny syn Brodatego, Konrad, zwany Kędzierzawym. Jest to postać znana już twórczości śląskiej, przedewszystkiem z dramatu J. Nikodema Jaronia: „Konrad Kędzierzawy“. W dramacie Jaronia, Konrad, to przedstawiciel oparcia się o lud i narodowość, bohater wyidealizowany. Kossak Szczucka ujęła tę postać psychologicznie prawdziwiej i historycznie ściślej. Nie uczyniła Konrada bohaterem walki o narodowość, o polskość, były to bowiem problemy — nie mające w średniowieczu tego znaczenia, co dzisiaj. Konrad jest tu reprezentantem poczucia odrębności plemiennej: poczucia odrębności świata słowiańskiego od germańskiego. Ukochał wszystko, co swojskie, rodzime, stąd też pochodzi, — może za silna, jak na księcia i nieprawdopodobna już w tych czasach, jego miłość do starych obrzędów i zwyczajów pogańskich. Konrad nie ma takiego podziwu dla Zachodu, jaki występuje u idealisty i marzyciela Henryka. Ostudza nawet zapal brata, rzuca w rozmowie z Henrykiem, który wierzy, że narody Zachodu idą ku Królestwu Bożemu na ziemi i że trzeba z nimi razem iść, uwagę bardzo i dziś trafną i niewątpliwie z dzisiejszych i wczorajszych doświadczeń współczesnych przez autorkę wysnutą: „nie o Królestwie Bożem myślą,

ale o tem, jakby drugiego za łeb snadniej wziąć. Ino krzepki się ostoi. Będziemy krzepcy, to sami do nas przyjdą prosić się ze swoim umem.“

Na tej podstawie rozpoczyna się walka dwóch kierunków i dwóch braci, w imię dwóch światopoglądów:

Henryka: „Bracia są wszyscy odkupieni przez Chrystusa Pana“

i Konrada: „Bracia są jeno ci ludzie, co na jednej ziemi wzrosli, jednym językiem gadają“.

Antyteza została przez autorkę zaznaczona bardzo silnie.

Idea Henryka, wzniosła w teorji, okazuje się tragiczną pomyłką w rzeczywistości, zwłaszcza w czasie bitwy pod Lignicą.

Z zasad Konrada wypływa nienawiść do obcych, którzy zalewają Śląsk, do Niemców. „Śląsko niech będzie raczej ubogie i ciemne, ale swoje“ — mówi. Uderza nas to zdanie, a zarazem sposób, w jaki Kossak Szczucka przedstawia realizowanie idei przez Konrada. Człowiek ten mówi rozumnie, czujemy to niewątpliwie, jest krytyczny — i słusznie — wobec obcych, idea jego jest wielka, on sam jednak nie ma w sobie wielkości. Jest bardzo często barbarzyńcą i w sposobie zachowania się w ciemnej, przesądnej wierze we wróżby. Lud, na którego czele staje do walki przeciw bratu i ojcu — to w powieści jakaś barbarzyńska, ciemna hołota, obdarci, nieświadomieni prostacy. Udział Konrada w walce rozstrzygającej niezbyt honorowy, śmierć niesławna, los tragiczny. Przykro uderza ten dysonans i zdeprecjonowanie elementu rodzimego. Zdarza się ono niejednokrotnie, za dużą też może rolę, znaczenie i wartość przypisuje Kossak Szczucka elementom obcym na książęcym dworze i w kraju w tym czasie.

W rozstrzygającej wojnę domową bitwie, ponosi klęskę element rodzimy; Konrad ginie. Lud śląski nie wywalczył sobie

takiego stanowiska, jakie się jemu, odwiecznemu mieszkańcowi tej ziemi należało. A tymczasem wielkimi krokami zbliża się na Zachód nawała mongolska; wieści o niej docierają do miast i osiedli, budząc wszędzie popłoch i przerażenie. Któż jej da odpór? Przyduszony, zlekceważony element ludowy — zdaje się niezdolny do tego. Pozostaje jako jedyne przeciwstawienie — zorganizowanej potędze mongolskiej — Henryk Pobożny — w oparciu o inne ziemie Zachodu. Ale cóż on sam reprezentuje? Nie jest w powieści — nieugiętym bohaterem — ani narodowym, ani religijnym. To nie człowiek czynu, lecz marzyciel, który karmi się fantazjami, a złudzeniami żyje. Żarliwość modlitewną, odziedziczoną po matce, łączy ze skłonnością do rojeń, „by rycerzem być błędnym, swobodnym, zabijać smoki i olbrzymów, a wreszcie, bronić chrześcijaństwa“.

To nie bohater, zdolny wykrzesać z siebie moc, jaka promieniuje w historii. Sam potrzebuje oparcia; chwilowo ludzimy się, że za Henrykiem stanie uwielbiany przez niego Zachód, — potęga cesarska i papieska. Złudzenia są oczywiście próżne. Nikt nie pośpieszy z pomocą. Henryk zostaje sam.

W przeciwstawieniu sobie dwóch światów, Zachodu i Wschodu — przewaga siły i potęgi jest w konstrukcji autorki po stronie mongolskiej. Tak wynika z konstrukcji powieści. Biedny jest Śląsk — rozproszkowany na tyle nieraz ze sobą niezgodnych środowisk, ciemny, barbarzyński, zalewany przez obcych — w porównaniu z zorganizowanym, wspólnym, stanowiącym potężną jedność — światem mongolskim. Odpór mogła dać pogaństwu albo potężna, pierwotna siła słowiańska, lud, który z zaciekłością bronić może swej ziemi, chat spokojnych i puszczy odwiecznych — albo też książkę w oparciu o obcy element, obce rycerstwo. Ani jeden, ani drugi czynnik —

nie reprezentuje w powieści w chwilach poprzedzających bitwę pod Legnicą — dostatecznej siły. Lud zdeorganizowany, pozbawiony swego wodza, Konrada, Henryk zawiedziony w swych złudzeniach, pozostawiony na łasce losu.

Jakież ostateczne rozstrzygnięcie problemu? Wbrew konstrukcji całości, w tej ciężkiej, decydującej chwili, urasta Henryk niespodzianie na wielkiego bohatera, lecz dopiero w momencie, gdy uznał słuszność idei brata, Konrada i ukorzył się przed nią. Zrozumienie roli i doniosłości Polski, która stanęła do obrony chrześcijaństwa, gdy inni w mysie dziury się pochowali, — rodzi zapal w księciu śląskim i poczucie konieczności — nawet śmierci, bo i ta będzie w tym wypadku chlubnym zwycięstwem ducha. Ta przemiana Henryka na wielkiego, świadomego bohatera chrześcijańsko-narodowego występuje dopiero w czasie samej bitwy; ustęp ten dla konstrukcji powieści i przeprowadzenia idei utworu konieczny, stanowi zarazem jedno z najpiękniejszych miejsc w całej powieści — ciekawy i wartościowy zwłaszcza przez wniknięcie w psychikę bohatera w decydującej chwili.

Poprzez czysto ludzki żal, żal za własnym życiem, poprzez ludzkie poczucie osamotnienia i lęku, rodzi się w Henryku dopiero na polu bitwy prawdziwy bohater i rycerz, który wie, o co walczy i w czyjem imieniu. Urasta w własnych oczach i powieści — on jedyny, najmłodszy, w swoim mniemaniu — napoły barbarzyński syn cywilizacji zachodniej — urasta też ziemia, która go wydała. Uświadamia sobie w ostatniej chwili, że walczy — za wiarę, w imieniu Polski, która się sama jedna za szczyt dla świata całego ostała.

Książka zamyka w następnym ustępie akord tragiczny, zapowiedź straszliwej klęski, obraz beznadziejny — śmierć Henryka — akord jakby nieskończony,

za pesymistyczny w stosunku do rzeczywistości historycznej i momentu wewnętrzznego bohaterstwa, zdobytego przez księcia w ostatniej godzinie.

Oczekujemy od autorki — epilogu dzieła, aby móc wyciągnąć z utworu logiczną syntezę, że materialnej, potężnej sile Wschodu przeciwstawiła się jednak i zwyciężyła moralnie mimo wszystko moc duchowa Zachodu, na którą zdobywa się w ostatniej chwili Henryk Pobożny, w imieniu Śląska i Polski, w obronie chrześcijaństwa.

II. Rocznik oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid Śląski“ w Cieszynie. Pod redakcją Dra Jana Galicza.

Drugi rocznik Beskidu przedstawia się daleko ciekawiej i bardziej interesująco. Przeważną część prac rocznika poprzedniego stanowiły elaboraty, znane już bardziej czytelnemu odłamowi społeczeństwa z innych publikacji. W przeciwieństwie do tego cykl artykułów ostatniego numeru mile uderza nas nowością i żywością treści, pewnego rodzaju zgrabnością w odsłonięciu nowych zakamarków naszych Beskidów, zasługujących na to podkreślenie i wyróżnienie ze względu na walory materialne i estetyczne. Rozmaitość artykułów i ich układ wpływają dodatnio na żywość lektury, którą pochłania się z zainteresowaniem, jednym tchem. Oko nie nuży się, bo tekst ilustruje aż 30 fotografii, przedstawiających bardziej charakterystyczne fragmenty naszych uroczych zakątków górskich, a wykonanych wyraźnie i poprawnie.

Rocznik rozpoczyna się wierszem Z. Lubertowicza p. t. „Las w Beskidach“. Znamy już autora z innych wierszy, poświęconych Beskidom, które stały się niejako punktem oparcia dla jego poetyckich wzlotów. Kilka jego sonetów drukowało już „Zaranie Śląskie“. Szkic histo-

ryczny Dr. Jana Kotasa, traktujący o szalasach i wyświetlający ściśle i jasno całą ich historję, zasługuje ze wszech miar na uwagę. Szerszy ogół publiczności nie zdawał sobie dotychczas poprostu sprawy z całego zagadnienia, o którym często czytało się w miejscowej prasie. Oparte na obszernym materiale dowodowym uwagi autora przyczynią się niewątpliwie do zrozumienia należytego sedna sprawy. Dr. K. Simm pisze o przyrodzie Beskidu Śląskiego. Autorowi chodziło o „nakreślenie ogólnego szkicu, aby zwrócić uwagę na piękny kąć Polski, gdzie zdala od zgiełku codziennego życia i niespokojnego nerwowego życia większych miast można znaleźć miłe chwile wytchnienia“. Chcę zauważyć, że przez swój artykuł, ujęty systematycznie i przejrzyście, zrobił znacznie więcej, że tak rozumnego laika-turystę, jak i przyrodnika-fachowca zachęcił do bezpośredniego zetknięcia się z przyrodą żywą, skierował jego uwagi na bogactwo i oryginalność flory i fauny Beskidu, przyczem zachęcił tego ostatniego przynajmniej do samodzielnych badań w tej dziedzinie i podzielenia się zebranymi spostrzeżeniami z czytelnikami rocznika. Ciekawy jest również artykuł p. insp. Karola Buzka o rudzie żelaznej w Beskidzie. Szerzej przedstawia autor historję przemysłu żelaznego w Ustroniu, który stanowił niegdyś jego centrum, natomiast krótko, ale treściwie w innych miejscowościach Śląska cieszyńskiego. Stwierdziwszy, iż zbocza Beskidu posiadają znaczne złoża rudy żelaznej ilastej, którą dawniej wytapiano, — zaznacza, iż o odrodzeniu przemysłu żelaznego nie może być mowy, chyba, że „umysł ludzki wynajdzie taki sposób wydobywania żelaza, że przetapianie i rud mało procentowych się opłaci“. Stożek doczekał swej pochwały w artykule Dr. Jana Galicza. Szczyt ten cieszy się specjalnymi przywilejami, pomiędzy innymi szczytami Beskidu, a to ze względu na walony, ja-

kie posiada. Specyficzna budowa nadaje charakterystycznego kształtu, fantastyczne zaś ukształtowanie, wystających ponad powierzchnię skał, tajemniczego uroku. Panorama górską, jaka roztacza się stąd, jest najpiękniejsza, a wygodne schronisko stanowi osłode dla spragnionego turysty. Jednym słowem — „na Stożka szczycie, Najmilej zawsze spływa ci życie“ i t. d. Groza i czar przeżytych chwil, doznanych wrażeń i emocyj — w czasie pierwszej narciarskiej wycieczki „Watry“ do Tatr — stanowią treść artykułu ks. Józefa Bergera. Prof. Milata, analizując w swojej pracy — dzieła mistrza Wałacha, — ujawnia w całej głębi jego talent, wskazując równocześnie na wrodzoną skromność, pracę żmudną i niezbyt różową pozycję materialną. Konkluduje: „Niedoceniany czasem, a jednak wartościowy ten talent zasługuje w całej pełni na to, aby społeczeństwo zajęło się nim gorliwiej, niż dotąd, pamiętając, że to nie tylko chluba Śląska, ale chluba całej Polski.“

Rocznik zamyka sprawozdanie Zarządu za rok 1930, które wskazuje na poszczególne etapy chlubnej pracy. Rocznik — tak ze względu na swą treść, jak i formę — zasługuje na to, aby znalazł się w ręku wszystkich pilniejszych czytelników na Śląsku, interesujących się krajoznawstwem, młodzieży szkolnej, a przede wszystkim w ręku tych rzesz turystów, które przybywają do naszych Beskidów, podziwiają je, znają je tylko po wierzchu, a obce im „ich wewnętrzne serca tajemnice“.

Fr. Cz.

Jan J. Kowalczyk, *Zbójnik-Opiekun*. T. P. W czeluściach niedoli. Katowice 1929, (nakł. aut.).

Polska literatura regionalna zyskała w powieści Jana Kowalczyka niezmiernie ciekawy nabytek. Opowiadanie o Zbójniku-Opiekunie jest powieścią i niepo-

wieścią. Powieścią dla fabuły, niepowieścią zaś dlatego, że występujące w niej osoby są historyczne, a czyny ich a raczej barbarzyńskie wyczyny w stosunku do polskiej ludności Śląska są zdarzeniami prawdziwymi, dla poparcia których Autor posługuje się cytowanym materiałem źródłowym.

Spotykamy też w opowiadaniu rozdziały, oderwane od całości fabuły, mające na celu dać obraz stosunków społecznych Śląska z końca XVIII w. (Rozdz. VI, VIII).

Oto rozwydrzeni panowie niemieccy, właściciele ogromnych obszarów ziemskich, ludność polską Śląska uważają za bydło robocze, którą można katować i zabijać.

Smutny jest los „przypisańców ziemskich“, rekrutujących się z pośród polskiej ludności włościańskiej.

Z chwilą odkrycia bogatych pokładów węgla kamiennego na Śląsku, pędzono ludność przykutą do tacek, aby wśród strasznych męczarni i katowania jej przez dozorców kopać i wywozić czarne djamenty. Starcy i dzieci, kobiety zmuszono do ciężkiej pracy w kopalniach i hutach.

Gorzki był los tych, którzy odbywali swe powinności poddańcze na folwarkach magnatów.

„Stowki“, czyli pobór ludzkich maszyn roboczych, przeprowadzany corocznie w dniach 10 i 11 listopada, był dla ludu śląskiego dniem żałoby.

Rosłe chłopaki, dorodne dziewczęta 17-letnie szły do dworu „na służbę“, przy czym piękniejsze okazy przeznaczano do osobistego użytku panów, a resztę przydzielano do prac w folwarkach. Dwory magnatów niemieckich były zarazem stoiskami ówczesnego handlu żywym towarem.

Martyrologia polskiej ludności Śląska na tem się nie kończyła.

Magnaci niemieccy umieli trzymać w ryzach okrutnych podanych. Dla własnej często sadystycznej przyjemności, wymyślali okrutne tortury, jakie stosowano przy wymiarze kar za drobne i nieznaczne przewinienia.

I tak jakiś von Paczkowski(!), właściciel majątku Dobrodzień w pow. lublinieckim, wymyślił t. zw. „ostrego osła“. Z kilku desek, razem zbitych, wycinano „osła“, którego grzbiet zaopatrzony był w ostre zęby. Na grzbiet takiego osła usadzano winnego i zaprzęgano konia, który objeżdżał dziedziniec zamkowy lub drogi wsi. Kary takie stosowano zarówno względem mężczyzn, jak i kobiet!

„Klatka“ i „obręcz żelazna“ były najmniej strasznym narzędziem tortury niemieckich panów.

W takich to czasach wyrasta z pośród ludu jego mściciel Adam Litera, bohater opowieści J. Kowalczyka.

Nie mogąc znieść bestjałskich znęcań Niemców nad ludnością polską, utworzył oddział mścicieli, który w niedługim czasie dał się we znaki okrutnym panom.

Z reguły „Bractwo Walnych Ludzi“ (tak nazywała się bowiem organizacja Adama Litery) wykonywało sąd nad nie-ludzkim panem, używając takich kar, jakie właściciel stosował przy wymierzaniu kary dla ludności. Nie pomogły żadne karne ekspedycje, wysyłane przeciw mścicielom, bowiem Adam zdołał na czas umknąć, zwłaszcza, że ludność wiejska otaczała swego obrońcę czujną opieką.

Oto krótka treść opowiadania J. Kowalczyka o Zbójniku-Opiekunie.

Przed oczyma czytelnika (a życzyć sobie należy, aby ich było jak najwięcej!) przesuwa autor straszliwe katusze fizyczne i moralne ludności śląskiej, jakie przeżywać musiała pod knutem „kultur-trägerów“ pruskich. A mimo to Śląsk pozostał krainą polską i po wieczne czasy nią pozostanie.

Wprawdzie losy nie pozwoliły, aby cała ludność Śląska wolność odzyskała, to też walka o dusze i serca polskie będzie trwała nadal, aż do zwycięskiego końca.

Autor chciał jednej części ludności przypomnieć, jakimi krwawymi śladami znaczyli jej przodkowie bój o polskość, zaś tym, którzy pozostali za kordonem przemocy, powieść J. Kowalczyka niech będzie strawą duchową, niech krzepi jej siły na przyszłość i dodaje męstwa w wytrwaniu do zwycięskiego końca.

A. Gembała.

Wiesław Wojnar, Dowody polskości Śląska Cieszyńskiego. Czeski Cieszyn 1930. Ludność Śląska Ciesz. w Czechosłowacji żyje dziś pod wrażeniem ostatnio przeprowadzonych wyborów. Czesi wszelkimi sposobami starali się zmniejszyć stan liczebny Polaków, wymyślając nową narodowość „śląską“, aby w ten sposób otumanic mniej uświadomioną część ludności polskiej Śląska Cieszyńskiego.

Na nic nie zdały się wszelkie praktyki, a ludność polska dobitnie wykazała, że polską była, jest i będzie.

Z argumentami polityków czeskich, widzących w Polakach śląskich jakichś spolszczonych Morawców, rozprawia się Wiesław Wojnar, w wydanej nakł. „Prawa Ludu“ książce p. t. „Dowody polskości Śląska Cieszyńskiego“ (Czeski Cieszyn 1930).

Autor opiera się przede wszystkim na danych etnograficznych oraz historycznych, które mają zadać kłam urojonym wywodom czeskim i stwierdzić, że Śląsk Cieszyński już w najdawniejszych czasach należał do Polski.

Wprawdzie wypadki historyczne szły po tej linii, że w okresie „dzielnicowej“ Polski część książąt związała się z władcami Czech, lecz dawne kwestje dynastyczne nie mogą dziś stanowić podstawy do twierdzenia, że Śląsk Ciesz. jest zie-

mią czeską. Ludność tej ziemi mówiła zawsze językiem polskim, jakkolwiek różnoraki był język urzędowy, spotykany również w szkole i kościele.

Sami przecież uczeni czescy, pozbawieni szowinizmu naukowego i politycznego, przyznają, że ludność Śląska jest ludnością polską, a o spolszczeniu t. zw. Morawców mowy być nie może, choćby dlatego, że sam lud śląski, odcięty od źródeł kultury polskiej przez setki lat, żył tylko wyłącznie dla siebie i o jakiegokolwiek akcji polonizującej Morawców nie myślał.

Książka Wojnara jest doskonałym wy-

razem chwili. Dowody swe popiera licznym materiałem źródłowym, opierając się nietylko na dziełach polskich historyków, lecz i na naukowych dziełach czeskich i co najważniejsze, że jest bezstronną. Autor na bezstronność może sobie pozwolić, gdyż w tym wypadku prawda jest oczywistą, gdyż lud śląski należał i należy etnograficznie i duchowo do wielkiej rodziny polskiej, jakiej sztuczne granice państwowe rozbić nie są w stanie.

Książka W. Wojnara winna być katechizmem narodowym każdego Ślązaka, a i reszta Polski winna zapoznać się ze stosunkami Ziemi Śląskiej. **A. G.**

DZIAŁ DLA MŁODYCH.*)

ANDRZEJ ŚWIDER, członek Koła krajozn.
w Bobrku.

Stodoły wieloboczne na Śląsku Cieszyńskim.

W wielu miejscowościach Śląska Cieszyńskiego spotykamy do dziś dnia jeszcze zachowany ciekawy zabytek pierwotnego budownictwa, mianowicie stare wieloboczne stodoły, z których niejedna liczy przeszło setkę lat. Najwięcej zachowało się ich w Strumieniu i okolicznych wioskach, Skoczowie, Kozakowicach Dolnych, a także w okolicy Bogumina.

Niektóre z nich zbudowane są w kształcie nieumiarowego, lecz symetrycznego 5-cio lub 10-cio boku, inne 7-mio, jeszcze inne w kształcie 6-cio i 12-boku.

Cała budowa wykonana jest całkowicie z drzewa i dosyć prosta. Kilkadziesiąt

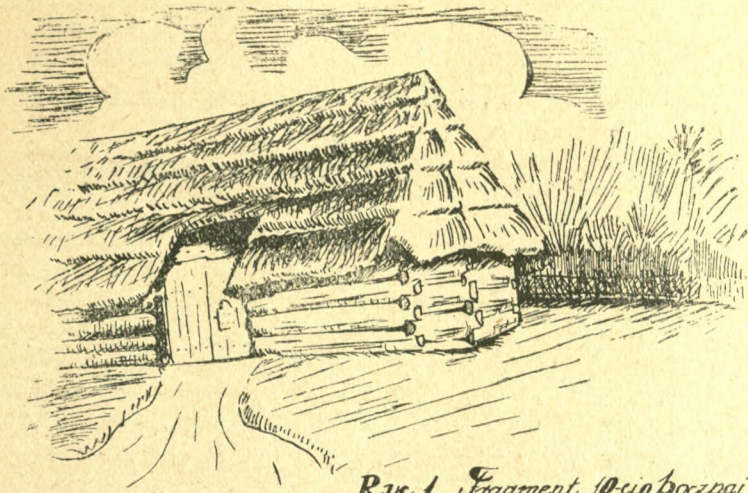
belek sosnowych bardzo grubych, ociosanych tylko z jednej strony, tworzy ściany, które spoczywają jużto wprost na ziemi, już też na kilku płaskich kamieniach, głównie na narożach. Brak zupełnie fundamentów trwalszych w ziemi, tak samo i filarów, czyli t. zw. pilery, które zastępuje bardzo silne i staranne węglowanie, t. j. spojenie belek na narożach, uwidocznione na ryc. 2.

Na ścianach spoczywa lekki, słomiany dach. Ponad drzwiami wjazdowymi dach ten jest wycięty, ponieważ sięgają one zazwyczaj wyżej od ścian. Niekiedy ponad drzwiami spotykamy umieszczony ruchomy daszek, który podczas wjeżdżania fury można podnieść. Wnętrze podzielone jest zwykle na 3 główne części: gumno, a nad niem piętro, zaś po obu jego stronach sąsieki, z których jeden posiada zazwyczaj także piętro, zależnie od potrzeby.

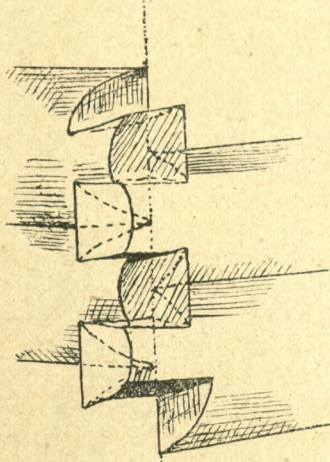
Genezę wielobocznych kształtów tych stodoł tłumaczą niektórzy w taki mniej więcej sposób:

W dawnych czasach, kiedy człowiek nie umiał sporządzać odpowiednich na-

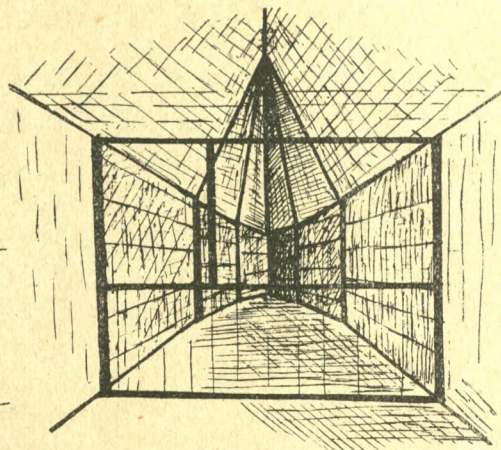
*) Z przyjemnością stwierdzamy, że nasza odezwa w zeszytach 4 r. VI, skierowana do młodych, nie pozostała bez echa. To też chętnie zamieszczamy niniejszym artykuł. — Redakcja.



Ryc. 1. Fragment wielobocznej stodoły.



Ryc. 2. Węglowanie.



Ryc. 3. Przekroj wnętrza.

Grider

rzędzi, ani budować mieszkań, zabezpieczał się przed napaścią zwierząt wałem kolistym, dookoła swego ogniska sporządzonym. Kiedy jako materiału do budowy tego wału użył belek drewnianych, wtedy przybierał on kształty wieloboku. Starając się zaś uchronić przed deszczem i wogóle wpływami atmosferycznymi,

wpadł na pomysł nakrycia tego wielobocznego wału dachem i w ten sposób miały powstać wieloboczne mieszkania. Tradycja ich miała się dosyć długo utrzymać wśród ludu, czego wyrazem i dowodem są już nie same mieszkania, lecz właśnie opisane stodoły wieloboczne.

Trzeba dodać, że obecnie nikt tego rodzaju stodół nie buduje, to też z czasem prawdopodobnie znikną zupełnie, o ile ktoś się tego rodzaju charakterystycznym bądź co bądź budownictwem ludowym specjalnie nie zainteresuje.

MATERJAŁY LUDOZNAWCZE.

Naczynia i narzędzia góralskie.

Han downi nie chodził gorol po jarmakach, nie kupował leda kigo towaru, nale wszecko se dóna zrobił z drzewa, kierego miał doboga w lasach.

Dziszka usz uwidziś uńjego lecyjaki ździorby po chałupie kajsi kupjone, zasz przed rokami han downi mjoł tego wjyn-cel, nale swoji roboty to wszecko było; jyny na warzyni kupił od gańczorza z Jabłonkowa, jak w niedzielym przije-choł na Istebny a pozwykłodol na cestym gorki z butki przy kierchowie, glinjany gornek doma go podrótowol i mjoł na kie-la roków; kupił tesz „zieleźniok“ dla świni a „rynik“ na żymnioki i „ponefkym“ na szpyrki i zosmoszkym do kapusty. Lepsi lecykiery gazda miał tesz miskym, łysz-kym, warzechym i rogulnym, co se som ustrugol. Na mjyrzani zrobił se kwortym na masło i mlyko, sztwiertankym na zbozi, sondek na szekani, kadłup na wodym, obónkym na żyńcicym, uolmaryj-kym na kancynoły a uolmaryjym na cie-pnički, do kierych wlywoł mlyko. Na sałaszu dojił uofce do gjelat a krowy do szkopców i konewek, mlyko loł na ko-ryto, spuściol do butyry, a wozil du do-mu w obońce.

Dlo końja prziniós zbozio w kosičku abo w mjarce, umjysiol ze szekanim, kie-re miał w sontku.

Na górze (strychu) miał zbozi we sztrychu abo we wachófce lebo w kadłubie; tam była szpyrka w mjynsim sontku a świński nogi wiszały w kozubie. Pastyrzowi posyloł śńjodani w zroszlo-kach, dlo proszont miał halbijkym, a dlo

świnjich siałliciek; wodym nosił w put-niach, w dóna wlywoł do źbera, kapu-stym utłoczol w beczce lebo w sontku a jynczymiń tlók w stympje, w piwnicy w corku miał żymnioki, kiere škroboł mozičkym. Przy studni wsadził do żymi kadłup, z kierego po rynionce loła sze woda do żłobu. Żyńcicym pił z czyrpoka, pjeknie wystruganego z musorka. Uogjeń s pjeca garboł cioskym, placek przez cie-łuści wsadzoł do pjeca na łopacie.

Nat nolepom wiszoł kociel na kluce, w kántku stoł szwyćnik na szczypy, za pjecym na ławie stały żarna. Naczynia kuchenne miał w półce, w koncie stała ło-źnica, zanjom lygoł chłapiec na miechu. Mlyko było w ciepničkach w sjyni w uol-maryji; ździorby ot wozu były w uolma-ryjce za dźwyrzami. Czarne ździorby szacionki i unucki były na przedgórze (strych nad sienią), wozy stoły na pociy-niu przy izbie, szczył była w brogu przy uofczarni, w chlywie był corek na sjano, na chlyw sze wychodziło po ścieblach przez dziurym, sjano sze podowało z wo-zu widłami przez żorów, gnój sze kidał widłami robjonymi. Szróty koszczelne były w tróchlach, a każdone wisiały na żer-dzi. Zbozi po wymłócyniu wjoł wiejać-kom, drzewo krzesol sikjerom abo cie-szlićkom a tesor krzesol toporym, stru-goł porzezym w stolicy strugacej, gładził szkroblicom; szyndzioly fugowol, szczy-py (ścjypy) drzył na stolicy fugowej; szńjodoł przy stolicy abo na ławie przet pjecym, przy kamjynnym stole jyny w niedzielym i we Wilijym, kurom posy-

poł zbozi w obrońce a bywały pot pjećym, króliki pot nolepom, w corku w izbie bywały proszeta abo cielynta.

Wozy no drzewjanych uosiach były na poczyniu, uoje było zrobjone z jaszynjowego drzewa, fasonski z bukowego, rozwora z dymbowego, drabiny s krziwego suchorka, a kosiny s prynczo wjyrbowego, kosički s korzenich smyrkowych, zymby do grabich z rokity. W zimie drzewo wozil na sańjach, kłyńczarach, na włókach, zasz panowie sze wozili na srompkach. Na brusieni nozich i inszych rzeci stoł w śjyni brus i brusek.

Lyn.

Baby brały s pobaby i rozpościyrały na trowniku, wyciongały i wjonzały w snopki, dźjyrgly na dźjyrkcju i susiły gorstki na polyni. Potym som tročki, lyn tuomjom na tuomce i trom na cierlicy. Gorstki liczono na kluby a ciesano na ścieci i wjonzano w kocury, w zimje trzyńsiono na prontku, przyndzono na wrzecionku abo na kołowrotku, nici motano na motowidło w pasma, przyńdzionka i kluby. Końdźjel dowo sze na krynzjel i przyńslicym, szulo sze w palcach a maże szlinom, kierej w gymbie pełno, bo sze żuje smołym. bulkowom, nici sze wjom na falfym, pachokym sze znizo i zwyszo a dłapkcom uobraco. Z machuł kryncm grube nici na porwozy, kiere sze krynci na wósku.

Wełnym po uostrzyżynju uowiec sze cichrze, potem na krymplach w krymplicy krympluje. Z nicich robi tkoć płótno i sukno na krosnach, ty krosna som jeście do dżiszka po chałupach Jaworzinki a skłodajom sze z rostoličných konskóf, jest przy nich: loda, bardo, podnoški, zgrzipjec, bruśny i spodni nawój, sztoga, kluka, ławy, uosnowa, wontek, cyfki, kiwy, falfa i t. d.

Z płótna i z wełny sije sze rostolične źdzjorby i szróty jegłom abo granjófkom,

kyrpe sije sze ze skury sidłym, łoce sidłkym, wystruguje hrubóm skurym knypsym a dźjurki sze pcho nozym.

Sęk.

O łutopcach.

No dziecko, o łutopcach mom ci coś powiedzieć? O, downiej to ludzie duzo rozpowiali ło nich.

Taki łutoplec to nie jest wielki, jeno taki mały. Bydzie miol może z tak meter dwadzieścia. Na gymbie wyglada jak koždy inszy człowiek. Ubranie mo czerwone, krótki szakecik, a na głowie nosi czerwono czopeczka. Siedzi w stawach i pidłach, a nojczyńsiej na łonkach, w kszykopach. Jak w nocy idzie tam pijok albo grzyśnik, to go łutoplec zaroz wciongnie.

Roz to utoplec sebylk chopa z galot. Było to w Tychach. Szol chop pijany i przyszoł ku niemu taki mały chopek, a to było prawie kole takiego wielkiego stawu. I pytoł się go, kaj to idzie. Chop mu na to powiedzioł: „ciong ty giździe smarkaty, bo jak cie chyca, to ci kości połómia“. W tym łutoplec chycił chopa, pociep na ziemia i sebylk go z galot, ale buty mu łostawil na nogach.

Drugi roz zaś szol tyn som chop łopity z karczmy. Utoplec mu powiedzioł, żeby tom drogom nie szol, bo łona jest zło i pokozoł mu inno szyroko droga. Chop tyż poszoł tom drogom, ktorom mu łutoplec pokozoł. I szol i szol, aż mu naroz zaczyła woda do gymby loć. Dopiero zaczon wrzeszczeć, aż go ludzie przyšli ratować. A łutoplec skokoł i tańcowoł po wodzie i wyśmiewoł sie z chopa. Ludzie cieпали na niego kamieniami, ale żoden go nie mók trefić.

Inny roz było to zaś we Wyrach. Szol chop z wesela, w nocy ło pierszej godzinie. Przyszoł ku niemu taki mały chopek, doł mu rynki i powiedzioł: „Dobry wieczór Gorolu“, bo sie tyn chop tak nazywoł. A tyn mu łodpowia-

do: „po jakiemu mosz takie zimne rynce, kiej nie jest tak bardzo zimno“. A łutoplec na to: „Nie dziwuj sie, bo to już bardzo długo łaża po świecie.“ Szol z nim aż ku jednej Bożej Mynce. Tam został stoć i padał mu: „wiesz, jo już dalej nie ida, na pamiontka dom ci róg jeleni, ale trzymej mocno, byś go nie stracił, bo jak sie zyńdziemy drugi roz, to ci dom tyn drugi.“ Chop szol aże do domu i trzymoł mocno róg w rynce. Baba sie go pyto, co łon tam mo, a łon i odpedioł, że to róg, który dostoł od takiego małego synka. Naroz się patrzy, a tu trzymo łolszowo gałonś. Baba sie śmiała do rozpuku z chopa, że sie doł łocyganić łutopcowi.

Inny roz szol pacholek na zolyty, bo chcioł sie pryndko łožynić. Jak tyż tak szol przez las drogom, tak se myśłoł: „Kieby tyż to jechała jako fura i nie wzie na nia, bo mom bardzo daleko.“ Naroz skąd sie weż, jedzie fura. Furmón woło na niego: „Plinta, siadej na wóz, przewieza cie.“ Pacholek tyż siado z wielkom radościom i jadom mocno. Aż naroz pacholek miarkuje, że wóz nie jedzie po ziemi, jeno w powietrzu. Woło na niego: „stój, bo mi galoty potargosz“. Naroz fura sie straciła a on łostoł na wielkich barzołach na gałenzi siedzieć. Utoplec zawióz pacholka o dwie wsie dalej jak mioł iść.

Objaśnienie.

pidła — śluza; galoty — spodnie; Boża Mynka — krzyż; barzoły — bagna.

Spisała Magdalena Piechówna, Król. Huta, ucz. VIII kl., lat 20, Gimnazjum Żeńskie. Opowiadał Stanisław Piecha, lat 61, ur. w Łaziskach Średnich, powiat Pszczyna, Górny Śląsk.

Ludowe życzenia i wierszowane listy miłosne.

Lud nasz ma upodobanie w składaniu wierszowanych życzeń i pisaniu wierszowanych listów miłosnych. Niżej podajemy takie wierszowane życzenie

(„winsz“) i wierszowany list miłosny, jak je slyszal od „starszych ludzi“ i spisał Wilhelm Król z Pastwisk przy Cieszynie.

1. Śniło mi sie nad samym rankym
 Że przylecioł anioł ze złotym wiankym;
 Kazowoł mi rano wstać,
 Tobie na miano winszować.
 Tak Ci winszujym:
 Chleba,
 Nieba,
 Wina beczke
 Szwarnóm dziyweczke,
 Aby była pieknych lic,
 A więc Ci nie trzeba nic.
 Tak zostoń z Bogym, — Bo mojom krótkom rękę podać Ci ni mogym.
2. Wyszło słoneczko napostród nieba,
 Spomniało sie mi, że Ci pisać trzeba. —
 Przylecioł słowiczek do mego okiynka i mi powiaduje,
 Że mój kochany listu oczekuje.
 Tak żech jo wczas rano z łóżeczka wstała,
 Do stoła zasiadła,
 Rozkłodóm papiór i zacznóm pisać,
 Aż tu zaczyno stolik sie kołysać;
 Pióro w ręce skacze,
 Aż same serce od żalu płacze.
 Leć pismeczko kole wody,
 A nie stow sie do gospody,
 Bobyś sie mi opito,
 Ku miłemu nie trefiło,
 Leć pismeczko kolejóm,
 Kany beczek nie lejóm,
 Bobyś sie mi opito
 Ku miłemu nie trefiło.
 Leć pismeczko w droge,
 Bo jo iść ni mogym,
 Przez bory i lasy,
 Przypominej nasze downe czasy.
 A jak przeidziesz do proga,
 Pochwal Pana Boga,
 A gdy przestąpisz próg,
 Poklón sie odymie do samych nóg.
 A gdy przidziesz do miyszkanio jego
 To tam zaklupej do serduszka jego,
 Potym go za rączke przywitej

I nejpierwsze słowa o zdrowi się spytej.
Pozdrawujm Cię przez okiynko przez
Aby Cię nie było teschno. szkło,

Pozdrawujm Cię przez koszycek trześni,
Abychm̄y się do roku zeszi.
Pozdrawujm Cię przez koszycek wiśni,
Abychmy się do grómadki ścišli.

Pozdrawujm Cię przez modre fijołki,
Żebyś się miał dobrze jak w niebie aniołki.
Pozdrawujm Cię przez anioła stróża,
Abyś się miał dobrze jak w zogródzie ruża.

Wiaterek powiywo, aż się trowka chwieje,
Jak się spomniym na Ciebie — aż mi serce
mdleje.

Nie gniywej się za szpatne pisani,
Bo nadeszło spani.
Przyleciała gaska
Od górnego Śląska,
Skrzydłami trzaśa,

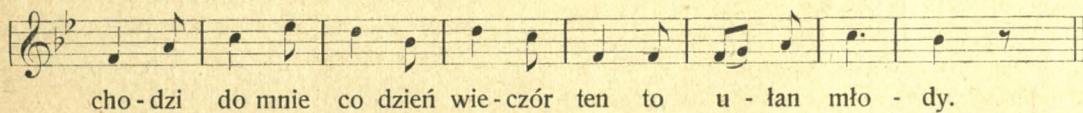
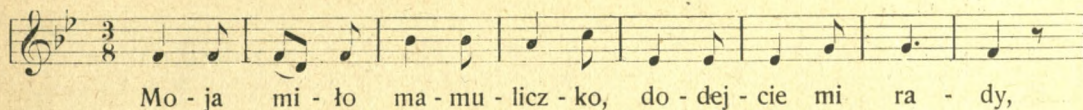
Lampa mi zgasa,
Celynder puk,
A jo pod pierzyne fuk.

PIEŚNI ŚLĄSKIE.

35

Pieśni i tańce śląskie.

Z Rozbarku.



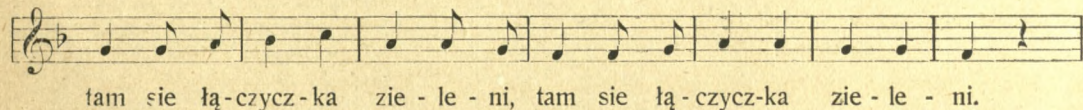
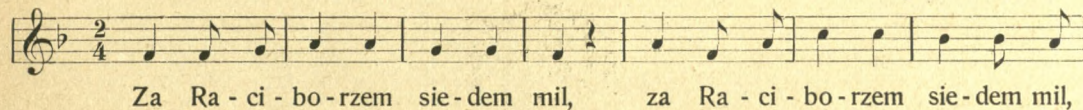
2. O ty moja ceruchniczko,
Zaniechaj ulana,
Zaniechaj go w szczerym polu,
Zostań w domu sama.

3. Moja miło mamuliczko,
Oj, to nie może być,
Boć ja muszę z ulanami
Przeca na wojna iść.

(Ze zbiorów Wallisa.)

36

Jabłonkowskie.



2. A na tej łące olszyna,
a w tej olszynie dziewczyna.

3. Żłociste włosy czesała,
a tak żałośnie śpiewała:

4. Ej włosy, włosy złociste,
służyłyście mi zaiste.
5. Teraz już służyć nie chcecie,
pod biały wionek pójdziecie.
6. Jak moja mama by żyli,
wesele by mi zrobili.
7. Tak mi go zrobią przociele,
ej smutne moje wesele.
8. Nie kludźcie wy mnie przez tę wieś,
szczekołby na mnie każdy pies.
9. Kludźcie wy mnie tam przez pole,
tam, gdzie śpiewają ptaszki.

(Śpiewała A. Górna, Bystrzyca, melodię zrekonstruował J. H.)

37

„Mietlorz“ Taniec śląski.

Pierwszy raz wolno, drugi bardzo szybko.



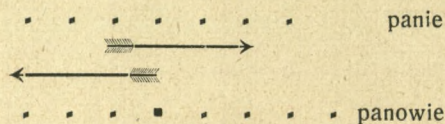
Kieś mnie przed-tem nie chcia-ła, te - raz mnie nie za - łuj, weź in - sze-go



kar - lu - sa i te - go po - ca - łuj.

Po drugi raz prze-
grać dwa razy!

Kobiety ustawiają się po siedmiu w jednym szeregu, naprzeciw chłopów po ośmiu w drugim szeregu, twarzami zwróconymi do tancerek. W środku szeregu chłopów stoi „mietlorz“, trzymając miotłę w ręku.



Kiedy muzyka zacznie grać, „mietlorz“ wychodzi z miotłą między szeregi, udawa ruchy nią jak przy zamiataniu, śpiewając powyższą melodię z akompanjamentem muzyki. Szeregi stoją cicho. Prześpiewawszy pieśń, huknie miotłą o ziemię, na który to znak każdy mężczyzna stara się o partnerkę, z którą tańczy według powyższej melodii szybką polkę. Mężczyzna, który nie udało zdobyć partnerki, jest „mietlorzem“.

Ze zbiorów Emeryka Chroboczka, kier. szk. w Wiśle Małej.



al: Cudze chwalicie, wiersz	3
2. Karol Buzek: Okres lodowy w Beskidach Śląskich	5
3. Dr. Jan Galicz: Skały i urwiska skalne w naszych górach	16
4. Ks. Em. Grim: U źródeł Olzy	36
5. Ks. Józef Berger: Ligotka Kameralna, obraz topograficzny	40
6. Paweł Zawada: Dzikie zwierzęta w tradycji górali istebniańskich	49
7. Dr. Jan Zembaty: Pochodzenie i formy krajobrazu tatrzańskiego	59
8. Leopold Kania: Refleksje na temat wrażeń z wycieczki tatrzańskiej	70
9. Sprawozdanie z czynności Zarządu za rok 1933	72
10. Jan Gibiec: Sprawozdanie kasowe za rok 1932	80

SPIS WYDAWNICTW

Oddziału Pol. Tow. Tatr. „Beskid Śląski“ w Cieszynie.

1. Beskidy Śląskie, tur. mapka orientacyjna, p. 1 : 100.000, rys. Stan. Sowa, cena 0.60 zł.
2. Mapa tur. Karpat Polskich, Ark. 8 Beskidy Śląskie, wydanie Instytutu „Gea“ w Warszawie, cena zniżona 1 zł.
3. Roczniki I—V od r. 1930—1934, każdy bogato ilustrowany o doborowej treści po cenie zniżonej 1 zł.
4. Rocznik VI jubileuszowy z r. 1935, zawierający 11 artykułów, 2 sprawozdania, ozdobiony 43 ilustracjami, cena 2 zł.
5. Dr. Jan Galicz & K. Sosnowski, Przewodnik po Beskidzie Śląskim i Śląsku Cieszyńskim, 51 ilustracyj i 2 mapki, cena ksiąg. (zniżona) 4.50 zł, dla członków do nabycia u skarbnika po 3 zł.
6. Dr. Jan Galicz, „Przewodnik po Cieszynie i okolicy“ z 12 ilustracjami w tekście i planem miasta, cena 1 zł.